

ANDREA Camilleri

Ślad na piasku



NOIR SUR BLANC

Andrea Camilleri

**ŚLAD
NA PIASKU**

Przełożyła
Monika Woźniak

Noir sur Blanc

1

Otworzył oczy i zaraz je zamknął.

Od jakiegoś czasu doświadczał tej swoistej niechęci do przebudzenia się nie dlatego, by chciał się rozkoszować jakimś przyjemnym snem, który zdarzał mu się zresztą coraz rzadziej. Nie, to było po prostu pragnienie, żeby zostać jeszcze w ukryciu, na dnie ciemnej, głębokiej i ciepłej studni snu, gdzie nikt nie mógłby go znaleźć.

Wiedział jednak, że zbudził się już nieodwołalnie i z zaciśniętymi powiekami zaczął nasłuchiwać odgłosów morza.

Tego ranka był to łagodny szum, coś jakby szelest liści, który powtarzał się w regularnych odstępach, co znaczyło, że fale nadchodzą i cofają się w jednostajnym rytmie. Można więc było się spodziewać pogodnego, bezwietrznego dnia.

Montalbano podniósł znowu powieki i popatrzył na zegarek. Siódma. Obrócił się, by wstać, i w tym samym momencie przyszedł mu na myśl jego sen, z którego zapamiętał tylko jakieś niejasne i niepowiązane obrazy. Doskonały pretekst, żeby jeszcze chwilę poleżeć. Wyciągnął się znowu i zamknął oczy, próbując ułożyć rozproszone obrazy w logiczną sekwencję.

Osoba, która znajdowała się obok niego na bezkresnej zielonej równinie, była kobietą, i zrozumiał teraz, że była to Livia, ale zarazem nie Livia, bo miała twarz Livii, ale ciało było zbyt wielkie, obciążone parą ogromnych pośladków, które sprawiały, że kobieta ledwie była w stanie się poruszać.

Zresztą i on czuł się bardzo zmęczony, jakby po długim spacerze, bo nie pamiętał, jak długo już tak szli.

Dlatego zapytał:

– Daleko jeszcze?

– Już się zmęczyłeś? Nawet dziecko nie zmęczyłoby się tak szybko! Jesteśmy prawie na miejscu.

Głos nie należał do Livii, był nieprzyjemny i zbyt ostry.

Przeszli jeszcze ze sto kroków i znaleźli się przed otwartą bramą z kutego żelaza. Za bramą ciągnęła się dalej trawiasta równina.

Jaki sens miała ta brama, skoro jak okiem sięgnąć nie widać było żadnej drogi ani domu? Chciał zapytać o to kobietę, ale powstrzymał się, żeby nie usłyszeć znowu jej głosu.

Przechodzenie przez bramę, która do niczego nie służyła i donikąd nie prowadziła, wydało mu się tak śmieszne i absurdalne, że skręcił w bok, aby ją obejść.

– Nie! – krzyknęła kobieta. – Co robisz? Nie wolno! Właściciele się zirytują!

Jej głos był tak ostry, że omal nie przebił mu bębenków w uszach. Jakich właścicieli miała na myśli? W każdym razie usłuchał jej.

Zaraz za bramą krajobraz się zmienił, stał się terenem do wyścigów konnych, hipodromem. Nie było jednak ani jednego widza, trybuny były puste.

Wtedy Montalbano spostrzegł, że ma na sobie długie buty z ostrogami i strój dżokeja. Miał nawet pejcz pod pachą. Chryste Panie, czego się po nim spodziewali? Przecież w całym swoim życiu nigdy nie wsiadł na konia! A może w dzieciństwie, kiedy miał dziesięć lat i wuj zabrał go na wieś, gdzie...

– Dosiądź mnie! – powiedział szorstki głos.

Odwrócił się, żeby popatrzeć na kobietę.

Nie była już kobietą, ale prawie koniem. Ustawiała się na czworakach, ale

kopyta u rąk i nóg były najwyraźniej fałszywe, zrobione z kości, i wsunęła je sobie na stopy jak pantofle.

Miała na sobie siodło i cugle.

– Dalej, dosiądź mnie! – powtórzyła.

On wsiadł i wtedy ruszyła galopem, szybka jak błyskawica. Patataj, patataj, patataj...

– Stój, stój!

Ale ona jeszcze przyspieszyła. W pewnej chwili Montalbano spadł na ziemię, ze stopą uwięzioną w strzemieniu, a klacz zaczęła rzeć; rzeć, nie, raczej śmiać się, śmiać, śmiać... Potem klacz kobieta zarżała znowu, skoczyła na przednie nogi, a on, nagle uwolniony, uciekł.

Mimo wysiłków nie zdołał sobie przypomnieć nic więcej. Wstał, podszedł do okna i otworzył na oścież okiennice.

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, było ścierwo konia, leżące na piasku.

Oślupiał. Pomyślał, że wciąż jeszcze śni. Potem zrozumiał, że zwierzę na plaży jest całkiem realne. Ale jak to się stało, że ten koń zdechł akurat pod jego domem? Niewątpliwie, gdy padł, wydał z siebie słabe rzenie, które przedostało się do snu Montalbana i sprawiło, że wyśnił kobietę konia.

Wychylił się przez okno, żeby przyjrzeć się dokładniej. W pobliżu nie było żywej duszy, rybak, który każdego ranka wypływał na połów swoją łodzią, był już tylko czarną kropką na horyzoncie. Na pasie twardego piasku, tego najbliżej morza, kopyta konia zostawiły ślady, których początku nie było widać.

Musiał tu przygalopować z daleka.

Montalbano naciągnął w pośpiechu spodnie i koszulę, otworzył drzwi werandy i zszedł na plażę.

Kiedy znalazł się obok zwierzęcia i popatrzył na nie z bliska, ogarnęła go niepoohamowana wściekłość.

– Bydlaki!

Zwierzę było zakrwawione: najwyraźniej rozłupano mu czaszkę żelaznym prętem, ale całe ciało nosiło ślady długiego i okrutnego bicia, wszędzie widać było otwarte rany i zwisające strzępy skóry. Nie ulegało wątpliwości, że zmalretowany koń zdołał jakoś się uwolnić i pogalopował rozpaczliwie przed siebie, dopóki nie zabrakło mu sił.

Komisarz był tak rozwścieczony i oburzony, że gdyby miał przed sobą któregoś z oprawców, zgotowałby mu taki sam los. Tymczasem poszedł za śladami.

Miejscami urywały się i zamiast nich widać było wgłębienia na piasku w miejscach, gdzie wyczerpane zwierzę klękało, opierając się na przednich nogach.

Montalbano wędrował tak przez prawie trzy kwadransy i w końcu dotarł do miejsca, gdzie zmasakrowano konia.

Po gwałtownych wydarzeniach powierzchnia piasku była tutaj zdeptana jak arena cyrku, ślady butów nakładały się na odciski kopyt. W pobliżu leżał zerwany długi sznur, na którym uwiązane było zwierzę, oraz trzy metalowe pręty zaplamione krwią. Montalbano zaczął liczyć ślady butów. Nie było to łatwe. Doszedł do wniosku, że konia zamordowały nie więcej niż cztery osoby. Ale dwie inne przyglądały się scenie z boku, od czasu do czasu paląc papierosa.

Wrócił, wszedł do domu i zadzwonił do komisariatu.

– Halo? Tutaj...

– Catarella, mówi Montalbano.

– Ach, panie komisarzu! To pan jest? A co jest, panie komisarzu?

– Jest komisarz Augello?

– Jeszcze brakujący jest.

– Jeśli jest Fazio, to daj mi go do telefonu.

– Natychmiastowo, panie komisarzu.

Nie minęła nawet minuta.

– Słucham, panie komisarzu.

– Fazio, przyjedź natychmiast do mnie do Marinelli, weź też ze sobą Galla i Galluzza, jeśli już przyszli.

– Coś się stało?

– Tak.

Zostawił drzwi do domu otwarte i poszedł na długą przechadzkę brzegiem morza. Barbarzyńskie zamordowanie nieszczęsnego zwierzęcia rozbudziło w nim uczucie wielkiego, gwałtownego gniewu. Wrócił do martwego konia. Przykucnął, żeby popatrzeć na niego z bliska. Uderzano go prętem także po brzuchu, być może kiedy stawał dęba. Potem komisarz zauważył, że jedna z podków prawie się oderwała od kopyta. Położył się na brzuchu, wyciągnął ramię i dotknął podkowy. Trzymała się na jednym gwoździu, który do połowy wysunął się z kopyta. W tej samej chwili zjawili się Fazio, Gallo i Galluzzo. Przystanęli na werandzie, zobaczyli komisarza i zeszli na plażę. Popatrzyli na konia i powstrzymali się od pytań.

Fazio skomentował tylko:

– Nie brakuje bydlaków na tym świecie!

– Gallo, dasz radę dotrzeć tu samochodem, a potem pojechać wzdłuż brzegu? – spytał Montalbano.

Gallo pozwolił sobie na uśmiezek

– A co to za problem, panie komisarzu?

– Galluzzo, jedź z nim. Musicie podążać za śladami na piasku. Nie będziecie mieli trudności z rozpoznaniem miejsca, w którym zakatowali konia. Znajdziecie tam metalowe pręty, niedopałki, może inne rzeczy. Rozejrzyjcie się. Pozbierajcie wszystko ostrożnie, chcę zdjąć odciski palców, DNA, wszystko, czego potrzeba, żeby odnaleźć tych bandytów.

– A potem co zrobimy? Wniesiemy oskarżenie do Ligi Ochrony Zwierząt? – spytał Fazio, podczas gdy tamci dwaj poszli do samochodu.

– Myślisz, że na tym sprawa się skończy?

– Nie, nie sędzę. Zażartowałem tylko.

– Nie wydaje mi się to tematem do żartów. Dlaczego to zrobili?

Fazio zmarszczył czoło.

– Może to rodzaj zemsty na właścicielu.

– Być może. I to wszystko?

– Nie. Myślę, że może chodzić o coś więcej. Doszły mnie słuchy...

– O czym?

– Że od jakiegoś czasu w Vigacie urządzone są nielegalne wyścigi.

– I podejrzewasz, że zakatowanie konia może być wynikiem czegoś, co zdarzyło się w tym środowisku?

– A o co innego mogłoby chodzić? Musimy tylko poczekać na wynik tego wyniku, bo na pewno jakiś będzie.

– Ale może byłoby lepiej, gdyby udało się nam zapobiec temu wynikowi, prawda? – spytał Montalbano.

– Jasne, że lepiej, ale to nie będzie łatwe.

– No cóż, zacznijmy od tego, że zanim zatłukli konia, musieli go ukraść.

– Panie komisarzu, żartuje pan sobie? Nikt nie zgłosi kradzieży konia. Równie dobrze ktoś mógłby do nas przyjść i oświadczyć: zajmuję się organizacją nielegalnych wyścigów.

- To duży biznes?
- Mówią, że zakłady są warte miliony euro.
- A kto za tym stoi?
- Pada imię Michilina Prestii.
- Kto to?
- Taki niemrawy pięćdziesięciolatek. Do zeszłego roku pracował jako księgowy w firmie budowlanej.
- Nie wydaje mi się, żeby niemrawy pięćdziesięciolatek był w stanie poradzić sobie z biznesem na taką skalę jak nielegalne wyścigi.
- Pewnie że nie, panie komisarzu. Prestia to tylko przykrywka.
- Czyja?
- Nie wiadomo.
- Spróbuj się dowiedzieć.
- Spróbuję.

Wrócili do domu. Fazio poszedł nastawić kawę, a Montalbano zadzwonił do urzędu gminy, żeby zawiadomić, że na plaży w Marinelli leży ścierwo konia.

- To pański koń?
- Nie.
- Rozmawiajmy jasno, szanowny panie.
- Bo co, jak mówię? Ciemno?
- Nie, tylko niektórzy twierdzą, że padłe zwierzę nie należy do nich, bo nie chcą uiścić opłaty za jego usunięcie.
- Już powiedziałem, że to nie mój koń.
- Niech będzie. Wie pan, do kogo należy?
- Nie.

– Niech będzie. Wie pan, dlaczego padł?

Montalbano szybko rozważył możliwości i postanowił nic nie mówić urzędnikowi.

– Nie wiem, zobaczyłem martwe zwierzę przez okno.

– To znaczy nie był pan obecny przy jego śmierci.

– Naturalnie.

– Niech będzie – powiedział urzędnik.

I zaczął nucić arię „Tu che a Dio spiegasti l’ali” z *Lucji z Lammermooru*.

Żałobna pieśń dla konia? Wkład urzędu gminy w obrzędy pogrzebowe?

– No więc? – spytał Montalbano.

– Zastanawiam się – odpowiedział urzędnik.

– Nad czym się tu zastanawiać?

– Do kogo należy usunięcie ciała konia.

– Nie do was?

– Do nas, jeśli sprawa podpada pod artykuł jedenasty, ale jeśli jest to artykuł dwudziesty trzeci, powinno się tym zająć regionalne biuro higieny.

– Proszę posłuchać, skoro do tej pory wierzył pan w to, co mówię, to proszę uwierzyć i teraz. Daję panu słowo, że jeśli nie wywieziecie martwego konia w ciągu kwadransa, ja...

– A kim pan jest, przepraszam?

– Komisarz Montalbano.

Urzędnik natychmiast zmienił ton.

– To na pewno artykuł jedenasty, panie komisarzu.

Montalbano poczuł chętkę, by się trochę podroczyć.

– Czyli usunięcie ciała to wasza sprawa?

– Oczywiście.

– Na pewno?

Urzędnik się zaniepokoił.

– Dlaczego pan pyta, skoro...

– Nie chciałbym, żeby ci z regionalnego biura higieny się obrazili. Wie pan, jak to jest z tym zakresem kompetencji... mówię to w trosce o pana, nie chciałbym, żeby...

– Proszę się nie martwić, panie komisarzu. To artykuł jedenasty. Za pół godziny ktoś się tam zjawi, niech pan będzie spokojny. Wyraży szacunku.

Wypili kawę w kuchni, w oczekiwaniu na powrót Galla i Galluzza. Potem komisarz wziął prysznic, ogolił się i zmienił koszulę i spodnie, które zdążyły się już pobrudzić. Kiedy wrócił do jadalni, zobaczył, że Fazio stoi na werandzie i rozmawia z dwoma facetami w skafandrach, wyglądającymi jak astronauta, którzy właśnie wyszli ze statku kosmicznego.

Na plaży stała furgonetka Fiorino z zasuniętymi tylnymi drzwiami. Końskiego ścierwa już nie było, pewnie zdążyli je załadować.

– Panie komisarzu, może pan przyjść na chwilkę? – spytał Fazio.

– Już idę. Dzień dobry.

– Dzień dobry – powiedział jeden z astronautów.

Drugi ograniczył się do popatrzenia na niego złym wzrokiem ponad maską.

– Nie znaleźli ciała – powiedział zażenowany Fazio.

– Jak to... – rozdziawił usta Montalbano. – Przecież tutaj leżało!

– Sprawdziliśmy wszędzie i nie znaleźliśmy go – oświadczył bardziej towarzyski z dwójki astronautów.

– Co to ma być, jakiś żart? Zabawy się wam zachciało? – spytał z pogrózką ten drugi.

– Nikt tu nie żartuje – oświadczył Fazio, tracąc cierpliwość. – I uważaj na

to, co mówisz.

Tamten otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale potem zmienił zdanie i zamknął je bez słowa.

Montalbano zszedł z werandy i poszedł na miejsce, gdzie przedtem leżał martwy koń. Inni poszli za nim.

Na piasku widać było ślady pięciu czy sześciu różnych par butów i dwa równoległe pasy kół wozu.

Dwaj astronauci wsiedli do furgonetki i odjechali bez pożegnania.

– Ukradli go, podczas gdy piliśmy kawę – powiedział komisarz. – Załadowali go na wózek.

– Koło Montereale, jakieś trzy kilometry stąd, stoi z dziesięć baraków, w których mieszkają imigranci – powiedział Fazio. – Dzisiaj wieczorem będzie uczta z koniny.

W tej samej chwili zobaczyli wracający samochód.

– Zabraliśmy wszystko, co znaleźliśmy – powiedział Galluzzo.

– A co znaleźliście?

– Trzy pręty, kawałek sznura, jedenaście niedopałków z dwóch typów papierosów i pustą zapalniczkę Bic – podsumował Galluzzo.

– Zrobimy tak – powiedział Montalbano. – Ty, Gallo, jedź do sądówki i przekaz im pręty i zapalniczkę. A ty, Galluzzo, zawieź sznur i niedopałki do mojego biura. Dziękuję za wszystko, zobaczymy się w komisariacie.

Gallo nie wyglądał na przekonanego.

– O co chodzi?

– Co mam powiedzieć tym z sądówki?

– Żeby zdjęli odciski palców.

Gallo skrzywił się jeszcze bardziej.

– A jeśli mnie spytają, co się stało, co mam powiedzieć? Że prowadzimy

dochodzenie w sprawie zabitego konia? Dadzą mi kopniaka w tyłek i tyle!

– Powiedz, że doszło do bijatyki, są ranni i musimy zidentyfikować napastników.

Gdy został sam, wrócił do domu, zdjął buty i skarpetki, podwinął spodnie i zszedł znowu na plażę.

Ta wersja o imigrantach, którzy ukradli końskie ściervo, żeby je zjeść, nie trafiała mu do przekonania. Ile czasu pili kawę i gawędzili w kuchni z Faziem? Najwyżej pół godziny.

I w tym czasie imigranci zdążyli odkryć ciało konia, pobiec do baraków trzy kilometry dalej, znaleźć wózek, załadować martwe zwierzę i zabrać je ze sobą?

Niemożliwe.

Chyba że zobaczyli ciało wczesnym rankiem, zanim on otworzył okno. Potem, kiedy wrócili z wózkiem i zobaczyli go koło konia, ukryli się gdzieś, czekając na odpowiedni moment.

W odległości pięćdziesięciu metrów ślady kół zataczały łuk i kierowały się w stronę lądu, gdzie znajdował się wyasfaltowany placyk, cały w dziurach. Był już w takim stanie, gdy komisarz sprowadził się do Marinelli. Z placyku można było bez problemu wjechać na szosę.

– Chwileczkę – powiedział sobie komisarz. – Zastanówmy się.

Jasne, na szosie można było popychać wózek szybciej i wygodniej niż na piasku. Ale czy imigranci chcieliby, żeby widziały ich wszystkie samochody jadące szosą? A gdyby trafił się wśród nich jakiś patrol policyjny czy wojskowy?

Na pewno zostaliby zatrzymani i musieliby odpowiedzieć na mnóstwo niewygodnych pytań. Mogło się to nawet skończyć wydaleniem z kraju.

Nie, nie byli tak głupi, żeby ryzykować.

A więc?

Istniało inne wyjaśnienie.

Takie, że ciała nie ukradli imigranci, tylko miejscowy ludek z Vigaty.

Albo z okolic.

Ale po co? Żeby odzyskać zwłoki i gdzieś je schować.

Być może wypadki potoczyły się w ten sposób: koniowi udaje się uciec i ktoś podąża za nim, żeby go dobić. Musi się jednak zatrzymać, bo na plaży są inni ludzie, na przykład rybak, i mogliby się stać niebezpiecznymi świadkami. Facet zawraca i informuje o wszystkim szefa, który decyduje, że trzeba za wszelką cenę zabrać ciało. Zdobywa gdzieś wózek. Tylko że tymczasem on, Montalbano, budzi się i wchodzi im w paradę.

Ci, którzy ukradli konia, to ci sami, którzy go zabili.

Tak, bez wątpienia tak właśnie było.

I na pewno na szosie, zaraz przy placyku, stała już furgonetka, gotowa do zabrania wózka i truchła.

Imigranci nie mieli z tym nic wspólnego.

2

Galluzzo położył na biurku komisarza duży worek, w którym znajdował się sznur, oraz mały woreczek z niedopałkami.

– Powiedziałeś, że są tu dwie marki?

– Tak, panie komisarzu. Marlboro i Philip Morris z podwójnym filtrem.

Bardzo popularne, miał nadzieję, że to będzie jakaś rzadsza marka, którą w Vigacie paliło najwyżej pięć osób.

– Zabierz to wszystko – powiedział Montalbano do Fazia – i schowaj gdzieś w bezpieczne miejsce. Nie jest powiedziane, że się nam jeszcze nie przydadzą.

– Miejmy nadzieję – odpowiedział nieprzekonany Fazio.

W tej samej chwili rozległ się huk, jakby ktoś podłożył bombę pod drzwi, które otworzyły się gwałtownie i uderzyły o mur, ukazując Catarellę wyciągniętego na podłodze z dwiema kopertami w ręku.

– Poczuję ja byłem nosił – powiedział Catarella – ałem się poślizgnął.

Trzej policjanci, którzy znajdowali się w pokoju, spróbowali otrząsnąć się z szoku. Popatrzyli na siebie i zrozumieli się w lot. Mieli tylko dwa wyjścia z sytuacji. Albo dokonać samosądu na Catarelli, albo udać, że nic się nie stało.

Nie otwierając nawet ust, wybrali to drugie.

– Nie chciałbym się powtarzać, ale nie wydaje mi się, że łatwo będzie ustalić, kto był właścicielem konia – powiedział Fazio.

– Powinniśmy byli przynajmniej go sfotografować – dodał Galluzzo.

– Nie ma jakiegoś rejestru koni, takiego jak rejestr samochodów?

– Nie wiem – odpowiedział Fazio. – Zresztą nie wiem nawet, o jaki rodzaj konia chodzi.

– W jakim sensie?

– W takim, że nie wiemy, czy to był koń pociągowy, rasowy, wierzchowy, wyścigowy...

– Konie się znaczy... – powiedział półgłosem Catarella, który wciąż stał w progu z kopertami w ręku, czekając na pozwolenie komisarza, żeby wejść do środka.

Montalbano, Fazio i Galluzzo wpatrywali się w niego ze zdumieniem.

– Coś ty powiedział? – spytał Montalbano.

– Ja?! Nic ja nie powiedziałem – zaprzeczył Catarella, przestraszony tym, że ośmielił się odezwać.

– Jak to nie?! Powiedziałeś, że co robią z końmi?

– Że się znaczą, panie komisarzu.

– A czym się znaczą?

Catarella zmarszczył czoło.

– Jak się znaczą, czym się oznaczają, to ja nie wiem, czym się znaczą, panie komisarzu.

– Dobrze, zostaw pocztę i idź sobie.

Zawstydzony Catarella położył koperty na biurku i wyszedł ze spuszczonej oczami. W progu niemal zderzył się z nadbiegającym Mimì Augellem.

– Przepraszam za spóźnienie, musiałem zająć się małym, który...

– Wybaczamy.

– A co to za materiały? – spytał Mimì na widok sznura i niedopałków.

– Zatkli prętami konia – odpowiedział Montalbano.

I opowiedział mu całą historię.

– Znasz się na koniach? – spytał na koniec.

Mimì roześmiał się.

- Wystarczy, że któryś na mnie popatrzy, i już się boję!
- Czy w całym komisariacie jest w ogóle ktoś, kto się na nich zna?
- Nie wydaje mi się – oświadczył Fazio.
- To na razie dajmy temu spokój. Jak skończyła się historia z Pepè Rizzem?

Sprawą zajmował się Mimì. Podejrzewano, że Pepè Rizzo jest hurtownikiem dostarczającym towar *vocumprà* z całej prowincji, którzy mogli u niego zaopatrzyć się w podróbki każdego towaru, od roleksów przez koszulki lacosta do płyt CD i DVD. Mimì ustalił, gdzie znajduje się hurtownia, i dzień wcześniej udało mu się dostać od prokuratora nakaz rewizji. Usłyszawszy pytanie, Augello zaczął się śmiać.

– Salvo, lepiej zapytaj, czego tam nie było! Znaleźliśmy koszulki ze znakiem firmowym identycznym jak oryginalny, aż serce bolało zostawić...

– Cisza! – przerwał mu komisarz.

Wszyscy popatrzyli się na niego ze zdumieniem.

– Catarella!

Wrzasnął tak głośno, że Faziowi z wrażenia upadły na ziemię materiały, które właśnie zbierał.

Catarella nadbiegł pędem, przed drzwiami znowu się poślizgnął, ale zdołał przytrzymać się futryny.

– Catarella, posłuchaj tego, co mówię.

– Na pana rozkazy, panie komisarzu!

– Kiedy powiedziałeś, że konie się znaczą, miałeś na myśli, że koniom wypala się znak?

– Całkiem precyzyjnie tak jest, panie komisarzu.

Oto dlaczego oprawcom tak zależało na odzyskaniu ciała!

– Dziękuję, możesz odejść. Zrozumieliście?

– Nie – odpowiedział Augello.

– Catarella przypomniał nam po swojemu, że koniom wypala się znak z inicjałami właściciela lub stajni. Nasz koń zapewne upadł właśnie na bok, na którym miał wypalone piętno, i dlatego go nie zauważyłem. Zresztą, jeśli mam być szczery, nawet mi nie przyszło na myśl, żeby czegoś takiego poszukać.

Fazio się zamyślił.

– Zaczynam podejrzewać, że imigranci...

– ...nie mieli z tym nic wspólnego – dokończył Montalbano. – Dzisiaj rano, kiedy już pojechaliście, miałem okazję się o tym upewnić. Ślady kół nie prowadziły w stronę baraków, po pięćdziesięciu metrach skręcały ku szosie. Gdzie z pewnością czekała już furgonetka.

– Jak rozumiem – wtrącił Mimì – postarali się, żeby znikł jedyny ślad, jaki mieliśmy.

– Tak więc ustalenie nazwiska właściciela nie będzie łatwe – podsumował Fazio.

– Chyba że dopomoże nam łut szczęścia – powiedział Augello.

Montalbano zauważył, że od jakiegoś czasu Fazio stał się pesymistą, brakowało mu wiary, że coś się uda zrobić. Być może zaczynał się starzeć.

Jednak mylili się całkowicie co do tego, że trudno będzie ustalić nazwisko właściciela zabitego konia.

W porze obiadu komisarz poszedł jak zwykle do Enza, ale tym razem nie celebrował podanych dań, choć na to zasługiwały. Nie mógł się pozbyć obrazu zakatowanego konia leżącego na piasku. W pewnej chwili zadał pytanie, które jego samego zaskoczyło:

– Jak smakuje końskie mięso?

– Nigdy go nie kosztowałem. Mówią, że jest słodkawe.

Zjadł niewiele, dlatego nie odczuwał potrzeby odbycia swego spaceru na molo. Wrócił do biura, bo miał do podpisania górę dokumentów.

Była czwarta po południu, gdy zadzwonił telefon.

– Panie komisarzu, do pana jedna pani się stara.

– Nie powiedziała, jak się nazywa?

– No tak, panie komisarzu. Ona powiedziała, a ja powiedziałem panu.

– Nazywa się Stara?

– Nie, nazywa się Manni.

Stara pani Manni? Nigdy o takiej nie słyszał.

– Powiedziała, o co chodzi?

– Nie, panie komisarzu.

– To niech porozmawia z Faziem albo z Augellem.

– Brakujący są, panie komisarzu.

– No dobrze, niech wejdzie.

– Nazywam się Esterman, Rachele Esterman – powiedziała czterdziestolatka w sportowej kurtce i dżinsach, wysoka, o blond włosach opadających na ramiona, niebieskich oczach, długich nogach i atletycznym, wysportowanym ciele. Krótko mówiąc, idealne wcielenie walkirii.

– Proszę, niech pani siada.

Usiadła i założyła nogę na nogę. Jak to możliwe, że tak ułożone, jej nogi wydawały się jeszcze dłuższe?

– Co panią do nas sprowadza?

– Chciałam zgłosić zaginięcie konia.

Montalbano podskoczył na krześle, ale zamaskował swój gwałtowny ruch, udając atak kaszlu.

– Widzę, że pan pali – powiedziała Rachele, pokazując na popielniczkę i paczkę papierosów na biurku.

– Tak, ale nie sędzę, że kaszel jest spowodowany...

– Nie miałam na myśli kaszlu, najwyraźniej udawanego, tylko to, że skoro pan pali, to i ja mogę zapalić papierosa.

I wyciągnęła paczkę z kieszeni.

– W zasadzie...

– Tutaj w środku jest zabronione? Nie może pan przymknąć oka na czas wypalenia jednego papierosa? Potem otworzymy okno.

Wstała, poszła zamknąć drzwi, które wcześniej zostawiła otwarte, usiadła ponownie i wsunęła sobie papierosa w usta, po czym przechyliła się do komisarza, żeby jej podał ogień.

– Niech pan mówi – oświadczyła, wypuszczając dym przez nos.

– Nie, przepraszam, przecież to pani przyszła, żeby...

– Wcześniej. Ale skoro zareagował pan tak gwałtownie na moje słowa, zrozumiałam, że już pan wie o tym zniknięciu. Prawda?

Niebieskokooka bogini byłaby pewnie w stanie zauważyć falowanie włosów w nosie swojego rozmówcy. Lepiej zagrać w otwarte karty.

– Tak, to prawda. Ale możemy omówić wszystko po kolei?

– Niech będzie.

– Mieszka pani tutaj?

– Od trzech dni jestem w Montelusie, w gościnie u przyjaciółki.

– Jeśli zamieszkuje pani, nawet tymczasowo, w Montelusie, to powinna pani zgłosić zaginięcie w...

– Konia powierzyłam komuś tutaj, w Vigacie.

– Nazwisko?

– Saverio Lo Duca.

O, kurwa! Saverio Lo Duca był jednym z najbogatszych ludzi na wyspie, a w Vigacie miał swoją stajnię. Z pięć rasowych koni, które trzymał dla ich urody, czystej przyjemności posiadania, nie wystawiał ich w konkursach czy wyścigach. Od czasu do czasu przyjeżdżał do stajni i spędzał cały dzień wśród koni. Miał wysoko postawionych przyjaciół i zadawanie się z nim przypominało brnięcie po grząskim gruncie, bo wystarczyło powiedzieć słowo za dużo, żeby ryzykować podtopienie w gównie.

– Zobaczmy, czy dobrze zrozumiałem. Przyjechała pani do Montelusy, przywożąc ze sobą konia?

Rachele Esterman popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

– Oczywiście. Musiałam.

– Dlaczego?

– Bo przecież pojutrze odbywa się w Fiakce wyścig dam, organizowany co dwa lata przez barona Piscopa di San Militello.

– Rozumiem.

Nadrabiał miną, nic nie wiedział o tym wyścigu.

– Kiedy odkryła pani zniknięcie konia?

– Ja?! Ja niczego nie odkryłam. Dzisiaj o świcie zadzwonił do mnie dozorca stajni Sciscì.

– Kto...

– Przepraszam. Sciscì to Saverio Lo Duca.

– Ale skoro poinformowano panią o świcie...

– ...dlaczego czekałam tak długo ze zgłoszeniem tego na policję?

Inteligentna bestia, nie ma co. Jednak to wpadanie mu w słowo i kończenie za niego jego zdań było bardzo irytujące.

– Bo mój leopard...

– Ma pani także leoparda?

Odrzuciła głowę do tyłu i zaczęła się śmiać z całego serca.

– Jeśli chodzi o konie, jest pan zupełnym laikiem, prawda?

– No cóż...

– Leopard to odmiana końskiej maści, tarantowatej, czyli z ciemniejszymi kropkami na jaśniejszym tle. Mój koń, który nawiasem mówiąc ma na imię Super, czasami ucieka i trzeba go szukać. Tropili go przez pół dnia i o trzeciej zadzwonili do mnie, że nie znaleźli. Wtedy pomyślałam, że jednak nie uciekł.

– Rozumiem. A może w międzyczasie...

– Zadzwoniliby na komórkę.

Zapaliła kolejnego papierosa.

– Niech mi pan przekaże złe wieści.

– Dlaczego sądzi pani...

– Panie komisarzu, jest pan mistrzem w swoim fachu. Pod pretekstem, że musimy wyjaśnić wszystko po kolei, nie odpowiedział pan na moje pytanie. Chciał pan zyskać na czasie. A to może oznaczać tylko jedną rzecz. Porwano go? Mam się spodziewać żądania wielkiego okupu?

– Jest dużo wart?

– Fortunę. To koń wyścigowy czystej krwi angielskiej.

Co zrobić? Lepiej wyjawiać prawdę po trochu, i tak szybko by się jej domyśliła.

– Nie został porwany.

Rachele Esterman oparła się o plecy krzesła, sztywna i nagle pobladła.

– Skąd pan wie? Rozmawiał pan z kimś ze stajni?

– Nie.

Montalbano, patrząc na nią, miał wrażenie, że słyszy śrubki obracające się z ogromną szybkością w jej mózgu.

– Nie... żyje?

– Tak.

Kobieta pochyliła się nad popielniczką, wyjęła papierosa z ust i zgasiła go z wielką ostrożnością.

– Został potrącony przez...

– Nie.

Widocznie nie zrozumiała od razu, bo powtórzyła sobie półgłosem:

– Nie.

Potem nagle pojęła.

– Zabito go?

– Tak.

Nie odezwała się ani słowem, wstała, podeszła do okna. Otworzyła je i oparła łokcie na parapecie. Płakała bezgłośnie.

Komisarz zostawił ją na chwilę w spokoju, potem wstał i podszedł do niej. Zobaczył, że wciąż płacze. Wyciągnął z kieszeni paczkę chusteczek higienicznych i podał jej.

Potem poszedł nalać wody z butelki, którą trzymał na segregatorze i podał Rachele szklanekę. Wypiła ją do dna.

– Chce pani jeszcze?

– Nie, dziękuję.

Wrócili razem na swoje miejsca. Rachele wyglądała na spokojniejszą, ale Montalbano bał się pytań, które teraz mu zada, na przykład...

– W jaki sposób go zabili?

...no właśnie. Oczywiście zadała trudne pytanie. Ale czy nie lepiej, żeby zamiast odpowiadać na jej pytania, opowiedział wszystko po kolei, od chwili, gdy otworzył okno?

– Proszę posłuchać – zaczął.

– Nie – odpowiedziała Rachele.

– Nie chce mnie pani wysłuchać?

– Nie. Wszystko zrozumiałam. Wie pan, że się poci?

Nie zauważył tego. Być może należało zatrudnić tę kobietę w policji, nic nie umykało jej uwagi.

– Co to oznacza?

– Że musieli go zamordować w bestialski sposób. I z trudem przychodzi panu o tym mówić. Czy tak?

– Tak.

– Mogę go zobaczyć?

– To niemożliwe.

– Dlaczego?

– Bo ci, którzy go zamordowali, zabrali ciało.

– Po co?

No właśnie, po co?

– Widzi pani, przypuszczaliśmy, że ukradli ścierwo...

To słowo musiało ją zranić, bo na moment zamknęła oczy.

– ...żebyśmy nie odkryli wypalonego znaku.

– Nie byłznaczony.

– ...i nie odkryli, kto jest jego właścicielem. Ale nasze przypuszczenia były błędne, bo pani zjawiła się tutaj, żeby zgłosić zniknięcie konia.

– Skoro wiedzieli, że zgłoszę zaginięcie, po co go zabierali? Nie sądzę, żeby chcieli mi go podrzucić do łóżka.

Montalbano zgłupiał. O co chodzi z tym łóżkiem?

– Może pani wyrazić się jaśniej?

– Nie widział pan *Ojca chrzestnego*, tej sceny, kiedy producent kinowy...

– A, prawda.

Dlaczego w filmie podrzucili uciętą głowę konia do łóżka producenta?
Przypomniał sobie.

– Proszę wybaczyć, nie otrzymała pani przypadkiem jednej z tych propozycji, na które nie można odpowiedzieć nie?

Uśmiechnęła się z przymusem.

– Otrzymałam wiele propozycji. Na niektóre odpowiedziałam tak, na inne nie. Nigdy nie było potrzeby zabijać mi konia.

– Odwiedzała już pani wcześniej te okolice?

– Ostatni raz dwa lata temu, z tego samego powodu. Mieszkam w Rzymie.

– Jest pani mężatką?

– Tak i nie.

– Stosunki z...

– ...moim mężem są bardzo dobre. Powiedziałabym braterskie. Poza tym Gianfranco wolałby popełnić sam samobójstwo, niż zabić konia.

– Nie ma pani żadnych przypuszczeń co do powodu, dla którego ktoś chciałby zrobić pani coś takiego?

– Jedynym powodem mogłoby być wyeliminowanie mnie z wyścigu pojutrze, bo na pewno bym go wygrała. Ale szczerze mówiąc, takie działanie wydaje mi się przesadą.

Wstała, Montalbano także.

– Dziękuję za pana uprzejmość.

– Nie chce wnieść pani skargi?

– Teraz, kiedy wiem, że nie żyje, to nie ma znaczenia.

– Wróci pani do Rzymu?

– Nie. Pojutrze pojedę mimo wszystko do Fiakki. Poza tym postanowiłam zostać kilka dni. Chciałabym, żeby informował mnie pan o rozwoju

wypadków, jeśli uda się panu coś odkryć.

– Mam nadzieję. Gdzie panią znajdę?

– Dam panu numer komórki.

Komisarz zapisał go na kartce i schował ją do kieszeni.

– W każdym razie – dodała kobieta – może pan zawsze zadzwonić do przyjaciółki, która mnie gości.

– Proszę mi podać numer telefonu.

– Zna go pan doskonale. To numer Ingrid Sjostrom.

3

– I w ten sposób pani Rachele Esterman w mgnieniu oka rozwiązała wszystkie nasze piękne hipotezy – podsumował Montalbano, streściwszy przebieg spotkania.

– I mamy dokładnie taką samą sytuację jak wcześniej – powiedział Augello.

– Po pierwsze: dlaczego porwali i zamordowali konia należącego do kogoś nie stąd? – zapytał Fazio.

– No cóż – zauważył komisarz – może mają na pieńku nie z nią, tylko z Saveriem Lo Duca.

– Ale w takim razie wybraliby do zarznięcia któregoś z jego koni – zaproponował Mimì.

– Być może nie wiedzieli, że ten koń nie należy do Lo Duki. A może wiedzieli i właśnie dlatego zabili.

– Nie zrozumiałem twojej logiki – powiedział Augello.

– Wyobraź sobie kogoś, kto chce zaszkodzić Lo Duce. Zepsuć mu reputację. Gdyby zamordowano jednego z jego koni, sprawa nie zyskałaby rozgłosu poza granicami prowincji. Ale jeśli zamordują konia jego znajomej, nad którym on ma pieczę, ona po powrocie do Rzymu wszystkim o tym opowie i pośrednio lub bezpośrednio mu zaszkodzi. Wszyscy wiemy, że Lo Duca chełpi się na lewo i prawo, że jest nietykalny, że wszyscy mają przed nim respekt, nawet mafia. Przekonuje cię moje rozumowanie?

– Przekonuje – powiedział Mimì.

– Wydaje się logiczne – przyznał Fazio. – Ale trochę za bardzo wydumane.

– Być może – zgodził się Montalbano. – A po drugie: dlaczego zabrali

ciało, narażając się na wielkie ryzyko?

– Wszystkie nasze przypuszczenia okazały się całkiem błędne. Szczerze mówiąc, w tej chwili nie przychodzą mi do głowy żadne nowe pomysły – powiedział Augello.

– A ty masz jakąś hipotezę?

– Nie, panie komisarzu – odpowiedział zniechęcony Fazio.

– Wobec tego dajmy na razie spokój – stwierdził Montalbano. – Kiedy komuś przyjdzie do głowy jakiś błyskotliwy pomysł...

– Chwileczkę – przerwał mu Mimì. – Pani Esterman przemyślała sprawę i postanowiła nie wnosić skargi. Chciałbym wiedzieć, na jakiej podstawie działamy?

– Działamy na podstawie, którą ci zaraz wyłożę. Najpierw jednak muszę ci zadać pytanie. Zgadzasz się, że to, co się stało, może mieć poważne reperkusje?

– No tak.

– Wobec tego przesłanki naszego działania, oficjalne czy nieoficjalne, są takie: próbować na wszelkie sposoby zapobiec możliwej reakcji. Czyjej? Nie wiemy. Jakiej? Nie wiemy. Gdzie? Nie wiemy. Kiedy? Nie wiemy. Jeśli chcesz teraz umyć ręce, bo jest tu za dużo niewiadomych, wystarczy, że mi to powiesz.

– Lubię zagadki – powiedział Mimì.

– Cieszę się, że pomożesz. Fazio, wiesz, gdzie Lo Duca trzyma swoje konie?

– Tak, panie komisarzu. W Monserrato, koło wioski Columba.

– Byłeś tam kiedyś?

– Nie.

– Jutro wybierz się tam wcześniej rano, żeby się rozejrzeć i dowiedzieć,

kto tam pracuje. Czy łatwo było jednej albo kilku osobom dostać się do środka i ukraść konia? A może musieli mieć jakiegoś współnika? Czy w nocy śpi tam tylko stróż? Jednym słowem, wszystkie informacje, które mogą się dla nas stać punktem wyjścia.

– A ja? – spytał Augello.

– Słyszałeś o Michilinie Prestii?

– Nie. Kto to?

– Były księgowy, jego imię jest przykrywką dla prawdziwych organizatorów nielegalnych wyścigów. Niech ci Fazio opowie, co o nim wie, a potem idź dalej jego tropem.

– Dobrze. Ale co mają z tym wspólnego nielegalne wyścigi?

– Nie wiem, czy mają z tym coś wspólnego, ale lepiej niczego nie zaniedbywać.

– Mogę coś powiedzieć, panie komisarzu? – wtrącił Fazio.

– Mów.

– Czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy zamienili się zadaniami z panem komisarzem Augello? Widzi pan, znam ludzi, którzy stykają się z Prestią.

– Mimì, zgadzasz się?

– *Questa o quella per me pari soono...* – zaśpiewał Mimì jak prawdziwy książę Mantui.

– No więc do widzenia i...

– Chwileczkę – zatrzymał ich Augello – nie chciałbym występować w roli cynika, ale mam pewną uwagę.

– Słuchamy.

– Być może popełniamy błąd, biorąc za dobrą monetę to wszystko, co opowiedziała nam pani Esterman.

– To znaczy?

– Salvo, oświadczyła ci, że nie ma absolutnie żadnego powodu, dla którego mogliby zamordować jej konia, i tak dalej, i tak dalej. Ale to ona tak twierdzi. A my wierzymy jak grzeczne dzieci. Skąd wiemy, że to prawda?

– Zrozumiałem. Sądzisz, że dobrze byłoby dowiedzieć się czegoś więcej o pięknej pani Rachele?

– Właśnie.

– Dobrze. Ja się tym zajmę.

Przed powrotem do Marinelli zadzwonił do Ingrid.

– Halo, czy to dom pani Sjostrom?

– Tilifon zmilony.

Skąd Ingrid brała te wszystkie egzotyczne służące?

Sprawdził numer, który wykręcił z pamięci. Był właściwy.

Może źle zrobił, używając panińskiego nazwiska Ingrid, służąca na pewno go nie znała. Ale jakie było jej nazwisko po mężu? Nie pamiętał. Zadzwonił ponownie.

– Halo? Chciałbym rozmawiać z panią Ingrid.

– Pani ni ma.

– A ty wiesz, kiedy pani wraca?

– Nie wim, nie wim.

Odłożył słuchawkę. Wykręcił numer komórki.

– Abonent chwilowo...

Zaklął i dał spokój ponownym próbom.

Usłyszał dzwoniący telefon w chwili, gdy wsuwał klucz do dziurki. Otworzył szybko drzwi i pobiegł odebrać.

– Szukałeś mnie?

To była Ingrid.

– Tak. Potrzebuję...

– Dzwonisz do mnie tylko wtedy, gdy czegoś potrzebujesz. Nigdy nie przyjdzie ci do głowy, żeby zaproponować mi romantyczną kolację, choćby i bez zwyczajowego epilogu, tylko po to, żeby spędzić razem trochę czasu.

– Wiesz, że to nieprawda.

– Niestety, jest dokładnie tak, jak mówię. Czego ci potrzeba tym razem? Pocieszenia? Pomocy? Współpracy?

– Nic z tych rzeczy. Chciałbym, żebyś opowiedziała mi coś o twojej przyjaciółce Rachele. Jest teraz z tobą?

– Nie, jest w Fiakce, na kolacji z organizatorami wyścigu. Ja nie byłam w nastroju. Wpadła ci w oko?

– Nie, nie chodzi o sprawę prywatną.

– Jacy jesteśmy oficjalni! W każdym razie musisz wiedzieć, że Rachele nie mogła się ciebie nachwalić po powrocie z komisariatu. Jaki to jesteś uprzejmy, współczujący, sympatyczny, nawet przystojny, co szczerze mówiąc, wydaje mi się już przesadą... Kiedy chcesz się spotkać?

– Kiedy ci odpowiada.

– Co byś powiedział na to, żebym wpadła do Marinelli?

– Teraz?

– Czemu nie? Co ci przygotowała Adelina?

– Jeszcze nie sprawdziłem.

– To sprawdź i nakryj do stołu na werandzie. Jestem bardzo głodna. Przyjadę za pół godziny.

Wielki talerz z czubatą porcją caponaty. Sześć barwen w słodko-kwaśnym sosie cebulowym. Porcja aż nadto wystarczająca dla dwóch osób.

Wino miał. Nakrył do stołu. Było chłodnawo, ale nie wiał nawet lekki wietrzyk. Na wszelki wypadek sprawdził, czy nie zostało jeszcze trochę whisky. Była tylko jedna butelka, w której zostało na dnie trunku może na dwa palce. Kolacja z Ingrid bez solidnego splukania alkoholem na koniec była nie do pomyślenia. Rzucił wszystko i pobiegł do samochodu.

W barze w Marinelli kupił dwie butelki za czterokrotność normalnej ceny. Gdy tylko skręcił w drogę prowadzącą do domu, zobaczył zaparkowany czerwony sportowy samochód Ingrid. Jej samej jednak nie było widać. Zawołał, nie odpowiedziała. Wtedy pomyślał, że pewnie zeszła na plażę, okrążyła dom i weszła do środka przez werandę.

Otworzył drzwi, ale Ingrid nie wyszła mu naprzeciw. Zawołał ponownie.

– Jestem tutaj – usłyszał odpowiedź z sypialni.

Postawił butelki na stole i poszedł tam. Zobaczył Ingrid, która wyczołgiwała się spod łóżka.

– Co tam robiłaś? – spytał zdumiony.

– Ukrywałam się.

– Masz ochotę bawić się w chowanego?

Dopiero wtedy spostrzegł, że Ingrid jest blada i że drżą jej usta.

– Co się stało?

– Przyjechałam, zadzwoniłam do drzwi, a ponieważ nie otwierałeś, postanowiłam wejść przez werandę. Ale gdy tylko skręciłam za róg, zobaczyłam dwóch mężczyzn wychodzących z domu. Przestraszyłam się i weszłam, myśląc, że... Potem przyszło mi do głowy, że ci dwaj mogą wrócić i schowałam się. Masz whisky?

– Ile tylko zechcesz.

Poszli do drugiego pokoju, Montalbano otworzył butelkę i nalał pół szklanki. Ingrid wypła duszkiem.

- Teraz czuję się lepiej.
- Przyjrzałaś się im?
- Nie, tylko mi mignęli. Zaraz się cofnęłam.
- Byli uzbrojeni?
- Nie potrafię powiedzieć.
- Chodź.

Zaprowadził ją na werandę.

- W którą stronę poszli?

Ingrid zawahała się.

– Nie wiem. Kiedy popatrzyłam znowu po kilku sekundach, już zniknęli, nie było ich widać.

– To dziwne. Świeci księżyc. Powinnaś była zobaczyć przynajmniej dwa oddalające się cienie.

- Nie było nikogo.

Czy to znaczy, że zaczaili się gdzieś w pobliżu, w oczekiwaniu na jego powrót?

- Poczekaj chwilę – powiedział do Ingrid.

- Za nic na świecie. Idę z tobą.

Montalbano wyszedł z domu z Ingrid praktycznie przyklejoną do jego pleców, otworzył samochód, wyjął pistolet ze schowka i włożył go do kieszeni.

- Twój samochód jest zamknięty na klucz?

- Nie.

- Zamknij go.

– Ty to zrób – powiedziała, podając mu klucze. – Ale najpierw sprawdź, czy nikt się tam nie ukrył.

Montalbano popatrzył do wnętrza samochodu, zamknął go i wrócili do

domu.

– Strasznie się przeraziłaś. Nigdy cię nie widziałem...

– Widzisz, kiedy ci dwaj sobie poszli, a ja weszłam do środka i zawołałam cię, a ty nie odpowiedziałeś, pomyślałam, że oni cię...

Urwała, objęła go i pocałowała w usta.

Oddając pocałunek, Montalbano poczuł, że wieczór zaczyna zmierzać w niebezpiecznym kierunku i poklepał Ingrid przyjacielsko po plecach.

Zrozumiała, o co chodzi, i odsunęła się od niego.

– Jak sądzisz, kto to był? – spytała.

– Nie mam pojęcia. Być może po prostu drobne złodziejaszki. Zobaczyli, że wychodzę, i...

– Nie opowiadaj mi historyjek, w które sam nie wierzysz!

– Zapewniam cię, że...

– Skąd złodzieje mogliby wiedzieć, że w domu nie ma nikogo innego?

I dlaczego nic nie ukradli?

– Nie dałaś im czasu.

– Przecież nawet mnie nie dostrzegli!

– Ale usłyszeli, jak dzwonisz do drzwi, wołasz. Chodź, Adelina przygotowała...

– Boję się jeść na werandzie.

– Dlaczego?

– Byłbyś łatwym celem.

– Ingrid, no co ty...

Na dobrą sprawę miała rację. Ale chciał ją uspokoić.

– Posłuchaj, Ingrid, odkąd mieszkam w Marinelli, czyli praktycznie od wieków, nigdy nie zjawiał się tu nikt, kto miałby złe zamiary.

– Zawsze jest ten pierwszy raz.

W tym też miała rację.

– Gdzie chcesz jeść?

– W kuchni. Zanieś tam wszystko i zamknij drzwi balkonowe. Zresztą i tak nie mam już apetytu.

Apetyt wrócił jej po wypiciu dwóch szklanek whisky.

Wyczyścili talerz z caponata, podzielili uczciwie barweny, po trzy na każde z nich.

– Kiedy zacznie się przesłuchanie? – spytała Ingrid.

– W kuchni? Chodźmy usiąść na sofie, tam będzie wygodniej.

Wzięli ze sobą butelkę ledwo napoczętego wina i wypitą do połowy butelkę whisky. Usiedli na sofie, ale Ingrid wstała, przysunęła krzesło i wyciągnęła na nim nogi. Montalbano zapalił papierosa.

– Strzelaj.

– Chciałbym się dowiedzieć o twojej przyjaciółce...

– Dlaczego?

– Bo nic o niej nie wiem.

– To dlaczego chcesz wiedzieć o niej więcej, skoro nie interesuje cię jako kobieta?

– Interesuje mnie jako komisarza.

– Co zrobiła?

– Ona nic. Ale, jak pewnie wiesz, zamordowano jej konia, zresztą w barbarzyński sposób.

– To znaczy?

– Zatłuczono go metalowymi prętami. Ale nie mów tego nikomu, nawet jej.

– Nie powiem. Jak się dowiedziałeś?

– Zobaczyłem to na własne oczy. Padł tutaj, przed moją werandą.

– Naprawdę? Opowiedz mi.

– Co mam opowiadać? Zbudziłem się, otworzyłem okno i go zobaczyłem.

– No dobrze, ale dlaczego chcesz się o niej czegoś dowiedzieć?

– Twoja przyjaciółka twierdzi, że nie ma nieprzyjaciół, dlatego musiałem założyć, że konia zamordowano, aby dokuczyć Lo Duce.

– No więc?

– Muszę się upewnić, że tak jest naprawdę. Od jak dawna ją znasz?

– Od sześciu lat.

– Jak się poznałyście?

Ingrid zaczęła się śmiać.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Tak.

– W Palermo, w hotelu Igea. Była piąta po południu, zabawiałam się w łóżku z niejakim Walterem. Zapomnieliśmy zamknąć drzwi na klucz i w pewnej chwili ona wpadła do pokoju jak rozwścieczona furia. Nie miałam pojęcia, że Walter ma inną kobietę. Walter, który już się ubierał, zdołał uciec. Wtedy rzuciła się na mnie, skamieniała na łóżku, i usiłowała mnie udusić. Na szczęście dwaj goście hotelowi, którzy przechodzili akurat korytarzem, rzucili się na pomoc i powstrzymali ją.

– Jakim cudem zostałyście przyjaciółkami po takim początku znajomości?

– Tego samego wieczoru jadłam sama kolację w hotelowej restauracji i ona przysiadła się mojego stolika. Przeprosiła za swoje zachowanie. Zaczęłyśmy rozmawiać, zgodziłyśmy się, że Walter to tchórz i kretyn, poczułyśmy do siebie sympatię, zostałyśmy przyjaciółkami. To wszystko.

- Wiele razy odwiedzała cię w Montelusie?
- Tak. Nie tylko z okazji wyścigu w Fiakce.
- Przedstawiłaś ją wielu osobom?
- Praktycznie wszystkim moim przyjaciołom. Zawarła też inne znajomości. W Fiakce ma na przykład krąg znajomych, których ja nie znam.
- Miała jakiś romans?
- Na pewno z nikim z moich przyjaciół. Ale nie odpowiadam za to, co robi w Fiakce.
- Ona o tym nie opowiada?
- Wspomniała o jakimś Guidzie.
- Chodzi z nim do łóżka?
- Nie wiem. Opisuje go jako kogoś w rodzaju wiernego rycerza.
- Nikt z twoich przyjaciół nie próbował jej poderwać?
- Jeśli o to chodzi, to prawie wszyscy.
- A wśród tych prawie wszystkich, ktoś usilniej od innych?
- No cóż, Mario Giacco.
- Czy to możliwe, że za twoimi plecami twoja przyjaciółka...
- ...poszła z nim do łóżka? Możliwe, chociaż...
- I czy mogłoby się zdarzyć, że Giacco, żeby zemścić się za to, że go rzuciła, kazał zabić jej konia?

Ingrid potrząsnęła głową.

- Wykluczam to absolutnie. Mario, który jest inżynierem, od roku przebywa w Egipcie. Pracuje dla koncernu naftowego.
- To było głupie przypuszczenie, wiem. A w jakich jest stosunkach z Lo Ducą?
- Nic nie wiem o jej stosunkach z Lo Ducą.
- Skoro powierzyła mu konia na przechowanie, muszą być

zaprzyjaźnieni. Ty znasz Lo Duce?

– Tak i uważam, że jest wyjątkowo antypatyczny.

– Rachele ci o nim opowiadała?

– Kilka razy. Raczej obojętnie. Nie sądzę, że między nimi coś jest. Chyba że Rachele ukrywa przede mną romans.

– Wcześniej jej się to zdarzało?

– No cóż, jeśli przychylić się do twoich hipotez...

– Z tego co wiesz, Lo Duca znajduje się w Montelusie?

– Przyjechał dzisiaj, kiedy dowiedział się o koniu.

– Esterman to jej panięskie nazwisko?

– Nie. To nazwisko Gianfranca, jej męża. Ona nazywa się Anselmi Del Bosco, pochodzi ze szlacheckiej rodziny.

– Powiedziała mi, że z mężem ma tylko braterskie stosunki. Dlaczego się nie rozwiedzie?

– Rozwieść się?! Co ty mówisz? Gianfranco to pobożny katolik, chodzi na mszę, spowiada się, ma jakieś stanowisko w Watykanie, nigdy nie zgodziłby się na rozwód. Chyba nie są nawet w separacji.

Zaśmiała się znowu, bezradośnie.

– Jednym słowem, jest w takiej samej sytuacji jak ja. Idę zrobić siku, ty tymczasem otwórz drugą butelkę whisky.

Wstała. Zatoczyła się najpierw na lewo, potem na prawo, odzyskała równowagę i ruszyła chwiejnym krokiem. Nawet nie zauważyli, jak wysuszyli całą butelkę.

4

I skończyło się tak jak zawsze.

Późno w nocy, gdy w drugiej butelce zostało alkoholu nie więcej niż na cztery palce, i pogadali o wszystkim, z wyjątkiem Rachele Esterman, Ingrid powiedziała, że chce jej się spać i musi zaraz się położyć.

– Odwiozę cię do Montelusy, w takim stanie nie możesz prowadzić.

– A ty to tak?

Rzeczywiście, komisarzowi niezłe kręciło się w głowie.

– Ingrid, opłuczę twarz zimną wodą i jestem gotowy.

– Ja uważam, że lepiej, jeśli wezmę prysznic, a potem pójdę do łóżka.

– Do mojego?

– A jakie inne tu są? Uwinę się szybko – mówiła bełkotliwym głosem.

– Posłuchaj Ingrid, to nie...

– Oj, co z tobą, Salvo? To przecież nie pierwszy raz, prawda? Wiesz, że lubię spać koło ciebie jak czysta dziewica.

Czysta dziewica, akurat! Już on wiedział, jaką cenę trzeba zapłacić za tę czystość: bezsenność, wstawanie w nocy, żeby wziąć szybki prysznic pod zimną wodą...

– Tak, ale widzisz...

– I to w dodatku takie erotyczne!

– Ingrid, ja nie jestem święty!

– I na to właśnie liczę – powiedziała Ingrid ze śmiechem i wstała z sofy.

Następnego ranka zbudził się późno, z wielkim bólem głowy. Wypił za dużo. Po Ingrid został na łóżku ślad odcisnięty na prześcieradle i poduszce oraz zapach jej włosów.

Popatrzył na zegarek, było prawie wpół do dziesiątej. Może Ingrid miała coś do zrobienia w Montelusie i nie chciała go budzić. Ale dlaczego nie przyszła jeszcze Adelina?

Potem przypomniał sobie, że to sobota, w soboty gosposia przychodziła koło południa, najpierw szła zrobić zakupy na cały tydzień.

Wstał, poszedł do kuchni, nastawił ekspres, żeby zrobić sobie mocną kawę, a tymczasem przez drzwi balkonowe wyszedł na werandę.

Dzień był piękny jak z pocztówki. Nie wiał nawet lekki wietrzyk i wszystko było nieruchome, oświetlone przez słońce, które zadbało, aby nigdzie nie pozostał skrawek cienia. Nie widać było żadnych surferów.

Montalbano wrócił do domu i od razu zauważył swój pistolet na stoliku.

Dziwne. Co robił...

Potem przypomniał sobie nagle poprzedni wieczór, opowieść przestraszonej Ingrid o dwóch mężczyznach, którzy weszli do domu, gdy on pojechał do baru w Marinelli, żeby kupić whisky.

Przypomniał sobie, że w szufladzie szafki nocnej trzyma zawsze kopertę z dwustoma czy trzystoma euro na wszelki wypadek. Pieniądze na bieżące wydatki wyjmował z bankomatu i nosił w kieszeni. Poszedł sprawdzić, koperta leżała na swoim miejscu, ze wszystkimi pieniędzmi w środku.

Kawa była gotowa, wypił dwie filiżanki jedna po drugiej, po czym dalej rozglądał się po domu, żeby sprawdzić, czy czegoś nie brakuje.

Po półgodzinie doszedł do wniosku, że wszystko jest na swoim miejscu. Na pozór. Bo po głowie błąkała mu się jakaś niepokojąca myśl, odczucie, że brakowało jakiejś rzeczy, tylko on tego nie zauważył.

Poszedł do łazienki, wziął prysznic, ogolił się i ubrał. Zabrał pistolet, zamknął drzwi wejściowe, wszedł do samochodu i wrzucił pistolet do schowka. Włączył silnik, ale nie ruszył z miejsca.

Nagle uświadomił sobie, co zniknęło. Musiał się upewnić. Wrócił do domu, wszedł do sypialni i otworzył znowu szufladę szafki nocnej. Złodzieje zabrali złoty zegarek jego ojca, zostawili kopertę, nie domyśliwszy się, że są w niej pieniądze. Nie zdążyli ukraść nic innego, bo przyjechała Ingrid.

Poczuł dwie przeciwstawne emocje. Wściekłość i ulgę. Wściekłość, bo był przywiązany do tego zegarka, jednej z niewielu pamiątek, które zostały mu po ojcu. Ulgę, bo był to dowód, że do domu wtargnęli dwaj przypadkowi złodzieje, zapewne nieświadomi, że chcą okraść komisarza policji.

Ponieważ tego ranka nie miał wiele do roboty w biurze, zajechał po drodze do księgarni i zaopatrzył się w nowy zapas lektur. Idąc do kasy, zauważył, że wybrał samych szwedzkich autorów: Enquista, Sjöwall i Wahlöö i Mankella. Podświadomy hołd złożony Ingrid? Potem przypomniał sobie, że potrzebne mu są także przynajmniej dwie nowe koszule. Przydałyby się też nowe slipki. I pojechał na zakupy.

Kiedy dotarł do komisariatu, było prawie południe.

– Ach, panie komisarzu, panie komisarzu!

– Co się stało, Catarè?

– Ja już telefonicznie do pana chciałem, panie komisarzu!

– Dlaczego?

– Bo jak pana nie widziałem przyjeżdżającego, to się zamartwiłem.

Przestraszyłem się, że jest pan zachorowany.

– Mam się dobrze, Catarè. Co nowego?

– Nic nie ma, panie komisarzu. Ale pan komisarz Augello, co on przyszedł dopiero co, to on chciał, żebym mu powiedział, jak pan się tylko na miejscu zjawi.

– Powiedz mu, że już jestem.

Mimì zjawił się, ziewając szeroko.

– Śpiący jesteś? Zaspałeś i zapomniałeś, że miałeś pojechać do wioski Columba...

Augello podniósł dłoń, żeby mu przerwać, ziewnął znowu głośno i usiadł.

– Ponieważ dzieciak dzisiaj w nocy nie dał nam oka zmrużyć...

– Mimì, ta wymówka zaczyna mnie wkurzać. Zaraz zadzwonię do Beby i zapytam, czy to prawda.

– I wyszedłbyś na kretyna. Beba potwierdzi. Jeśli pozwolisz mi skończyć...

– Mów.

– O piątej rano, ponieważ i tak nie spałem, pojechałem do wioski Columba. Pomyślałem, że na pewno zaczynają tam pracę bardzo wcześnie. Stajnię trudno znaleźć. Jedzie się do niej drogą do Montelusy. Po trzech kilometrach trzeba skręcić w lewo, w nieasfaltowaną prywatną drogę prowadzącą do stajni. Teren jest ogrodzony drutem kolczastym. Wjazd jest zagrodzony metalową bramką. Obok znajduje się słup z przyciskiem. Pomyślałem, żeby przeskoczyć bramkę.

– Głupota.

– Faktycznie, nacisnąłem przycisk i po dłuższej chwili z drewnianego baraku wyszedł jakiś typ, który zapytał, kim jestem.

– A ty?

– Ruszał się i gadał jak jaskiniowiec. Szkoda czasu na dyskusowanie z takim. Powiedziałem mu prosto z mostu: policja, władczym głosem. Wpuścił mnie bez oporu.

– To nie był dobry pomysł. Nie mamy upoważnienia...

– Nie czepiaj się, o nic mnie nie pytał! Nawet nie wie, jak się nazywam! Był gotów odpowiedzieć na wszystkie moje pytania, bo myślał, że jestem z Montelusy.

– Ale jeśli Esterman nie zgłosiła kradzieży, dlaczego...

– Poczekaj, zaraz do tego dojdę. My znamy tylko połowę historii. Jak się wydaje, sam Lo Duca zgłosił sprawę bezpośrednio do kwestury w Montelusie, bo to nie jest takie proste.

– Dlaczego w Montelusie?

– Stajnia znajduje się w połowie na naszym terytorium, a w połowie na podlegającym Montelusie.

– A ta historia?

– Poczekaj, najpierw ci opowiem, jak wyglądają stajnie. Za bramką, po lewej stronie stoją drewniane baraki, jeden dość duży, drugi mniejszy, oraz szopa na siano. Pierwszy barak to dom stróża, który mieszka tam na stałe, w drugim trzymają uprząże i wszystko, czego potrzeba do pielęgnacji koni. Po prawej znajduje się dziesięć boksów, w których są konie. Za ostatnim boksem zaczyna się ogromny wybieg.

– Konie są zawsze tam?

– Nie, prowadzą je na pastwiska Voscuzzy, należące do Lo Duki.

– Ale dowiedziałeś się, jak się to wszystko odbyło?

– A jakże! Troglodyta... zaraz, jak on się nazywa... poczekaj.

Augello wyciągnął z kieszeni jakąś kartkę, nałożył na nos okulary. Montalbano zeszywniał.

– Mimi!

Był to niemal krzyk. Augello popatrzył na niego zdziwiony.

– Co jest?

– Ty... ty...

– Chryste Panie, co ja zrobiłem?

– Ty nosisz okulary?!

– No tak.

– Od kiedy?

– Wczoraj wieczorem pojechałem je odebrać i dzisiaj założyłem je po raz pierwszy. Jeśli ci przeszkadzają, mogę je zdjąć.

– Boże, jaki mi się wydajesz dziwny w okularach!

– Dziwny czy niedziwny, potrzebowałem ich. A jeśli chcesz mojej rady, też powinienes zbadać sobie wzrok.

– Przecież widzę bardzo dobrze!

– To ty tak twierdzisz. Ale ja zauważyłem, że od jakiegoś czasu, kiedy czytasz, odsuwasz kartkę na odległość ramienia.

– I co to niby znaczy?

– Że jesteś dalekowidzem. Nie rób takiej miny! Używanie okularów to jeszcze nie koniec świata!

Może nie koniec świata, ale na pewno koniec pełni sił męskich. Założenie okularów oznaczało zgodę na starość, bez żadnej próby stawienia oporu.

– No więc, jak się nazywa troglodyta? – zapytał szorstko.

– Antonio Firruzza, odpowiedzialny za sprzątanie, chwilowo zastępuje stróża, który nazywa się Vario Ippolito.

– A stróż gdzie jest?

– W szpitalu.

– To znaczy, że w noc kradzieży stajni pilnował Firruzza?

– Nie, Ippolito.

– Czyli na nazwisko ma Vario?

Nie mógł się skupić. Nie był w stanie oderwać oczu od Augella w okularach.

– Nie, Vario to imię.

– Nic już z tego nie rozumiem.

– Salvo, jeśli mi będziesz w kółko przerywał, to ja też się pogubię. Co

chcemy zrobić?

- No już dobrze, dobrze.
- A zatem tej nocy, około drugiej, Ippolito zbudził dźwięk dzwonka.
- Mieszka sam?
- Uff! Zamkniesz się wreszcie? Mogę mówić czy nie? Tak, mieszka sam.
- Przepraszam. Nie byłoby ci lepiej w cieńszych oprawkach?
- Bebie podobam się w takich. Mogę mówić dalej?
- Tak, oczywiście.

– Ippolito wstał, bo pomyślał, że przyjechał Lo Duca i zachciało mu się zobaczyć swoje konie. Już tak robił wcześniej. Stróż wziął latarkę i poszedł do bramki. Weź pod uwagę, że noc była bardzo ciemna. Jednak kiedy się zbliżył do czekającego mężczyzny, zorientował się, że to nie Lo Duca. Zapytał, czego chce, i w odpowiedzi tamten wymierzył w niego pistolet. Ippolito musiał otworzyć bramkę kluczem i oddać go temu typowi, a potem on walnął go w głowę kolbą rewolweru.

– Zatem stróż nic więcej nie mógł zobaczyć. Nawiasem mówiąc, ile masz dioptrii?

Mimì wstał rozzłoszczony.

- Dokąd idziesz?
- Idę sobie i wrócę, kiedy ci przejdzie ta obsesja z okularami.
- Uspokój się, siadaj. Przysięgam, że nie będę już pytał o okulary.

Mimì usiadł.

- Na czym to stanąłem?
- Czy stróż widział kiedyś wcześniej tego faceta, który go rąbnął?
- Nigdy. A konkluzja jest taka, że Ippolito znalazł Firruzza i dwaj stajenni, którzy zajmują się końmi, w jego własnym domu, związanego, zakneblowanego i z poważnym wstrząsem mózgu.

– Zatem to nie Ippolito zadzwonił do Esterman, żeby ją powiadomić o kradzieży.

– Bez wątpienia.

– Może to był Firruzza?

– On?! Niemożliwe.

– No to kto?

– Wydaje ci się to ważne? Mogę mówić dalej?

– Przepraszam.

– No więc, Firruzza i ci dwaj od razu zobaczyli, że dwa boksy są otwarte, i zrozumieli, że ukradziono dwa konie.

– Jak to dwa? – spytał zdumiony Montalbano.

– Otóż to. Dwa. Konia pani Esterman i konia Lo Duki, bardzo do siebie podobne.

– Czyli nie byli pewni, o którego chodzi, i na wszelki wypadek zabrali oba?

– Zapytałem Pignataro, a on...

– Kto to jest Pignataro?

– Jeden z dwóch stajennych. Matteo Pignataro i Filippo Sirchia. Pignataro twierdzi, że z tych czterech czy pięciu złodziei przynajmniej jeden znał się na koniach. Pomyśl tylko, z siodlarni wzięli uprząż, razem z siodłami, należące do odpowiednich koni. A zatem wybór nie był przypadkowy, zabrali je, wiedząc dokładnie, co robią.

– Jak zabrano konie?

– Specjalnie przystosowaną ciężarówką. W niektórych miejscach widać jeszcze ślady opon.

– Kto zawiadomił Lo Duce?

– Pignataro. On także wezwał karetkę do Ippolita.

– Zatem to pewnie Lo Duca powiedział Pignatarowi, żeby zadzwonił do Esterman.

– Uczepiłeś się tej historii z telefonem do pani Esterman. Można wiedzieć, czemu to wałkujesz?

– Kiedy sam nie wiem. Jeszcze coś?

– Nie. Wydaje ci się, że mało?

– Skądże. Poradziłeś sobie.

– Dziękuję, mistrzu, za głębię, wylewność i wyrafinowanie twojej pochwały, jestem niewymownie wzruszony.

– Mimì, nie zawracaj dupy.

– Jak mamy się zachować?

– Wobec kogo?

– Salvo, nie jesteśmy niepodległą republiką Vigaty. Nasz komisariat podlega kwesturze w Montelusie. A może zapomniałeś?

– No więc?

– W Montelusie wszczęto już dochodzenie. Czy nie jest naszym obowiązkiem zawiadomić ich o tym, gdzie i jak został zabity koń pani Esterman?

– Mimì, przemyśl to. Skoro nasi koledzy prowadzą śledztwo, prędzej czy później przesłuchają także panią Esterman. Zgadza się?

– Tak.

– Pani Esterman na pewno powtórzy im słowo w słowo to, czego dowiedziała się ode mnie o swoim koniu. Zgadza się?

– Tak.

– Wtedy nasi koledzy z Montelusy rzucą się tutaj, aby zadawać nam pytania. Wtedy i dopiero wtedy grzecznie im na nie odpowiemy. Zgadza się?

– Tak. Ale co, jeśli wynik tych wszystkich kalkulacji nie będzie się

zgadzał?

– W jakim sensie?

– Ano w takim, że nasi koledzy mogą nas zapytać, dlaczego my, z własnej inicjatywy, nie powiadomiliśmy ich...

– O Matko Święta! Mimì, nie otrzymaliśmy żadnej oficjalnej skargi, a oni nawet nas nie poinformowali o kradzieży koni. Bilans wychodzi na zero.

– Jeśli ty tak twierdzisz.

– Wracając do rzeczy, kiedy przyjechałeś do stajni, ile koni było w boksach?

– Cztery.

– To znaczy, że kiedy zjawili się złodzieje, koni było sześć.

– Tak. Ale czemu bawisz się w te rachunki?

– Nie bawię się w rachunki. Zadaję sobie pytanie, dlaczego złodzieje nie skorzystali z okazji i nie zabrali wszystkich koni.

– Może nie mieli dość miejsca w ciężarówce.

– Żartujesz?

– Wątpisz w to? Wiesz, co ci powiem? Na dzisiaj dość się nagadałem. Cześć.

Wstał.

– Mimì, ale gdyby tak oprawkę, nie mówię, że inną, skoro ta się podoba Bebie, ale trochę jaśniejszą...

Mimì wyszedł, klnąc pod nosem i zatrzasnął za sobą drzwi.

Co mogła znaczyć ta cała historia z końmi? Z którejkolwiek strony na nią patrzeć, zawsze coś nie pasowało. Na przykład, koń Esterman został skradziony, żeby go zabić. Dlaczego jednak nie zabito go na miejscu, tylko zawieziono aż na plażę w Marinelli, żeby to zrobić? A ten drugi koń,

należący do Lo Duki, też został uprowadzony w tym samym celu? A jeśli tak, to gdzie? Na plażę w Santoli czy w okolicy stajni? A gdyby okazało się, że jednego konia zabito, a drugiego nie, to co mogłoby to znaczyć?

Zadzwonił telefon.

– Panie komisarzu, bo tutaj by była pani Striomstriommi.

Czego chciała Ingrid?

– Przy telefonie?

– Tak, panie komisarzu.

– Połącz mnie z nią.

– Cześć, Salvo. Przepraszam, że dzisiaj rano się z tobą nie pożegnałam, ale przypomniałam sobie, że mam coś do załatwienia.

– Nic nie szkodzi.

– Słuchaj, dzwoniła do mnie Rachele z Fiakki, dzisiaj tam nocowała. Zgodziła się brać udział w wyścigu na jednym z koni Lo Duki, dzisiaj po południu chce go wypróbować, dlatego zatrzyma się jeszcze w Fiakce. Powtórzyła chyba z dziesięć razy, że bardzo by się cieszyła, gdybyś ty też tam przyjechał ją zobaczyć.

– A beze mnie i tak pojedziesz?

– Ze złamanym sercem, ale pojedę. Zawsze tam jestem, kiedy Rachele uczestniczy w wyścigu.

Rozważył za i przeciw. Bez wątpienia towarzystwo będzie wkurzające do kwadratu, ale z drugiej strony to jedyna okazja, żeby wyrobić sobie zdanie o przyjaciółach i ewentualnych nieprzyjaciółach pani Esterman.

– O której godzinie zaczyna się wyścig?

– Jutro o piątej po południu. Jeśli ci odpowiada, przyjadę po ciebie do Marinelli o trzeciej.

To znaczy, że trzeba będzie wsiąść do samochodu zaraz po obiedzie,

z ciężkim żołądkiem.

- Potrzebujesz dwóch godzin, żeby dojechać z Vigaty do Fiakki?
- Nie, ale musimy się zjawić co najmniej godzinę przed wyścigiem.

Byłoby niegrzeczne przyjechać na sam start.

- Dobrze.
- Naprawdę? Widzisz, że miałam rację?
- W czym?
- Że moja przyjaciółka Rachele wpadła ci w oko.
- Ależ skąd, zgodziłem się, żeby spędzić z tobą kilka godzin.
- Jesteś fałszywy jak... jak...
- Aha, czekaj. Jak powinienem być ubrany?
- Nagi. Dobrze ci w nagości.

5

Fazio, który nie pokazał się przez cały rano, przyszedł do komisariatu tuż przed piątą.

– Przynosisz wieści?

– Owszem.

– Zanim otworzysz usta, chcę ci powiedzieć, że dzisiaj wczesnym rankiem Mimì pojechał do stajni Lo Duke i dowiedział się interesujących rzeczy.

I opowiedział mu, co odkrył Augello. Gdy skończył, Fazio zmarszczył czoło.

– O co chodzi?

– Panie komisarzu, proszę wybaczyć, ale czy nie byłoby lepiej, żebyśmy wobec tego nawiązali kontakt z kolegami z Montelusy i...

– Przekazali im sprawę?

– Panie komisarzu, może im się przyda informacja, że jeden z dwóch koni został zabity tutaj, w Marinelli.

– Nie.

– Jak pan sobie życzy. Ale może mi pan wyjaśnić swoje powody?

– Jeśli ci na tym zależy. To sprawa osobista. Jestem wstrząśnięty bezmyślnym okrucieństwem, z jakim zamordowano to biedne zwierzę. Chcę popatrzeć tym ludziom prosto w oczy.

– Przecież może pan powiedzieć kolegom, w jaki sposób zamordowano konia! Ze wszystkimi szczegółami!

– Opowiedzieć to jedno, a zobaczyć na własne oczy to drugie.

– Panie komisarzu, proszę wybaczyć, że nalegam, ale...

– Zmówiłeś się z Augellem?

- Ja się zmówiłem?! – Fazio zbladł.
- Przepraszam, jestem wytrącony z równowagi.

I rzeczywiście tak było. Przypomniał sobie, że zgodził się na propozycję Ingrid, a teraz przeszła mu ochota na wyjazd do Fiakki i zrobienie z siebie kretyna śliniącego się na widok Rachele, w gromadzie innych podobnych mu samców.

- Opowiedz mi o Prestii.

Fazio wciąż jeszcze był trochę obrażony.

- Panie komisarzu, nie powinien pan mnie podejrzewać o takie rzeczy.
- Przepraszam jeszcze raz, w porządku?

Fazio sięgnął do kieszeni, a komisarz zrozumiał, że czeka go wysłuchanie wszystkich danych osobowych Michilina Prestii i jego bliskich. Tak jak niektórzy zbierają znaczki, chińskie grafiki, modele samolotów, muszelki, tak Fazio kolekcjonował dane osób, na których temat prowadził dochodzenie. Zapewne po powrocie do domu wpisywał je do komputera. A kiedy miał wolny dzień, czytał je sobie ponownie dla rozrywki.

- Mogę? – spytał Fazio.
- Tak.

Wcześniej komisarzowi zdarzało się grozić Faziowi śmiercią, jeśli odważy się czytać. Tym razem jednak go obraził i musiał jakoś mu to wynagrodzić. Fazio uśmiechnął się i zaczął czytać. Topór wojenny zakopany.

– Prestia Michele, zwany Michilino, urodzony w Vigacie dwudziestego trzeciego marca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego roku, rodzice Giuseppe i Larosa Giovanna, oboje zmarli, zamieszkały via Abate Meli trzydzieści dwa w Vigacie. Żonaty od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku ze Stornello Grazią, urodzoną w Vigacie trzeciego września tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku, rodzice Giovanni i...

– A tego nie mógłbyś opuścić? – zapytał nieśmiało Montalbano, który zaczął się pocić.

– To ważne.

– W porządku, mów dalej – powiedział zrezygnowany komisarz.

– ...i Todaro Marianna. Michele Prestia i Grazia Stornello mieli syna, Balduccia, który zginął w wypadku motocyklowym w wieku osiemnastu lat. Prestia po ukończeniu kursów księgowości zatrudnił się w wieku dwudziestu lat jako pomocnik księgowego w firmie Cozzo & Rampello, która jest obecnie właścicielem trzech supermarketów. Dziesięć lat później został głównym księgowym. Zwolnił się z pracy w dwa tysiące czwartym roku. Od tej pory jest bezrobotny.

Fazio złożył starannie kartkę i schował ją z powrotem do kieszeni.

– Tyle dane oficjalne.

– A nieoficjalne?

– Zacznę od małżeństwa?

– Zaczynij, od czego chcesz.

– Michele Prestia poznał Stornello na jakimś przyjęciu weselnym i już się od niej nie odczepił. Zaczęli się spotykać, ale udało im się zachować dyskrecję. Aż pewnego dnia dziewczyna orientuje się, że zaszła w ciążę, i jest zmuszona przyznać się do wszystkiego ojcu i matce. Wtedy Michilino bierze zaległy urlop z pracy i znika.

– Nie chciał się żenić?

– Uciekał od małżeństwa jak diabeł od święconej wody! Nie mija jednak nawet tydzień i Prestia wraca do Vigaty z Palermo, gdzie ukrył się w domu przyjaciela, żeby zaproponować naprawienie reputacji dziewczyny przez wzięcie szybkiego ślubu.

– Co sprawiło, że zmienił zdanie?

– Ktoś się o to postarał.

– Kto?

– Zaraz wyjaśnię. Pamięta pan, że wymieniałem nazwisko matki Stornello Grazii?

– Tak, ale nie...

– Todaro Marianna.

I popatrzył porozumiewawczym wzrokiem na komisarza, który jednak zawiódł jego oczekiwania.

– A kto to?

– Jak to kto? Jedna z trzech siostrzenic don Balduccia Sinagry.

– Poczekaj – przerwał mu Montalbano. – Chcesz mi powiedzieć, że za nielegalnymi wyścigami kryje się Balduccio?

– Panie komisarzu, proszę nie robić skoków, jakby pan był kangurem. Jeszcze nie doszedłem do sprawy wyścigów. Zatrzymaliśmy się na małżeństwie.

– Dobrze, mów dalej.

– Todaro Marianna idzie do wujka i opowiada mu, co i z kim jej córka, i tak dalej. Don Balduccio potrzebuje raptem jednej doby, żeby odnaleźć Michilina w Palermo, i każe go przywieźć nocą tutaj, do jego willi.

– Porwanie.

– No tak, don Balduccio strasznie się przejmuje takimi rzeczami!

– Grozi mu?

– Na swój sposób. Przez dwa dni i dwie noce trzyma go w pustym pokoju, bez jedzenia i picia. Co trzy godziny do pokoju wchodzi jeden ze zbirów Balduccia, ładuje pistolet, patrzy na Michilina, celuje w niego, po czym odwraca się i wychodzi bez słowa. Na trzeci dzień zjawia się przed nim sam don Balduccio, przepaszając, że kazał mu czekać; pan wie, jaki on jest,

zawsze grzeczny i pełen uśmiechów. Michilino rzuca się przed nim na kolana, błagając go o zgodę na poślubienie Grazii. Kiedy urodził się syn, dali mu na imię Balduccio.

– Jak się potem układały stosunki między Balducciem Sinagrą i Prestią?

– Gdy upłynął rok od ślubu, don Balduccio zaproponował mu, żeby zostawił firmę Cozzo & Rampello i zaczął pracować dla niego. Ale Michilino odmówił. Powiedział don Balducciowi, że boi się, czy sobie poradzi. I don Balduccio dał mu spokój.

– A teraz?

– Teraz, a to trwa już od czterech lat, Michilino odkrył w sobie namiętność do gier hazardowych. Dopóki panowie Cozzo i Rampello nie zorientowali się, że mają potężne manko w kasie. Przez wzgląd na don Balduccia nie wytoczyli sprawy Prestii, zadowolili się zwolnieniem go z pracy. Ale chcieli dostać z powrotem swoje pieniądze. Dali mu trzy miesiące.

– A on poprosił o pomoc don Balduccia?

– Jasne. Ale don Balduccio powiedział, żeby się odwalił, bo nie ma cierpliwości do takiego dupka jak on.

– Cozzo i Rampello zgłosili sprawę do sądu?

– Nie, bo przed upływem trzech miesięcy Prestia zjawił się u nich z gotówką w ręku. Spłacił dług co do grosza.

– Kto mu dał pieniądze?

– Ciccio Bellavia.

To nazwisko komisarz znał, a jakże! Ciccio Bellavia był wschodzącą gwiazdą tak zwanych *stiddrari*, młodej mafii, która chciała uszyć buty staremu pokoleniu rodzin Sinagra i Cuffaro. Potem zdradził współników i przeszedł na stronę Cuffaro, stając się jednym z ich najbardziej zaufanych

ludzi.

Innymi słowy, za nielegalnymi wyścigami stała mafia. Jakżeby inaczej.

– Czy to Prestia zwrócił się do Bellavii?

– Nie, panie komisarzu, było na odwrót. Pewnego dnia Bellavia zjawił się u Prestii, powiedział mu, że słyszał o jego kłopotach i jest gotów...

– Ale Prestia nie powinien był się zgodzić! Wziąć te pieniądze to tak, jak zadeklarować, że wypowiada wojnę Balducciowi!

– Czy nie powiedziałem na samym początku, że Michilino to kretyn? Zero do kwadratu? Don Balduccio dobrze go podsumował, mówiąc mu, że jest dupkiem. Nie tylko to, że musiał odpłacić się Bellavii, firmując nielegalne wyścigi. Nie mógł odmówić. To znaczy, że w rezultacie naraził się Balducciowi także w interesach.

– Nie przepowiadam pogodnej starości temu Prestii.

– Ja też, panie komisarzu. Ale, proszę wybaczyć, czy wciąż widzi pan jakiś związek między zabiciem konia a wyścigami?

– Nie wiem, co powiedzieć, Fazio. Ty nie widzisz?

– W pierwszej chwili, kiedy pokazał mi pan zabite zwierzę, to ja zacząłem mówić o wyścigach. Ale teraz zmieniłem zdanie.

– Wyjaśnij to lepiej.

– Panie komisarzu, za każdym razem, kiedy wysuwamy jakąś hipotezę, okazuje się, że trafiliśmy jak kulą w płot. Pan sądził, że ukradli konia tej kobiecie z Rzymu, żeby zaszkodzić Lo Duce. Tymczasem dowiedzieliśmy się, że ukradziono także konia Lo Duki. Wobec tego po co kraść tego drugiego konia?

– No dobrze. Ale wyścigi?

– Z tego co wiem, Lo Duca nie ma z nimi nic wspólnego.

– Jesteś pewien?

– Pewien na sto procent to nie. Nie włożyłbym ręki w ogień. Ale nie wydaje mi się, żeby to było w jego stylu.

– Nie możesz polegać na tym, co ci się wydaje. Czy na przykład dziesięć lat temu mógłbyś sobie wyobrazić Prestię, który zarządza wyścigami?

– No nie.

– No to nie mów mi, że wydaje ci się, że coś nie jest w stylu Lo Duki. Powiem ci jeszcze coś. Lo Duca chwali się wszystkim, że mafia go szanuje. Albo przynajmniej tak było do wczoraj. Wiesz, dlaczego tak twierdzi? Wiesz, kto jest jego przyjacielem i kto go ochrania?

– Nie, panie komisarzu. Spróbuję się dowiedzieć.

– Wiesz, gdzie odbywają się wyścigi?

– Miejsce za każdym razem jest inne. Dowiedziałem się, że jedne odbyły się na terenach za willą Panseca...

– Tą, która należy do Pippa Panseki?

– Tak jest.

– Ale o ile wiem, Panseca...

– Rzeczywiście, Panseca nie ma z tym nic wspólnego. Być może nawet o tym nie wie. Musiał pojechać do Rzymu na jakieś dwa tygodnie, i stróż wynajął Prestii teren na jedną noc. Zapłacili mu za to tyle, że kupił sobie nowy samochód. Znowu innym razem urządzili wyścigi pod górą Crasto. Zwykle odbywają się co tydzień.

– Zaraz. Urządzają je nocą?

– Jasne.

– To jak są w stanie coś zobaczyć?

– Mają doskonałe wyposażenie. Pan wie, że kiedy kręcą film, wożą ze sobą prądnicę? Ci tutaj mają taki sprzęt, że mogą oświetlić wszystko, jakby to był jasny dzień.

– Ale jak informują klientów o godzinie i miejscu wyścigu?

– Panie komisarzu, klientów, którzy się liczą, bo robią zakłady na duże sumy, jest może ze trzydziestu czy czterdziestu, inni to płotki, jeśli przyjdą, to dobrze, jeśli nie, to też nic się nie stanie. Za dużo ludzi z samochodami mogłoby zaszkodzić biznesowi.

– Ale jak ich informują?

– Zaszifrowanymi telefonami.

– Nic nie możemy poradzić?

– W sytuacji, w jakiej jesteśmy?

Posiedział jeszcze dwie godziny w komisariacie, po czym wsiadł do samochodu, żeby wrócić do Marinelli. Zanim nakrył do stołu na werandzie, zachciało mu się wziąć prysznic. Jeszcze w jadalni wyjął wszystkie rzeczy z kieszeni, żeby położyć je na stoliku, i w ten sposób znalazł kartkę, na której zapisał numer komórki pani Esterman. Przyszło mu do głowy, że musi ją o coś zapytać. Mógł to zrobić następnego dnia, kiedy spotkają się w Fiakce. Ale czy będzie miał sposobność? Kto wie, ile osób będzie się kręciło w pobliżu. Nie, lepiej zadzwonić teraz, zwłaszcza że nie było jeszcze nawet wpół do dziewiątej. Zdecydował, że to będzie lepsze rozwiązanie.

– Halo? Pani Esterman?

– Tak. Kto mówi?

– Komisarz Montalbano.

– O nie! Niech mi pan nie mówi, że zmienił pan zdanie!

– W jakiej sprawie?

– Ingrid powiedziała mi, że jutro przyjedzie pan tutaj do Fiakki.

– Będę na pewno.

– Bardzo, bardzo się cieszę. Niech pan sobie zarezerwuje wieczór,

idziemy na kolację i będzie pan jednym z moich gości!

Chryste Panie! Co to, to nie!

– Niestety, jutro wieczorem...

– Niech pan nie szuka głupich wymówek.

– Ingrid też będzie na kolacji?

– Nie może się pan nigdzie ruszyć bez niej?

– Nie, ale ponieważ to ona zawozi mnie do Fiakki, myślałem, że z powrotem...

– Niech się pan nie martwi, Ingrid też będzie. Dlaczego pan do mnie zadzwonił?

– Ja?

Wizja kolacji, ludzi, których będzie musiał wysłuchiwać, smakołyków, jakie pewnie zostaną podane, a on będzie je musiał przełknąć, choćby przyprawiały go o mdłości, wszystko to sprawiło, że zapomniał, że to on zadzwonił.

– Ach tak, przepraszam. Ale nie chciałbym zajmować pani czasu. Jeśli jutro znajdzie pani pięć minut...

– Jutro będzie wielkie zamieszanie. Teraz mam trochę czasu, bo przygotowuję się na kolację.

Z Guidem? Romantyczna kolacyjka przy świecach?

– Proszę posłuchać...

– Niech mi pan mówi po imieniu.

– Rachele, posłuchaj. Pamiętasz, jak powiedziałaś mi, że o koniu powiadomił cię stróż ze stajni...

– Tak, pamiętam, że to powiedziałam. Ale najwyraźniej się pomyliłam.

– Dlaczego?

– Bo Scisci, przepraszam, Lo Duca, powiedział mi, że biedny nocny stróż

jest w szpitalu. A jednak...

– Tak?

– A jednak jestem niemal pewna, że ten człowiek podał się za stróża. Ale wiesz, spałam, był wczesny rano, poprzedniego wieczoru położyłam się bardzo późno...

– Rozumiem. Lo Duca powiedział ci, komu zlecił zatelefonowanie do ciebie z wiadomością?

– Nikomu tego nie zlecił. Zresztą byłoby to tchórzostwem z jego strony. To był jego obowiązek.

– I zrobił to?

– Oczywiście! Zadzwoił z Rzymu koło dziewiątej.

– Powiedziałaś mu, że już ktoś go uprzedził.

– Tak.

– Skomentował to jakoś?

– Powiedział, że pewnie ktoś ze stajni zadzwonił z własnej inicjatywy.

– Masz jeszcze minutę?

– Posłuchaj, jestem w wannie i rozkoszuję się kąpielą. Słyszeć twój głos tak blisko mojego ucha w tej chwili to... nie powiem więcej.

Uff, gorąca kobieta ta Rachele Esterman, nie ma co!

– Powiedziałaś mi, że po południu zadzwoniłaś do stajni...

– Mylisz się. To do mnie ktoś zadzwonił, żeby powiedzieć, że koń się jeszcze nie znalazł.

– Przedstawił się?

– Nie.

– To był ten sam głos co rano?

– Tak... tak mi się zdaje.

– Rozmawiałaś z Lo Ducą o tym drugim telefonie?

– Nie. Powinam była?

– Nie, niekoniecznie. Rachele, wobec tego ja...

– Poczekaj.

Na jakieś pół minuty zapadła cisza. Połączenie nie zostało przerwane, bo Montalbano słyszał oddech Rachele. Potem ona powiedziała półgłosem.

– Zrozumiałam.

– Co takiego?

– To, co podejrzewasz.

– To znaczy?

– Że osoba, która dzwoniła do mnie dwa razy, to nie był nikt ze stajni, tylko jeden z tych, którzy porwali i zabili konia. Czy tak?

Doświadczona, piękna i inteligentna.

– Tak.

– Dlaczego to zrobili?

– W tej chwili nie potrafię ci odpowiedzieć.

Chwila ciszy.

– Aha, a czy wiadomo coś o koniu Lo Duki?

– Zaginął po nim wszelki ślad.

– Dziwne.

– No cóż, Rachele, nie mam innych...

– Chciałam ci coś powiedzieć.

– Słucham.

– Jesteś bardzo sympatyczny. Lubię z tobą rozmawiać, być z tobą.

– Dziękuję – odpowiedział trochę zmieszany Montalbano, nie wiedząc, jak ma zareagować.

Ona się roześmiała. Wyobraził ją sobie, nagą, wyciągniętą w wannie, jak się śmieje z głową odrzuconą do tyłu. Po plecach przebiegł mu zimny

dreszcz.

– Nie sądzę, żebyśmy jutro mieli okazję znaleźć jakiś spokojny kąt...
dlatego, może...

Urwała, jak gdyby przyszła jej do głowy jakaś myśl. Montalbano czekał przez chwilę, potem chrząknął, dokładnie tak, jak robią to w angielskich powieściach.

Ona odezwała się znowu.

– W każdym razie postanowiłam zostać w Montelusie jeszcze trzy lub cztery dni, chyba już ci to mówiłam. Mam nadzieję, że będziemy mieli okazję się spotkać. Do jutra, Salvo.

Wziął prysznic i poszedł na werandę, żeby zjeść kolację. Adelina przygotowała sałatkę z ośmiorniczek, która starczyłaby dla czterech osób, oraz olbrzymie krewetki, do przyprawienia tylko oliwą, cytryną, solą i pieprzem.

Zjadł i wypił, myśląc tylko o głupotach.

Potem wstał i zadzwonił do Livii.

– Dlaczego nie zadzwoniłeś wczoraj wieczorem? – zapytała na wstępie.

Miał jej powiedzieć, że upił się z Ingrid i zapomniał o telefonie?

– Nie mogłem.

– Dlaczego?

– Byłem zajęty?

– Z kim?

Uff, co za zawracanie dupy!

– Jak to z kim? Z moimi ludźmi.

– Co robiliście?

Teraz to już się wkurzył.

- Robiliśmy zawody.
 - Zawody?!
 - W tym, kto opowie największą durnotę.
 - I ty naturalnie wygrałeś! Nie masz rywali na tym polu.
- I tak zaczęła się ich zwyczajowa relaksująca nocna kłótnia.

6

Po rozmowie z Livią przeszła mu ochota, żeby iść od razu do łóżka. Wrócił na werandę, potrzebował pomyśleć o czymś, co nie miałyby związku ani z Livią, ani ze sprawą konia.

Noc była spokojna, ale dość ciemna, z trudem odróżniało się nieco jaśniejszą linię morza. Dokładnie na wprost werandy, nad powierzchnią wody widać było światło latarni, która w ciemnościach wydawała się bliższa brzegu, niż była naprawdę.

Nagle Montalbano poczuł w ustach smak smażonej świeżej soli. Przełknął ślinę.

Miał dziesięć lat, kiedy wuj zabrał go po raz pierwszy i ostatni na połów z latarnią, najpierw spędziwszy cały wieczór na przekonywaniu żony, żeby na to pozwoliła.

– A jeśli dzieciak wypadnie za burzę?

– Co ci przychodzi do głowy? Jeśli wypadnie za burzę, to go wyłowimy. Jesteśmy we dwójkę, ja i Ciccino, nie ma się czego bać!

– A jeśli zmarznie?

– Daj mu sweter, będzie mu zimno, to go włoży.

– A jeśli zachce mu się spać?

– To się prześpi na dnie łodzi.

– A ty, Salvuzzu, chcesz popłynąć?

– No...

Marzył o tym za każdym razem, kiedy wuj wypływał na połów. W końcu ciotka się zgodziła, udzieliwszy im licznych rad i zaleceń.

Noc, pamiętał, była tak samo ciemna, bezksiężycowa. Widać było wszystkie światła wzdłuż brzegu.

W pewnej chwili Ciccino, sześćdziesięcioletni marynarz, który wiosłował, powiedział:

– Niech zapala.

Wuj zapalił latarnię. Dawała bardzo mocne, niemal błękitne światło.

Montalbanowi zdało się, że piaszczyste dno morza nagle zbliżyło się na wyciągnięcie ręki, było całkowicie oświetlone i zobaczył ławicę rybek, które oślepione blaskiem, zatrzymały się i patrzyły w stronę latarni.

Były tam przezroczyste meduzy, dwie ryby przypominające węże, rodzaj kraba, który pełzał...

– Jeśli będziesz się tak wychylał, wypadniesz za burtę – powiedział szeptem Ciccino.

Rzeczywiście, nie zdawał sobie sprawy, że wychylił się tak bardzo, iż niemal dotykał twarzą powierzchni wody. Jego wuj siedział na rufie, z harpunem mającym dziesięć zębów i trzymetrowy trzonek, przywiązany do przeguba sznurem długim też na trzy metry.

– Dlaczego – spytał Montalbano Ciccina również szeptem, żeby nie spłoszyć ryb – w łódce są jeszcze dwa inne harpuny?

– Jeden to harpun na skały, a drugi na otwarte morze. Ten pierwszy ma grubsze zęby, a ten drugi ostrzejsze.

– A ten, który ma w ręce wuj?

– Harpun na dno. Chce łowić sole.

– A gdzie są?

– Zakopane pod piaskiem.

– Jak je zobaczy, skoro są schowane?

– Są zagrzebane tuż pod piaskiem i można zobaczyć dwie czarne kropki oczu. Przyglądaj się, może i ty je dostrzeżesz.

Potem poczuł wstrząs łodzi, syk harpuna przebijającego wodę z wielką

siłą. Wuj powiedział:

– Mam ją!

Wbita na zęby harpuna miotała się wściekle sola wielka jak ramię Montalbana. Po dwóch godzinach, kiedy wuj złowił tak z dziesięć płastug, postanowił trochę odpocząć.

– Jesteś głodny? – spytał go Ciccino.

– Bardzo.

– Przygotować jedzenie?

– Tak.

Ciccino wciągnął wiosła do łodzi, otworzył worek i wyjął z niego patelnię, przenośną kuchenkę gazową, butelkę oleju, paczkę mąki i małą paczkę soli. Montalbano patrzył na te przygotowania ze zdumieniem. Jak można jeść w środku nocy? Tymczasem Ciccino postawił patelnię na kuchence, wlał olej, obtoczył dwie sole w mące i zaczął smażyć.

– A ty? – spytał wuj.

– Ja sobie usmażę później. Są zbyt wielkie, nie zmieści się jeszcze jedna.

Wuj, czekając, aż ryby będą gotowe, wyjaśnił Montalbanowi, że trudność łowienia harpunem polega na załamaniu światła. On nic z tego nie zrozumiał, pojął tylko, że wydaje się, że ryba jest w jednym miejscu, a w rzeczywistości znajduje się trochę dalej.

Gdy sole zaczęły się smażyć, zapach zaostrzył mu apetyt. Zjadł jedną, trzymając ją nad stroną wydartą z gazety i parząc sobie usta i rękę.

W ciągu następnych czterdziestu sześciu lat nigdy nie doświadczył takiego samego smaku.

Mediolańczycy zabijają w sobotę – głosił tytuł opowiadań Scerbanenki, które czytał wiele lat wcześniej. Zabijali w sobotę, bo w inne dni tygodnia

byli za bardzo zajęci pracą.

Sycylijczycy nie zabijają w niedzielę – mógłby natomiast brzmieć tytuł książki, której nikt jeszcze nie napisał.

Bo w niedzielę Sycylijczycy udają się na poranną mszę z całą rodziną, potem idą odwiedzić dziadków i zostają u nich na obiad, po południu oglądają mecz w telewizji, a wieczorem, także z rodziną, idą na lody. Gdzie tu znaleźć czas, żeby kogoś zabić?

Dlatego też komisarz zdecydował, że weźmie prysznic później niż zazwyczaj, pewny, że nie zakłóci mu spokoju żaden telefon od Catarelli.

Wstał, otworzył drzwi balkonowe. Ani podmuchu wiatru, na niebie żadnej chmurki.

Poszedł do kuchni, zaparzył kawę, nalał sobie dwie filiżanki, jedną wypił w kuchni, drugą zaniósł do sypialni. Wziął papierosy, zapalniczkę i popielniczkę, położył je na szafce nocnej i wyciągnął się w pozycji półsiedzącej na łóżku, podpierając plecy dwiema poduszkami.

Wysączył kawę kropla po kropli i zapalił papierosa, zaciągając się z podwójnym zadowoleniem. Po pierwsze, smak nikotyny był jeszcze lepszy zaraz po wypiciu kawy, a po drugie, nie było obok niego Livii, która zaraz by mu zagroziła:

– Albo zgasisz tego papierosa, albo ja wstaję i idę sobie! Ile razy ci mówiłam, że nie chcę, żebyś palił w sypialni?

I on musiałby zgasić.

Teraz za to mógł sobie wypalić bodaj paczkę, mając w dupie cały świat.

– Nie należałoby pomyśleć o dochodzeniu? – spytał go pierwszy Montalbano.

– Zostawisz mnie raz w spokoju? – odezwał się drugi Montalbano, zawsze skłócony z pierwszym.

– Dla prawdziwego policjanta niedziela to taki sam dzień roboczy jak wszystkie inne!

– Przecież nawet Pan Bóg wypoczywał siódmego dnia!

Montalbano udał, że nie słyszy tych dwóch głosów i palił dalej. Skończywszy papierosa, wyciągnął się na łóżku i spróbował zamknąć oczy.

Z wolna w jego nozdrza wślizgnął się leciutki słodki zapach, który przywiódł mu na myśl obraz Rachele nagiej w wannie...

Potem uprzytomnił sobie, że Adelina nie zmieniła poszewki na poduszkę, na której poprzedniej nocy spała Ingrid, i że rozgrzana ciałem Montalbana pościel zaczęła emanować pozostałością jej zapachu.

Próbował opierać się przez kilka minut, ale nie był w stanie i musiał wstać z łóżka, żeby powstrzymać niebezpieczne poruszenia w regionach południowych.

Zimny prysznic przepędził mu z głowy złe myśli.

– Ale dlaczego złe? – spytał pierwszy Montalbano. – To są dobre i błogosławione myśli!

– W twoim wieku? – spytał złośliwie drugi Montalbano.

Kiedy zaczął się ubierać, stanął przed dylematem.

W niedzielę Adelina nie przychodziła, dlatego na obiad musiał pójść siłą rzeczy do Enza. Jednak Enzo otwierał o wpół do pierwszej. Nie wyjdzie z restauracji wcześniej niż po półtorej godziny, czyli około drugiej.

Będzie miał czas, żeby wrócić do Marinelli i przebrać się przed przyjazdem Ingrid? Ona, jak to Szwedka, na pewno przyjedzie równo o trzeciej.

Nie, lepiej od razu ubrać się wyjściowo.

Tak, ale w co? Na wyścigi wystarczyłaby sportowa marynarka, ale na kolację? Ma zabrać ze sobą walizkę ze zmianą ubrania? No nie, to śmieszne.

Zdecydował się na szary garnitur, który wkładał dotąd tylko na pogrzeb i na ślub. Ubrał się starannie, wyprasowana koszula, krawat, wypastowane buty. Przejrzał się w lustrze i uznał, że wygląda śmiesznie.

Rozebrał się do majtek i usiadł niepocieszony na łóżku.

Nagle przyszło mu do głowy, że może jest jakieś wyjście z sytuacji: mógłby zadzwonić do Ingrid, powiedzieć jej, że strzelili do niego, ale na szczęście kula otarła się o czaszkę, dlatego...

A jeśli przestraszona Ingrid przypędzi do Marinelli? Nie ma problemu. Położy się do łóżka z obandażowaną głową, miał przecież w domu pod dostatkiem gazy i bandażu...

– Nie bądź śmieszny! – powiedział pierwszy Montalbano. – To wszystko wymówki! Prawda jest taka, że nie masz ochoty spotykać się z tymi ludźmi!

– Skoro nie ma ochoty, to czy musi ich koniecznie spotykać? Gdzie jest napisane, że ma obowiązek pojechać do Fiakki? – odpowiedział drugi Montalbano.

W rezultacie o dwunastej trzydzieści komisarz zjawił się u Enza w szarym komplecie i pod krawatem, ale z twarzą...

– Co się stało, umarł ktoś? – zapytał Enzo na widok komisarza tak ubranego i z grobową miną.

Montalbano zaklął pod nosem, ale nie odpowiedział. Zjadł bez apetytu. Za piętnaście trzecia był z powrotem w Marinelli. Zdążył się odświeżyć przed przyjazdem Ingrid.

– Jesteś bardzo elegancki – powiedziała.

Ona sama była w dzinsach i koszulce.

– Idziesz tak ubrana także na kolację?

– Ależ skąd! Przebiorę się. Zabrałam wszystko ze sobą.

Dlaczego dla kobiet to takie łatwe zmienić sukienkę, a mężczyzna ma z tym tyle problemów?

– Nie możesz jechać wolniej?

– Jadę bardzo wolno.

Na obiad zjadł bardzo mało, ale i ten mizerny posiłek podchodził mu do gardła za każdym razem, gdy Ingrid ścinała zakręty z szybkością co najmniej sto dwadzieścia na godzinę.

– Gdzie odbywa się wyścig?

– Za Fiakką. Baron Piscopo di San Militello wybudował prawdziwy hipodrom, mały, ale doskonale wyposażony, na tyłach swojej willi.

– A kto to taki ten baron Piscopo?

– Poczciwy i uprzejmy sześćdziesięciolatek, który poświęca się zbożnym uczynom.

– Pieniądze zarobił poczciwością?

– Pieniądze zostawił mu w spadku ojciec, akcjonariusz wielkiej niemieckiej huty żelaza, a on umiał nimi mądrze zarządzać. A jeśli już mowa o pieniądzach, masz coś przy sobie?

Montalbano popatrzył zdziwiony.

– Płaci się za wejście na wyścig?

– Nie, ale robi się zakłady o to, która dama wygra. Właściwie zrobienie zakładu jest obowiązkowe.

– Jest tam bukmacher?

– No co ty! Pieniądze z zakładów są przeznaczone na cele charytatywne.

– A zwycięzca co dostaje?

– Zwycięzcy dają pocałunek temu, kto na nią postawił. Ale nie wszyscy to akceptują.

– Dlaczego?

– Niby przez galanterię. Ale naprawdę to dlatego, że czasami zwycięzcy są okropnie brzydkie.

– Stawki są wysokie?

– Nie bardzo.

– Ile mniej więcej?

– Tysiąc, dwa tysiące euro. Niektórzy stawiają więcej.

Kurwa! To co dla Ingrid było wysoką stawką? Milion euro? Montalbano zaczął się pocić.

– Ale ja nie...

– Nie masz pieniędzy?

– W kieszeni mam może ze sto euro.

– Masz książeczkę czekową?

– Tak.

– To lepiej. Czek jest bardziej elegancki.

– Dobrze, ale ile?

– Wypisz na tysiąc euro.

Wszystko można by powiedzieć o komisarzu, tylko nie to, że jest skąpy. Ale wyrzucenie tysiąca euro, żeby obejrzeć wyścig razem z bandą nadętych kretynów, wydało mu się naprawdę przesadą.

Trzysta metrów przed willą zatrzymał ich jakiś typ, który miał na sobie nowiutką liberię i wyglądał, jakby wyszedł prosto z siedemnastowiecznego obrazu. Jedyńm zgrzytem była jego twarz, która z kolei wyglądała, jak gdyby jej właściciel dopiero co wyszedł z Sing-Sing po spędzeniu trzydziestu lat w mamrze.

– Nie można jechać dalej samochodem – oświadczył rzezimieszek.

– Dlaczego?

– Nie ma już miejsca.

– To co mamy zrobić? – spytała Ingrid.

– Niech pójdą na piechotę. Mi zostawi klucze, to ja zaparkuję.

– Przez ciebie przyjechaliśmy za późno – poskarżyła się Ingrid, wyciągając z bagażnika jakiś rodzaj worka.

– Przeze mnie?

– No tak. Cały czas tylko marudziłeś, jedź wolno, jedź wolno...

Samochody po obu stronach drogi, zapełniały też ogromny podjazd. Przed wejściem do ogromnej trzypiętrowej willi z wieżyczką stał kolejny typ w złoczonej liberii. Majordom? Miał co najmniej dziewięćdziesiąt dziewięć lat i żeby się nie przewrócić, wspierał się na czymś w rodzaju laski pasterskiej.

– Dzień dobry, Armando – powiedziała Ingrid.

– Dzień dobry, proszę pani. Wszyscy są na zewnątrz – powiedział Armando głosem cienkim jak pajęczyna nitka.

– Zaraz do nich dołączymy. Proszę to wziąć – podała mu worek – i zanieść do pokoju pani Esterman.

Armando wziął worek jedną ręką, ale pod wpływem ciężaru przechylił się na bok. Montalbano podtrzymał go. Staruszek był tak kruchy, że mógłby się przewrócić, gdyby mucha siadła mu na ramieniu.

Przeszli przez hall przywodzący na myśl dziesięciogwiazdkowy wiktoriański hotel, olbrzymi pokój ze ścianami zapełnionymi portretami przodków, kolejny, jeszcze większy, napakowany zdobionymi zbrojami, z którego troje drzwi balkonowych prowadziło na zadrzewioną aleję. Aż do tej chwili, z wyjątkiem rzezimieszka i majordoma, nie spotkali żywej duszy.

– Gdzie są wszyscy?

– Są już na miejscu. Pospiesz się.

Aleja prowadziła prosto przez jakieś pięćdziesiąt metrów, po czym rozdzielała się na prawo i na lewo.

Gdy tylko Ingrid skręciła w lewą aleję, zamkniętą między wysokimi żywopłotami, uszu Montalbana doszedł wielki hałas głosów, śmiechów i krzyków.

Nagle znalazł się na trawniku ze stolikami, krzesłami, parasolami i leżakami. Były też dwa długie stoły z jedzeniem i piciem, przy których krzatali się kelnerzy w białych garniturach. Z boku znajdował się drewniany domek z okienkiem, za którym stał jakiś człowiek. Do okienka ustawiała się kolejka.

Na trawniku tłoczyło się co najmniej trzysta osób, mężczyzn i kobiet. Niektórzy siedzieli, inni stali, śmiejąc się i rozmawiając w małych grupach. Za trawnikiem widać było tak zwany hipodrom.

Ludzie ubrani byli jak na karnawał. Wśród mężczyzn byli rycerze, dżentelmeni w cylindrach, jak z przyjęcia u królowej angielskiej, był ktoś w dżinsach i golfie, ktoś w stroju tyrolskim, w mundurze straży leśnej (przynajmniej tak się wydało komisarzowi), a nawet jeden przebrany za Araba, inny w szortach i plażowych sandałach. Co do kobiet, niektóre miały kapelusze wielkie jak lądowiska helikopterów, inne mini do połowy pupy lub długie treny, o które każdy, kto niebacznie się do nich zbliżył, musiał się potknąć, ryzykując skreślenie karku. Była także jedna w meloniku i dziewiętnastowiecznym stroju do konnej jazdy oraz dwudziestolatka w dżinsach tak obcisłych, na jakie pozwalała jej obfita tylna część podarowana przez matkę naturę.

Kiedy skończył się rozglądać, zorientował się, że nie ma koło niego Ingrid. Poczul się zagubiony. Naszła go pokusa, by odwrócić się na pięcie, przebiec aleje, salony willi, dotrzeć do samochodu Ingrid, schować się w nim

i...

– Przecież to pan komisarz Montalbano! – zawołał jakiś męski głos.

Odwrócił się. Głos należał do niezwykle chudego, wysokiego czterdziestolatka w koszulce khaki, krótkich skarpetkach, kolonialnym kasku na głowie i z lornetką przewieszoną przez ramię. Miał nawet fajkę w ustach. Może sądził, że znalazł się w Indiach w czasach kolonialnych. Podał komisarzowi spoconą, miękką dłoń, która wydawała się kromką namoczonego chleba.

– Bardzo mi miło! Markiz Ugo Andrea di Villanella. Jest pan krewnym porucznika Columbo?

– Porucznika karabinierów w Fiakce? Nie, nie jestem...

– Nie miałem na myśli porucznika karabinierów, tylko tego z telewizji, wie pan, tego w prochowcu i z żoną, której nigdy nie pokazują...

Kretyn czy żarty sobie z niego robi?

– Nie, jestem bliźniakiem komisarza Maigreta – odpowiedział szorstko.

Tamten wydawał się rozczarowany.

– Niestety, nie znam.

Oddalił się. Niewątpliwie kretyn, i to w dodatku stuknięty.

Zbliżył się inny typ, ubrany jak ogrodnik, w zabrudzonych, śmierdzących spodniach i z łopata w ręku.

– Chyba jest pan tu nowy.

– Tak, to pierwszy raz...

– Na kogo pan postawił...

– Tak naprawdę to jeszcze nie...

– Chce pan rady? Niech pan postawi na Beatrice della Bicocca.

– Ja nie...

– Zna pan taryfy?

– Nie.

– Wyrecytuję je panu. „Gdy dasz jednego tysiaka, /dostaniesz w czoło buziaka. / Pięć tysięcy, oferta tłusta, / zasmakujesz buziaka w usta. / Ale za dziesięć tysięcy / możesz liczyć i na więcej”.

Skłonił się i poszedł sobie.

Co to za jakiś pieprzony dom wariatów? A poza tym czy ta Beatrice della Bicocca to nie jest właśnie ta nieuczciwa konkurentka?

– Salvo, chodź tutaj!

Nareszcie ujrzał Ingrid, która wołała go, machając ręką. Skierował się w jej stronę.

– Pan komisarz Montalbano. Właściciel domu, baron Piscopo di San Militello.

Baron, wysoki i chudy, ubrany był dokładnie tak, jak przewodnik polowania na lisa w jakimś filmie, który oglądał Montalbano. Tylko że aktor z filmu miał czerwoną kurtkę, a baron nosił zieloną.

– Miło mi pana powitać – powiedział baron, podając mu rękę.

– Dziękuję – odpowiedział Montalbano, ściskając ją.

– Wszystko w porządku?

– Jak najbardziej.

– Cieszę się.

Baron popatrzył na niego z uśmiechem i klasnął głośno. Komisarz zmieszał się. Co miał zrobić? Także klasnąć? Może to jakiś obyczaj wśród tych ludzi, żeby przy takich okazjach klaskać na znak zadowolenia? Wobec tego komisarz też klasnął. Baron popatrzył na niego ze zdziwieniem, a Ingrid zaczęła się śmiać. W tej samej chwili kelner w liberii podał baronowi zakręcony róg. Oto dlaczego baron klasnął, wzywał kelnera! Podczas gdy Montalbano czerwienił się z powodu swojej gafy, baron przyłożył róg do ust i zadął. Róg wydał ostry, przenikliwy dźwięk, który zabrzmiał jak sygnał do ataku kawalerii. Montalbanowi, którego uszy znajdowały się w odległości dziesięciu centymetrów od rogu, zadzwoniło w głowie.

Zapadło milczenie. Baron oddał róg kelnerowi i wziął od niego mikrofon.

– Ladies and gentlemen! Proszę o uwagę! Przypominam, że za dziesięć

minut kasa zostanie zamknięta i nie będzie już można robić zakładów.

– Proszę wybaczyć, panie baronie – powiedziała Ingrid, biorąc pod rękę Montalbana i ciągnąc go za sobą.

– Dokąd idziemy?

– Zrobić zakład.

– Przecież nawet nie wiem, kto się ściga!

– Są tylko dwie faworytki. Benedetta di Santo Stefano i Rachele, mimo iż nie jedzie na swoim koniu.

– Jaka jest ta Benedetta?

– Karlica z wąsami. Chciałbyś, żeby cię pocałowała? Nie bądź głupi, musisz postawić na Rachele, tak jak ja.

– Ale jaka jest Beatrice della Bicocca?

Ingrid zatrzymała się nagle i popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Znasz ją?

– Nie. Chciałem tylko wiedzieć...

– To dziwka. O tej porze pieprzy się pewnie z jakimś stajennym. Zawsze to robi przed wyścigiem.

– Dlaczego?

– Mówi, że potem lepiej czuje konia. Wiesz, że kierowcy Formuły 1 wyczuwają tyłkiem, jak zachowuje się samochód? Beatrice czuje konia swoją...

– Dobrze już, dobrze, zrozumiałem.

Wypisali czeki na wolnym stoliku.

– Poczekaj tu na mnie – powiedziała Ingrid.

– Ależ nie, ja pójdę – zaofiarował się Montalbano.

– Popatrz, jest kolejka. Mnie przepuszczą.

Nie wiedząc, co robić, zbliżył się do jednego z nakrytych stołów.

Wszystko, co było do jedzenia, zostało już pożarte. Wytworni goście, ale wygłodzeni gorzej niż plemię Burundi po porze suchej.

– Życzy pan sobie czegoś? – spytał kelner.

– Tak, J&B bez lodu.

– Whisky się skończyła, proszę pana.

Musiał się koniecznie czegoś napić w celach reanimacyjnych.

– No to koniak.

– Także koniak się skończył.

– Macie jakiś alkohol?

– Nie, proszę pana. Została oranżada i coca-cola.

– To proszę o oranżadę – powiedział Montalbano, wpadając w depresję, zanim jeszcze zaczął pić.

Ingrid przybiegła, trzymając w ręku dwa pokwitowania, podczas gdy baron po raz drugi dawał sygnał do ataku kawalerii.

– Chodź, baron nas wzywa na hipodrom.

I dała mu jego pokwitowanie.

Hipodrom był nieduży i raczej prymitywny. Ograniczał się do wielkiego okrągłego toru, ogrodzonego po dwóch stronach płotem ze splecionych gałęzi.

Były też dwie drewniane wieżyczki, na których nie było jeszcze nikogo. W głębi toru znajdowało się sześć boksów startowych w rzędzie, także pustych. Goście mogli stać wzdłuż toru.

– Ustawmy się tutaj – powiedziała Ingrid. – Jesteśmy blisko mety.

Oparli się o ogrodzenie. Niedaleko od nich widniała biała linia narysowana na ziemi, najwyraźniej wyznaczająca metę, a na jej wysokości, ale po wewnętrznej stronie toru, stała jedna z wieżyczek, przeznaczona może dla sędziów.

Na drugiej wieżyczce pojawił się baron Piscopo z mikrofonem w ręce.

– Proszę o uwagę! Panowie sędziowie, hrabia Emanuele della Tenaglia, pułkownik Rolando Romeres, markiz Severino di San Severino, są proszeni o zajęcie miejsca na wieży!

Łatwiej powiedzieć, niż wykonać. Na platformę wieżyczki prowadziła drewniana, dość niewygodna drabina. Zważywszy, że najmłodszy z sędziów, markiz, ważył co najmniej sto dwadzieścia kilo, że pułkownik był trzęsącym się osiemdziesięciolatkiem, a hrabia miał sztywną lewą nogę, kwadrans, który zajęło im dotarcie na szczyt wieży, można było uznać za czas rekordowy.

– Zdarzyło im się już wspinać przez trzy kwadransy – powiedziała Ingrid.

– Zawsze ci sami?

– Tak. To tradycja.

– Proszę o uwagę. Proszę szlachetne amazonki o zajęcie miejsc w przydzielonych im boksach.

– W jaki sposób przydzielają boksy?

– Losują.

– Dlaczego nigdzie nie widać Lo Duke'a?

– Pewnie jest z Rachele. Ona jedzie na jego koniu.

– Wiesz, który boks jej przydzielono?

– Pierwszy, najbardziej wewnętrzny.

– I nie mogło być inaczej! – skomentował jakiś typ, który stał po lewej stronie Montalbana i słyszał całą wymianę zdań.

Komisarz odwrócił się do niego. Było to spocony pięćdziesięciolatek, o głowie tak łysej i błyszczącej, że od patrzenia na nią bolały oczy.

– Co pan ma na myśli?

– To, co powiedziałem. Mają odwagę nazywać to losowaniem, chociaż

odpowiada za nie Guido Costa! – powiedział spocony typ z niesmakiem i oddalił się.

– Zrozumiałaś, co on miał na myśli? – spytał Montalbano Ingrid.

– Oczywiście! Złośliwe języki, jak zwykle! Ponieważ za losowanie odpowiada Guido, ten facet twierdził, że losowanie zostało sfałszowane na korzyść Rachele.

– A ten Guido to...

– Tak.

A zatem w towarzystwie wiedziano, że między tymi dwójkiem coś było.

– Ile robią okrążeń?

– Pięć.

– Proszę o uwagę! Od tej chwili sędzia startowy może dać sygnał do rozpoczęcia wyścigu.

Nie minęła nawet minuta i rozległ się strzał z pistoletu.

– Ruszyli!

Montalbano oczekiwał, że baron będzie pełnił funkcję komentatora, ale on uciszył się, odłożył mikrofon i złapał za lornetkę.

Pod koniec pierwszego okrążenia Rachele była trzecia.

– Kim są te dwie na czele?

– Benedetta i Beatrice.

– Myślisz, że Rachele się uda?

– Trudno powiedzieć. Widzisz, nie zna tego konia...

Potem rozległy się głośne krzyki i po drugiej stronie toru zobaczyli biegnących ludzi.

– Beatrice spadła – powiedziała Ingrid. I dodała złośliwie: – Może nie udało jej się osiągnąć stanu, w którym dobrze czuje konia.

– Ladies and gentlemen. Informuję was, że Beatrice della Bicocca spadła,

ale na szczęście nic jej się nie stało.

Po drugim okrążeniu Benedetta dalej prowadziła, ale za nią wysunęła się amazonka, której komisarz nie znał.

– Kto to?

– Veronica del Bosco, nie powinna być groźna dla Rachele.

– Dlaczego Rachele nie wykorzystała upadku Beatrice?

– Bo ja wiem.

Na początku ostatniego okrążenia Rachele przesunęła się na drugą pozycję. Na odcinku stu metrów gnały z Benedettą łeb w łeb, podczas gdy rozentuzjasmowany tłum wznosił gromkie okrzyki. Ku swemu zdziwieniu Montalbano też zaczął wołać:

– Rachele! Dalej, Rachele!

Jednak na trzydzieści metrów przed metą koń Benedetty jakby dostał skrzydeł i Rachele nie była w stanie nic zrobić.

– Szkoda! – powiedziała Ingrid. – Na własnym koniu na pewno by wygrała. Przykro ci?

– No cóż, trochę.

– Przede wszystkim dlatego, że nie dostaniesz całusa od Rachele, prawda?

– Co teraz robimy?

– Teraz baron przeczyta wyniki.

– Jakie wyniki? Wszyscy wiemy, kto wygrał.

– Są interesujące. Poczekaj.

Montalbano zapalił papierosa. Trzy czy cztery osoby, które stały w pobliżu, odsunęły się, patrząc na niego z potępieniem.

– Ladies and gentlemen! – oświadczył baron z wieżyczki. – Mam przyjemność oznajmić wam, że całkowita kwota zakładów wynosi sześćset

tysięcy euro! Jestem wam naprawdę bardzo wdzięczny!

Zważywszy na to, że na wyścigu było około trzystu osób i że byli to głównie arystokraci i bogaci biznesmeni, nie można powiedzieć, żeby bardzo się wysilili.

– Amazonka, na którą postawiono najwięcej, to pani Rachele Esterman.

Rozległy się oklaski. Rachele przegrała wyścig, ale przyniosła największe zyski imprezie.

– Proszę, by nie pozostawiali państwo na trawniku, gdzie trzeba nakryć stoły do kolacji, ale przeszli do salonów w willi.

Zanim Montalbano i Ingrid odwrócili się plecami do toru, zdążyli jeszcze zobaczyć dwóch kelnerów, którzy zdejmowali pułkownika Romerese z wieżyczki, trzymając go pod pachy.

– Idę się przebrać – powiedziała Ingrid, oddalając się. – Zobaczymy się za godzinę w salonie przodków.

Montalbano poszedł do salonu, znalazł jakimś cudem wolny fotel i usiadł. Musiał jakoś spędzić godzinę, nie myśląc o tym, z czego zdał sobie sprawę, oglądając wyścig, i co wprawiało go w bardzo zły humor. Stwierdził, że słabo widzi, nie dało się dłużej zaprzeczać. Za każdym razem, gdy konie skręcały na przeciwległy odcinek toru, nie był w stanie rozróżnić koloru kurtek amazonek. Wszystko się zamazywało, kontury robiły się niewyraźne. Gdyby nie Ingrid, nie zorientowałby się nawet, że z konia spadła Beatrice della Bicocca.

– No więc? Co w tym dziwnego? – spytał pierwszy Montalbano. – To starość, Mimì miał rację!

– Co ty pieprzysz? – zdenerwował się drugi Montalbano. – Mimì Augello twierdzi, że aby coś przeczytać, musi oddalić kartkę na odległość ramienia. To jest dalekowzroczność, typowa dla starszych ludzi. Natomiast tutaj

mówimy o krótkowzroczności, która z wiekiem nie ma nic wspólnego!

– To co ma z tym wspólnego?

– No nie wiem, może zmęczenie, chwilowa niedyspozycja...

– W każdym razie pójście na wizytę kontrolną nie byłoby...

Dyskusja została przerwana przez typa, który ustawił się na wprost fotela.

– Pan komisarz Montalbano! Rachele mówiła mi, że pan tu jest, ale nie mogłem pana znaleźć.

To był Lo Duca. Wysoki, elegancki pięćdziesięciolatek, o opaleniznie nabytej w solarium. Olśniewający uśmiech, starannie uczesane szpakowate włosy. Rozmawiając z takim, trzeba siłą rzeczy używać superlatywów. Montalbano wstał, uścisnęli sobie ręce. Lo Duca pachniał ekskluzywną wodą kolońską.

– Może wyjdziemy na dwór? – zaproponował Lo Duca. – Tutaj w środku panuje straszny zaduch.

– Ale baron powiedział...

– Niech pan zapomni o baronie, chodźmy.

Przeszli przez salon ze zbrojami i wyszli na dwór przez jedne z drzwi balkonowych. Zamiast podążyć aleją, Lo Duca skręcił jednak od razu w lewo. Był tutaj zadbane ogród z trzema altanami. Dwie były zajęte, ale trzecia wolna. Robiło się już ciemno, lecz w jednej z altan świeciło się światło.

– Mam włączyć? – spytał Lo Duca. – Niech mi pan wierzy, lepiej tego nie robić. Komary zjedzą nas żywcem. Do czego zresztą i tak dojdzie w czasie kolacji.

W altanie stały dwa wygodne wiklinowe fotele i stolik, na którym znajdowały się flakon z kwiatami i popielniczka. Lo Duca wyciągnął paczkę papierosów i skierował ją w stronę komisarza.

– Dziękuję, wolę swoje.

Zapalili.

– Proszę wybaczyć, że przejdę od razu do rzeczy – powiedział Lo Duca. – Być może nie ma pan teraz ochoty rozmawiać o sprawach związanych z pracą...

– Proszę się nie krępować.

– Dziękuję. Rachele – zaczął Lo Duca – powiedziała mi, że poszła na komisariat, żeby zgłosić kradzież jej konia, ale potem zrezygnowała z tego, bo pan powiedział jej, że koń został zabity.

– Tak.

– Rachele była może zbyt wstrząśnięta, kiedy powiedział jej pan, że koń został zamordowany z wielką brutalnością, nie była w stanie powiedzieć dokładniej...

– To prawda.

– Ale jak pan się o tym dowiedział?

– Przypadkiem. Koń zdechł akurat pod oknami mojego domu.

– Czy to prawda, że potem zabrano także ciało?

– Tak.

– Przypuszcza pan dlaczego?

– Nie. A pan?

– Być może.

– Jeśli pan chce, proszę mi powiedzieć.

– Oczywiście, że to panu powiem. Kiedy – jeżeli w ogóle – zostanie odnalezione ciało Rudiego, mojego konia, prawdopodobnie okaże się, że został on zamordowany w taki sam sposób. Chodzi o zemstę.

– Podzielił się pan tym przypuszczeniem z moimi kolegami z Montelusy?

– Nie. Tak samo jak i pan, z tego co wiem, nie powiedział jeszcze swoim

kolegom z Montelusy o znalezieniu martwego konia Rachele.

Trafiony, nie ma co. Lo Duca znalazł się na szermierce.

Trzeba zachować ostrożność.

– Powiedział pan, że to zemsta?

– Tak.

– Mógłby pan wyrazić się jaśniej?

– Tak. Trzy lata temu miałem gwałtowną kłótnię z jednym z moich stajennych i w ataku wściekłości uderzyłem go w głowę metalowym prętem. Nie sądziłem, że wyrządę mu większą krzywdę, niestety zrobiłem z niego inwalidę. Naturalnie zadbałem nie tylko o pokrycie wszystkich kosztów leczenia, ale wypłacam mu miesięczne wynagrodzenie równe pensji, którą u mnie pobierał.

– Ale skoro sprawy tak się mają, dlaczego ten człowiek miałby...

– Niech pan posłucha, od trzech miesięcy jego żona nie ma od niego żadnych wiadomości. Pomieszało mu się w głowie. Pewnego dnia wyszedł z domu, mruczając groźby pod moim adresem, i od tej pory go nie widziano. Krążą pogłoski, że związał się ze środowiskami przestępczymi.

– Mafijnymi?

– Nie. Przestępczymi. Zwykłymi kryminalistami.

– Dlaczego ten człowiek nie ograniczył się do zamordowania pańskiego konia, ale porwał także konia pani Esterman?

– Nie sądzę, aby w chwili kradzieży zdawał sobie sprawę, że to nie mój koń. Zapewne dowiedział się potem.

– O tym też nie powiedział pan moim kolegom z Montelusy?

– Nie. I nie sądzę, że im powiem.

– Dlaczego?

– Bo uważam, że byłoby niewłaściwe odgrywać się na nieszczęśniku, za

którego niezrównoważenie umysłowe to ja jestem odpowiedzialny.

– A dlaczego mnie pan to opowiedział?

– Bo podobno pan, kiedy chce zrozumieć, rozumie.

– Jako że jestem człowiekiem, który rozumie, może mi pan podać nazwisko tej osoby?

– Gerlando Gurreri. Ale czy mam pana słowo, że nikomu pan tego nie przekaże?

– Może pan być spokojny. Jednak wyjaśnił mi pan motyw, ale nie powód, dla którego usunięto ciało.

– Myślę, że Gurreri, jak już powiedziałem, ukradł dwa konie, sądząc, że oba należą do mnie. Któryś z jego wspólników wyjawiał mu jednak, że jeden z nich należy do Rachele. Wtedy zamordowali go i schowali zwłoki, żebym się męczył z niepewności.

– Nie rozumiem.

– Panie komisarzu, jaką ma pan pewność, że zabity koń, którego widział pan na plaży, to był ten Rachele, a nie mój? Zabierając zwłoki, uniemożliwili identyfikację. Pozostawiając mnie w niepewności, sprawiają, że jeszcze bardziej cierpię. Byłem bardzo przywiązany do Rudiego.

Rozumowanie wydawało się logiczne.

– Proszę zaspokoić moją ciekawość. Kto zawiadomił panią Esterman o kradzieży konia?

– Myślałem, że ja. Ale jak się zdaje, ktoś zrobił to wcześniej.

– Kto?

– No cóż, może jeden z dwóch stajennych. Rachele zostawiła zresztą stróżowi numery telefonów, pod którymi można ją zastać. Stróż trzymał kartkę z tymi numerami przyklepioną do drzwi. Jeszcze tam wisi. Czy to ważne?

– Tak, bardzo.

– Proszę to lepiej wyjaśnić.

– Widzi pan, jeśli nikt ze stajni nie dzwonił do pani Esterman, znaczy to, że dzwoniącym był Gerlando Gurreri.

– Dlaczego miałby to robić?

– Może dlatego, że sądził, że pan będzie próbował nie powiadamiać pani Esterman o kradzieży konia tak długo, jak się da, w nadziei, że zdąży go pan odnaleźć, na przykład zapłaciwszy za niego duży okup.

– Inaczaj mówiąc, chodziło o to, żebym stracił twarz i stał się przedmiotem drwin?

– To prawdopodobny scenariusz, nie wydaje się panu? Ale jeśli powie mi pan, że Gurreri jest na tyle pomyłony, że nie byłby w stanie zdobyć się na taką perfidię, przypuszczenie upada.

Lo Duca zamyślił się przez chwilę.

– No cóż – powiedział w końcu. – Być może telefon nie był pomysłem Gurreriego, tylko któregoś z jego wspólników.

– To też możliwe.

– Salvo, gdzie jesteś?

Wołała go Ingrid.

8

Saverio Lo Duca wstał. Montalbano także.

– Przepraszam, że zająłem panu tyle czasu, ale, jak sam pan rozumie, okazja była zbyt cenna, bym nie chciał jej wykorzystać.

– Salvo, gdzie jesteś? – zawołała znowu Ingrid.

– Ależ to żaden kłopot! Co więcej, to ja chcę panu serdecznie podziękować za to, co był pan uprzejmy mi powiedzieć.

Duca lekko się skłonił. Montalbano tak samo.

Równie elegancki i dystyngowany dialog trudno by sobie było wyobrazić nawet w dziewiętnastym wieku między wicehrabią di Castelfrombone, którego Buglione był antenatem, a księciem Lomanto o genealogii sięgającej piętnastego wieku^[1].

Skęcili za róg. Ingrid, przebrana w elegancką kreację, stała przed drzwiami balkonowymi i rozglądała się dookoła.

– Jestem tutaj – zawołał komisarz, podnosząc rękę.

– Proszę wybaczyć, że pana zostawię, ale muszę się spotkać z... – powiedział Lo Duca, przyspieszając kroku i nie dodając, z kim musi się spotkać.

W tej samej chwili rozległo się głośnie uderzenie gongu. Może podstawili pod niego mikrofon, w każdym razie huk zdawał się zapowiadać początek trzęsienia ziemi. Które w istocie nastąpiło.

Z wnętrza willi rozbrzmiał chaotyczny i orgiastyczny chór głosów:

– Kolacja! Kolacja!

Potem nastąpiło zjawisko, które opisać można tylko jako lawinę albo wystąpienie rzeki z brzegów. Tłocząc się, popychając, depcząc sobie po stopach, rozpychając łokciami, rzeka rozgadanych kobiet i mężczyzn wylała

się na aleję przez drzwi balkonowe. Ingrid zaginęła w tym ludzkim morzu, które porwało ją do przodu z nieubłaganą siłą. Odwróciła się w stronę Montalbana, otworzyła usta, zawołała coś, ale słów nie można było dosłyszeć. Wyglądało to jak finał melodramatu. Osłupiały Montalbano miał wrażenie, że w willi wybuchł pożar, ale wesołe twarze przepychających się ludzi uświadomiły mu, że się myli. Odsunął się, żeby i jego nie porwał ludzki potok, i czekał, aż zamieszanie się uspokoi. Cóż to za wilcze apetyty mieli ci wszyscy arystokraci, przedsiębiorcy, ludzie interesu? Wyjedli już dwa stoły przekąsek, a zachowywali się, jakby nie mieli nic w ustach od tygodnia.

Kiedy fala się wyczerpała i ostatni trzej czy czterej spóźnialscy pognali przed siebie niczym sprinterzy na olimpiadzie, Montalbano odważył się wrócić na aleję. Gdzie miał teraz znaleźć Ingrid? A gdyby tak zamiast iść na kolację, wziął od rzezimieszka w liberii kluczyki do samochodu i zaszył się w środku na dwugodzinną drzemkę? Wydało mu się to świetnym pomysłem.

– Panie komisarzu! – rozległ się kobiecy głos.

Odwrócił się w stronę salonu, z którego właśnie wyłoniła się Rachele Esterman. Towarzyszył jej pięćdziesięciolatek, tego samego wzrostu co ona, w ciemnoszarym garniturze, łysawy, z twarzą szpiega doskonałego.

Twarzą szpiega była dla komisarza twarz całkowicie bezbarwna, której nie sposób sobie przypomnieć, nawet jeśli dzień wcześniej przyglądało się jej cały czas. Oblicze à la James Bond to nie jest twarz dla szpiega, bo gdy raz się je zobaczy, już się go nie zapomni i wrogowie mogą je łatwo rozpoznać.

– Guido Costa. Komisarz Montalbano.

Rzeczony komisarz Montalbano musiał zrobić duży wysiłek, żeby oderwać oczy od Rachele i popatrzeć na Costę. Gdy ją ujrzał, zabrakło mu tchu. Ubrała się w rodzaj czarnego worka do kolan, przytrzymywanego przez cienkie ramiączka. Jej nogi były dłuższe i piękniejsze nawet od nóg Ingrid.

Włosy rozsypane na ramionach, naszyjnik z kamieni na szyi. W ręce trzymała narzutkę.

– Idziemy? – spytał Guido Costa.

Miał głos aktora dubbingującego filmy porno, ciepły i głęboki, jak głosy używane w takich filmach do szeptania obłeśnych rzeczy do ucha kobiet. Być może ten bezbarwny Guido miał jednak jakieś ukryte zalety.

– Kto wie, czy będzie jeszcze miejsce – powiedział Montalbano.

– Nie martw się – odezwała się Rachele – mam zarezerwowany stolik dla czterech osób. Ale trudno będzie odnaleźć Ingrid.

Okazało się to wcale nietrudne. Czekala już na nich, stojąc przy zarezerwowanym stoliku.

– Spotkałam Giogio! – zawołała wesoło Ingrid.

– Ach, Giogio – powiedziała z uśmieszkiem Rachele.

Montalbano zauważył porozumiewawczą wymianę spojrzeń między dwiema kobietami i wszystko zrozumiał. Giogio musiał być którymś z dawnych kochanków Ingrid. Kto powiedział, że odgrzewane kotlety nie są smaczne, być może tym razem nie miał racji. Komisarz przestraszył się, że Ingrid zachce się spędzić noc z odnalezionym Giogio i w rezultacie on, Montalbano, będzie musiał spać w samochodzie aż do świtu.

– Będzie ci przykro, jeśli przeniosę się do stołu Giogio? – spytała Ingrid.

– Nie, skądże.

– Jesteś aniołem.

Pochyliła się i pocałowała go w czoło.

– Ale...

– Nie bój się. Po kolacji przyjdę po ciebie i wrócimy do Vigaty.

Zbliżył się kelner, który przyglądał się scenie, i zabrał nakrycie Ingrid.

– Czy ten stolik pani odpowiada, pani Esterman?

– Tak, Matteo, dziękuję.

Podczas gdy kelner się oddalał, Ester wyjaśniła Montalbanowi:

– Poprosiłam Mattea, żeby zarezerwował dla nas stolik na obrzeżu oświetlonego terenu. Mniej wygodny do jedzenia, za to nie będą nas tak męczyć komary.

Na trawniku stały dziesiątki cztero- i dziesięcioosobowych stołów, oświetlonych jaskrawym światłem reflektorów zamontowanych na czterech żelaznych wieżyczkach. Bez wątpienia miliony komarów z Fiakki i okolic już nadlatywały w stronę światła.

– Guido, przepraszam, zapomniałam z pokoju papierosów.

Guido podniósł się i bez słowa poszedł w stronę willi.

– Ingrid powiedziała mi, że na mnie postawiłeś. Dziękuję. Jestem ci winna pocałunek.

– Dobrze się spisałaś.

– Na moim biednym koniu na pewno bym wygrała. Nawiasem mówiąc, gdzieś mi zginął Sciscì, to znaczy Lo Duca. Chciałam was ze sobą poznać.

– Już się poznaliśmy, zdążyliśmy nawet porozmawiać.

– Ach tak? Przedstawił ci swoją hipotezę o kradzieży dwóch koni i przyczynie, dlaczego zabito mojego?

– Hipotezę zemsty?

– Tak. Uważasz ją za prawdopodobną?

– Czemu nie?

– Widzisz, Sciscì to prawdziwy dżentelmen. Chciał koniecznie wynagrodzić mi utratę konia.

– Odmówiłaś?

– Oczywiście. Jaka w tym jego wina? Chyba pośrednia... Biedaczek był tak zmartwiony... Także dlatego, że trochę się z niego nabijałam.

– Co mu powiedziałaś?

– No cóż, on się chwali, że tu na Sycylii wszyscy go szanują, nikt nie ośmieliłby się wyrządzić mu krzywdy, a tymczasem...

Podszedł kelner z trzema talerzami, postawił je i oddalił się.

Była to żółtawa zupa z zielonkawymi zaciekami, o woni przypominającej trochę sfermentowane piwo, a trochę terpentynę.

– Zaczekamy na Guida? – spytał Montalbano.

Nie z uprzejmości, ale po prostu dlatego, żeby zebrać się na odwagę i zacząć konsumpcję.

– Ależ nie. Zrobi się zimna.

Montalbano napełnił łyżkę, podniósł ją do ust, zamknął oczy i przełknął jej zawartość. Miał nadzieję, że zupa przynajmniej będzie bez smaku, tak jak te, które dają w jadłodajniach dla bezdomnych, ale było gorzej. Paliła przełyk. Musieli do niej dodać kwasu solnego. Po przełknięciu drugiej łyżki wpół uduszony komisarz otworzył oczy i zobaczył, że Rachele pochłonęła swoją zupę z szybkością błyskawicy, bo jej talerz był pusty.

– Jeśli ci nie smakuje, to możesz mi ją dać – powiedziała Rachele.

Czy to możliwe, żeby smakowało jej to świństwo? Podał jej talerz.

Ona wzięła go, przechyliła lekko, wylała zawartość na trawnik i oddała komisarzowi.

– To jedna z zalet stolika na uboczu.

Zjawiał się Guido z papierosami.

– Dziękuję. Jedz swoją zupę, mój drogi, bo ci wystygnie. Jest pyszna, prawda, panie komisarzu?

Ta kobieta musiała mieć instynkty sadystyczne. Guido Costa posłusznie zjadł w milczeniu całą zupę.

– Prawda, że była smaczna, kochanie? – spytała Rachele.

Pod stołem jej kolano porozumiewawczo trąciło dwa razy kolano Montalbana.

– Niezła – odpowiedział nieszczęśnik zachrypłym nagle głosem.

Najwyraźniej kwas solny spalił mu struny głosowe.

Potem wydało się nagle, jakby przed reflektorami przepłynęła chmura.

Komisarz popatrzył w górę: owszem, była to chmura, ale komarów. Nie minęła nawet minuta, a w dźwięk rozmów i śmiechów wkradł się odgłos klepnięć. Mężczyźni i kobiety zaczęli się uderzać w policzki, w czoła, w szyje, w uszy.

– Gdzie zostawiłam swoją narzutkę? – spytała Rachele, zaglądając pod stół.

Także Montalbano i Guido pochylili się, aby popatrzeć. Nic nie zobaczyli.

– Widocznie upadła mi, kiedy szykowaliśmy się do wyjścia. Idę po drugą, inaczej komary zjedzą mnie żywcem.

– Ja pójdę – odezwał się Guido.

– Jesteś aniołem. Wiesz, gdzie leży? Na pewno jest w dużej walizce. Albo w szufladzie w szafie.

Nie ulegało wątpliwości, że tych dwoje śpi razem, zachowywali się ze zbytnią poufałością. Ale wobec tego, dlaczego Rachele tak się zachowywała? Sprawiało jej przyjemność traktowanie go jak chłopca na posyłki?

Gdy tylko Guido się oddalił, Rachele powiedziała:

– Przepraszam.

Wstała. I Montalbano osłupiał. Bo Rachele najspokojniej w świecie wyciągnęła narzutkę, na której przedtem usiadła, zarzuciła ją sobie na ramiona, uśmiechnęła się do Montalbana i powiedziała:

– Nie mam ochoty jeść tych świństw.

Zrobiła ledwie dwa kroki i już zniknęła w nieprzeniknionych ciemnościach zaraz za stolikiem. Montalbano nie wiedział, co robić. Pójść za nią? Nie powiedziała mu, żeby to zrobił. Potem w mroku ujrzał światełko zapalniczki.

Rachele zapaliła papierosa i stała na trawniku, za ledwie kilka metrów dalej. Może coś ją zirytowało i chciała pobyć sama.

Zjawił się kelner, znowu z trzema talerzami. Tym razem przyniósł smażone cefale.

Przerażony komisarz wciągnął w nozdrza charakterystyczny odór ryby zdechłej przed tygodniem.

– Salvo, chodź tutaj.

Wstał od stołu nie tyle na wezwanie Rachele, ile żeby uciec od smrodu ryby. Wszystko, żeby tylko nie musieć jej jeść.

Zbliżył się do niej, idąc w kierunku czerwonego ognika papierosa.

– Stań przy mnie.

Sprawiało mu przyjemność patrzeć na jej usta, pojawiające się i znikające za każdym wciągnięciem dymu.

Kiedy skończyła palić, rzuciła na ziemię niedopałek, zgasła go butem.

– Chodźmy.

Montalbano odwrócił się w stronę stołu, ale ona zaczęła się śmiać.

– Dokąd idziesz? Chcę się pożegnać z Promieniem Księżyca. Zabierają go jutro rano.

– A Guido?

– Poczekaj. Co podali na drugie?

– Cefalę złowioną najmniej osiem dni temu.

– Zabraknie mu odwagi, żeby jej nie zjeść.

Wzięła go za rękę.

– Chodź. Nie znasz tego miejsca. Ja cię zaprowadzę.

Dłoń Montalbana dobrze się poczuła w tym rozkosznie ciepłym gnieździe.

– Gdzie znajdują się konie?

– Na lewo od toru.

Byli jakby w małym zagajniku, w nieprzeniknionych ciemnościach. Komisarz stracił poczucie kierunku i irytowało go to. Ryzykował, że rozbije sobie o coś głowę. Na szczęście sytuacja zaraz się poprawiła, bo Rachele przesunęła dłoń Montalbana na swój bok i przykryła ją własną dłonią, dzięki czemu szli objęci.

– Tak lepiej?

– Tak.

Pewnie że tak było lepiej. Teraz dłoń Montalbana miała podwójną przyjemność: ciepło kobiecego ciała i ciepło dłoni Rachele. Nagle zagajnik się skończył i przed sobą komisarz zobaczył dużą łąkę, w której głębi widać było słabe światełko.

– Widzisz to światło? Tam są boksy.

Teraz, kiedy zrobiło się jaśniej, Montalbano chciał zabrać rękę, ale ona ścisnęła mu ją jeszcze mocniej.

– Zostańmy tak. To jest dla ciebie nieprzyjemne?

– Nie... nie.

Usłyszał, jak się śmieje. Montalbano szedł z pochyloną głową, patrząc na ziemię, bał się, że noga wpadnie mu w jakąś dziurę lub że się o coś potknie.

– Nie rozumiem, dlaczego baron kazał zainstalować tę bramę, która nie ma sensu. Od lat tu przyjeżdżam i zawsze tak jest – powiedziała w pewnej chwili Rachele.

Montalbano podniósł wzrok. Przed sobą zobaczył otwartą bramę z kutego

żelaza. Po bokach nie było niczego, ani ogrodzenia, ani płotu.

– Nie rozumiem, po co tu jest – powtórzyła Rachele.

Komisarz poczuł jakiś nieprzyjemny niepokój, nie potrafił sobie wytłumaczyć z jakiego powodu. Trochę tak, jak kiedy ktoś znajdzie się w miejscu, w którym nigdy nie był, a jednak odnosi wrażenie, że jest mu już ono znane.

Kiedy doszli do stajni, Rachele puściła rękę Montalbana, wyswobadzając się z objęcia. Z jednego z boksów wychyliła się głowa konia, który najwyraźniej wyczuł obecność kobiety. Rachele podeszła do zwierzęcia, zbliżyła usta do jego ucha i zarzuciwszy ramię na szyję konia, zaczęła coś do niego mówić po cichu. Pogładziła go po czole, odwróciła się do Montalbana, objęła go i pocałowała długo i namiętnie, przywierając swoim ciałem do jego ciała. Komisarzowi wydało się, że temperatura powietrza wzrosła nagle co najmniej o dwadzieścia stopni. Potem Rachele odsunęła się.

– To nie jest pocałunek, jaki dałabym ci, gdybym wygrała.

Montalbano nie odpowiedział, wciąż oszołomiony. Złapała go za rękę i przyciągnęła do siebie.

– Dokąd teraz pójdziemy?

– Chcę nakarmić Promień Księżyca.

Zatrzymała się przed szopą na siano, drzwi były zamknięte, ale wystarczyło je pociągnąć i otworzyły się. Zapach siana był tak mocny, że aż duszący. Ona weszła, komisarz za nią. Gdy tylko znalazł się w środku, Rachele zamknęła drzwi.

– Gdzie jest światło?

– Daj spokój.

– Przecież nic nie widać.

– Ja widzę – powiedziała Rachele.

I nagle znalazła się, naga, w jego ramionach. Wyskoczyła z ubrania w ułamku sekundy.

Zapach jej skóry był upajający. Uwieszona na szyi Montalbana, z ustami przyklejonymi do jego ust, pociągnęła go w dół, na siano. Komisarz był tak osłupiały, że zachowywał się jak bezwolny manekin.

– Obejmij mnie – zażądała zmienionym głosem.

Montalbano objął ją. Po chwili obróciła się na brzuch.

– *Dosiądź mnie!* – powiedział szorstki głos.

Odwrócił się, żeby popatrzeć na kobietę.

Nie była już kobietą, ale prawie koniem. Ustawiała się na czworakach...

Sen!

To dlatego poczuł się nieswojo! Absurdalna brama, kobieta koń... na chwilę znieruchomiał, zostawił kobietę...

– Co ci jest? Obejmij mnie! – powtórzyła Rachele.

– *Dalej, dosiądź mnie!* – powtórzyła.

On wsiadł i wtedy ruszyła galopem, szybka jak błyskawica...

Potem usłyszał, jak wierci się, wstaje i... nagle żółtawe światło rozjaśniło szopę. Rachele, jeszcze naga, stała obok drzwi, gdzie znajdował się kontakt, i patrzyła na Montalbana. Zaczęła śmiać się po swojemu, odrzucając głowę do tyłu.

– O co chodzi?

– Jesteś zabawny. Wzruszający.

Podeszła do niego, uklękła i objęła go. Montalbano zaczął się szybko ubierać.

Zeszło im jednak z dziesięć minut na wzajemnym wyciąganiu źdźbeł siana, które wczepiły się wszędzie, gdzie mogły się wczepić.

Wrócili tą samą drogą, którą przyszli, nie rozmawiając, lekko od siebie odsunięci.

Nie mieli sobie nic do powiedzenia.

Potem, tak jak to przewidział, Montalbano nadział się na drzewo. Tym razem jednak Rachele nie przyszła mu z pomocą i nie podała ręki. Zapytała tylko:

– Nic sobie nie zrobiłeś?

– Nie.

Jednak gdy znaleźli się w nieoświetlonej części placyku, na którym stały stoliki, Rachele objęła go niespodzianie i powiedziała mu do ucha:

– Bardzo mi się podobało.

Montalbano poczuł się trochę zawstydzony, a nawet obrażony.

Bardzo mi się podobało! Co to, kurwa, za zdanie? Co miało znaczyć? Pani była zadowolona z poziomu jego umiejętności? Produkt zaspokoił jej oczekiwania? Lody Montalbano dadzą ci posmakować raju! Rurka z kremem Montalbano nie ma sobie równych! Spodoba się wam rożek Montalbano! Spróbujcie go!

Zezłościł się. Bo jeśli Rachele przygoda się podobała, jemu stanęła ością w gardle. Co między nimi zaszło? Zwykła kopulacja. Jak między kłaczą i koniem w stajni. A on w pewnej chwili nie chciał i nie umiał się zatrzymać. Jakie to prawdziwe, że wystarczy się poślizgnąć i potem już się jest na równi pochyłej!

Dlaczego to zrobił?

Pytanie nie miało sensu, bo wiedział to doskonale: strach, zawsze obecny, choć nie zawsze oczywisty, przed latami, które mijały i uciekały.

Spółkowanie najpierw z dwudziestolatką, której imienia nawet nie chciał pamiętać, a teraz z Rachele, to były po prostu żalosne próby zatrzymania czasu. Choćby na kilka sekund, kiedy ciało było żywe, a głowa gubiła się w wielkiej, nareszcie beczasowej nicości.

Kiedy przyszli do stolika, kolacja już się skończyła. Z niektórych stolików kelnerzy uprzątnęli nakrycia. Ożywienie się ulotniło, połowę reflektorów zgaszono. Na miejscu zostało kilku ostatnich gości, którzy najwyraźniej mieli ochotę dać się pożreć żywcem komarom.

Ingrid czekała na nich, siedząc na krześle Guida.

– Guido wrócił do Fiakki – powiedziała do Rachele. – Był poirytowany. Powiedział, że zadzwoni do ciebie później.

– Dobrze – odpowiedziała Rachele obojętnym głosem.

– Gdzie byliście?

– Salvo poszedł ze mną do stajni, żebym pożegnała się z Promieniem Księżyca.

Usłyszawszy „Salvo”, Ingrid pozwoliła sobie na uśmiezek.

– Dopalę papierosa i idę spać – powiedziała Rachele.

Montalbano też jednego zapalił. Wypalili w milczeniu. Potem Rachele wstała, wymieniła pocałunek z Ingrid.

– Przyjadę do Montelusy przed południem.

– Kiedy chcesz.

Potem Rachele objęła Montalbana i musnęła ustami jego usta.

– Jutro do ciebie zadzwonię.

Gdy tylko Rachele się oddaliła, Ingrid pochyliła się do przodu, wyciągnęła ramię i zaczęła macać głowę komisarza.

– Masz mnóstwo siana we włosach.

– Jedziemy?

– Jedziemy.

9

Wstali. W salonach spotkali może z dziesięć osób.

Paru gości rozwalilo się na fotelach, drzemiac. Poniewaz nie bylo jeszcze bardzo pozno, najwyrazniej to zupka i smazone cefale zaowocowaly troche zatruciem, a troche gnieceniem w zoladku. Z podjazdu znikly juz prawie wszystkie samochody.

Przeszli piechota trzysta metrów, az zobaczyli samochód Ingrid, stojący samotnie pod drzewem migdalowym. Rzezimieszek gdzieś zniknął, ale zostawil kluczyki w drzwiach do samochodu.

Jako ze zapadla juz noc i ruch na drogach byl mały, Ingrid czula sie upowazniona do rozwinięcia szybkości stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Co więcej, na którymś zakręcie wyprzedzila tira, podczas gdy z drugiej strony nadjeżdzał pędem jakiś samochód. Montalbano w ułamku sekundy zdołal przeczytác własny nekrolog wydrukowany w lokalnej gazecie. Tym razem jednak nie chcial dac Ingrid satysfakcji proszeniem jej, by jechala wolniej.

Ingrid nie odzywala sie, skoncentrowana na prowadzeniu, z językiem ściśniętym między ustami, ale widać bylo, ze humor jej nie dopisuje. Otworzyła usta, dopiero kiedy wjechali do Marinelli.

– Rachele dostala, czego chciala? – spytala brutalnie.

– Z twoja pomocą.

– Co masz na myśli?

– Ze ty i Rachele porozumialyscie sie, moze wtedy, gdy przebieralyscie sie do kolacji. Ona pewnie wyznala ci, ze ma ochote, jak by to powiedziec, skosztowac mnie. A ty zostawilas jej wolna reke, wymyslajac Giogio, który nigdy nie istniat. Zgadza sie?

– Tak, zgadza się.

– To o co chodzi?

– Mam napad spóźnionej zazdrości, w porządku?

– Nie, nie w porządku. To nielogiczne.

– Logikę zostawiam tobie. Ja rozumiem inaczej.

– To znaczy?

– Salvo, prawda jest taka, że przy mnie odgrywasz świętoszka, a z innymi...

– Przecież to ty zareklamowałaś mnie Rachele, jestem pewien!

– Zareklamowałam?!

– No pewnie! Wiesz, Rachele, lody Montalbano są najsmaczniejsze, jakie znam. Spróbuj, jeśli nie wierzysz!

– O czym ty mówisz, do diabła?

Dojechali na miejsce. Montalbano wysiadł z samochodu, nie żegnając się. Ingrid także wyskoczyła z auta i zagroziła mu drogę.

– Wściekasz się na mnie?

– Na ciebie, na Rachele, na cały świat!

– Słuchaj, Salvo, powiedzmy sobie coś jasno. To prawda, że Rachele spytała mnie, czy może spróbować cię poderwać, a ja dałam jej wolną rękę. Ale jest też prawdą, że kiedy już znaleźliście się sami, ona nie przystawiła ci pistoletu do skroni, żebyś zrobił to, czego chciała. W jakiś sposób ci to zaproponowała, a ty się zgodziłeś. Mogłeś odmówić i na tym by się skończyło. Więc teraz nie wściekaj się na mnie ani na Rachele, ale na siebie samego.

– No dobrze, ale...

– Daj mi skończyć. Zrozumiałam także, co masz na myśli z tymi lodami. Chciałeś uczucia? Chciałeś miłosnego wyznania? Chciałeś, żeby Rachele

wyszeptała ci namiętnie do ucha: „Kocham cię, Salvo. Tylko ciebie kocham”? Potrzebne ci było alibi uczucia, żeby się rozgrzeszyć z pieprzenia się z nią? Rachele zaproponowała ci uczciwą, poczekaj, jak to się mówi... aha, wymianę. Ty się na nią zgodziłeś.

– Tak, ale...

– Chcesz wiedzieć coś jeszcze? Trochę mnie rozczarowałeś.

– Dlaczego?

– Bo myślałam, że już z Rachele to na pewno sobie poradzisz. A teraz dość. Wybacz mi ten wybuch i dobranoc.

– To ty mi wybacz.

Komisarz poczekał, aż Ingrid odjedzie, pomachał jej ręką na pożegnanie, po czym obrócił się, otworzył drzwi, zaświecił światło, wszedł i skamieniał.

Złodzieje przewrócili mu dom do góry nogami.

Po półgodzinnych próbach odłożenia rzeczy na swoje miejsce poddał się. Bez pomocy Adeliny i tak nie dałby sobie rady, lepiej zostawić wszystko tak, jak jest. Była prawie pierwsza w nocy, ale sen go odszedł. Złodzieje sforsowali drzwi od werandy i nie musieli się nawet zbytnio wysilać, bo kiedy Ingrid po niego przyjechała, nie zamknął ich na klucz. Wystarczyło pchnąć mocno ramieniem, aby się otworzyły.

Wszedł do schowka, w którym gospośnia trzymała rzeczy gospodarcze, i stwierdził, że złodzieje przetrzasnęli także i to pomieszczenie. Szuflada z narzędziami była otwarta, a jej zawartość wyrzucona na ziemię. Po długich poszukiwaniach Montalbano odnalazł młotek, śrubokręt i trzy albo cztery małe śrubki. Ale gdy tylko zabrał się do naprawiania zamka w drzwiach od werandy, zorientował się, że naprawdę potrzebuje okularów.

Jakim cudem nie spostrzegł już wcześniej, że popsuł mu się wzrok? Jego

nastrój, i tak już czarny z powodu historii z Rachele i niespodzianki zastanej w domu, stał się smolisty jak atrament. Nagle komisarz przypomniał sobie, że w szufladzie szafki nocnej leżały okulary jego ojca, które przysłano mu razem z zegarkiem.

Poszedł do sypialni i otworzył szufladę. Koperta z pieniędzmi leżała na swoim miejscu, tak samo jak etui na okulary.

Znalazł tam jednak także coś, czego się nie spodziewał: zegarek został mu zwrócony.

Założył okulary, od razu zobaczył wszystko wyraźniej. Wrócił do jadalni i zaczął naprawiać zamek.

Złodzieje, choć nie należało już ich określać tym mianem, niczego nie ukradli. Co więcej, oddali to, co zabrali w czasie pierwszej wizyty.

Był to sygnał jasny jak słońce: drogi Montalbano, nie weszliśmy do twojego domu, żeby kraść, tylko żeby czegoś szukać.

Czy znaleźli to po rewizji tak dokładnej, że i policja nie przeprowadziłaby lepszej? I o co mogło chodzić?

O jakiś list? Przecież w domu nie było żadnej korespondencji, która mogłaby interesować kogoś obcego.

Dokument? Jakies zapiski na temat śledztwa? Ale on bardzo rzadko przynosił do domu papiery z pracy, a w każdym razie następnego dnia odnosił je na komisariat.

Jednym słowem, konkluzja była taka, że jeśli nie znaleźli tego, czego szukali, na pewno zjawią się po raz kolejny i przetrząsną dom jeszcze bardziej drobiazgowo.

Naprawa zamka w drzwiach od werandy wyszła mu całkiem udanie. Otworzył drzwi dwa razy na próbę i za każdym razem zatrząsk zaskoczył.

– No widzisz, kiedy przejdziesz na emeryturę, będziesz mógł poświęcić

się pracom domowym tego typu – powiedział pierwszy Montalbano.

On udał, że go nie słyszy. Nocne powietrze przyniosło zapach morza i w rezultacie rozbudziło w nim apetyt. Na obiad poprzedniego dnia zjadł tyle co nic, wieczorem tylko dwie łyżki zupy z kwasem solnym. Otworzył lodówkę: zielone oliwki, czarne oliwki passuluna, ser caciocavallo, anchois. Chleb był trochę czerstwy, ale jeszcze jadalny. Nałożył sobie na talerz obfitą porcję i zaniósł wszystko na werandę.

Nie ma wątpliwości, że złodzieje, nazywajmy ich tak na razie dalej, musieli stracić dużo czasu na tak dokładne przeszukanie domu. Wiedzieli, że jest poza Marinellą i wróci do domu dopiero w nocy? Jeżeli o tym wiedzieli, to wydawało się logiczne, że ktoś ich o tym uprzedził. A kto wiedział, że tego dnia jedzie do Fiakki? Tylko Ingrid i Rachele.

Chwileczkę, przyjacielu, nie galopuj tak, bo spadniesz i kark sobie skręcisz. Najprostsze wyjaśnienie było takie, że mieli go na oku. I gdy tylko zobaczyli, że wyjechał, sforsowali drzwi od werandy. Zresztą kogo mogliby spotkać na plaży o takiej porze? Weszli, przymknęli drzwi balkonowe i mieli cały czas popołudniowej sjeisty, żeby robić swoje w spokoju.

Czy nie postąpili tak i za pierwszym razem? Poczekali, żeby wyszedł kupić whisky i włamali się do domu. Tak, mieli go na oku, obserwowali go.

Możliwe, że i teraz, kiedy jadł chleb i oliwki, też go podglądali. Cholera, żeby ich tak pokręciło!

Poczuł się okropnie na myśl, że każdy jego ruch jest obserwowany przez obcych ludzi. Miał tylko nadzieję, że znaleźli to, czego szukali, i przestaną mu zawracać dupę.

Skończył jeść, wstał i wyniósł do kuchni talerz, sztućce, kieliszek i butelkę, zamknął na klucz drzwi od werandy, gratulując sobie w duchu własnej zręczności, poszedł wziąć prysznic. Kiedy się mył, kilka źdźbeł siana

wyślizgnęło się z jego włosów na dół, gdzie porwała je woda i poniosła do otworu odpływowego.

Zbudziły go krzyki Adeliny, która wpadła do sypialni bardzo przestraszona.

– O Matko Boska! O słodki Jezu! Co się stało?

– Złodzieje, Adeli.

– Złodzieje w pańskim domu, panie komisarzu?

– Na to wygląda.

– I co ukradli?

– Nic. A raczej mam do ciebie prośbę. Kiedy będziesz odkładać wszystko na miejsce, możesz sprawdzić, czy niczego nie brakuje?

– Dobrze. Zrobić panu kawę?

– Naturalnie.

Wypił ją, leżąc w łóżku. Także w łóżku zapalił pierwszego papierosa.

Potem w łazience ubrał się i poszedł do kuchni na drugą kawę.

– Wiesz, Adeli? Wczoraj wieczorem w Fiakce jadłem pyszną zupę. Przykro mi to powiedzieć, ale jeszcze nigdy nie kosztowałem równie smacznej.

– Naprawdę, panie komisarzu? – powiedziała niezadowolona Adelina,

– Naprawdę. Poprosiłem o przepis. Gdy tylko go znajdę, przeczytam ci go.

– Panie komisarzu, nie wiem, czy będę miała dość czasu, żeby cały dom sprzątnąć.

– Nie przejmuj się. Zrób, ile dasz radę. Jutro będziesz sprzątać dalej.

– Ach, panie komisarzu, panie komisarzu! Jak pan spędził bożą

niedzielię?

- Pojechałem do Fiakki odwiedzić przyjaciół. Kto jest na miejscu?
- Fazio jest. Zawołać go mam?
- Nie, ja do niego pójde.

Fazio zajmował pokój z dwoma biurkami. Drugie było przeznaczone dla oficera równego mu stopniem, który odszedł przed pięciu laty i nie został nigdy zastąpiony z powodu braku personelu, jak odpowiadał pan kwestor za każdym razem, gdy przedstawiano mu pisemną prośbę.

Fazio zdziwił się na widok wchodzącego Montalbana, komisarz rzadko zjawiał się w jego pokoju.

- Dzień dobry, panie komisarzu. Co się stało? Mam przyjść do pana?
- Nie. Skoro muszę złożyć skargę, powinienem przyjść tutaj.
- Skargę?

Fazio już całkiem zgłupiał.

– Tak. Muszę zgłosić kradzież z włamaniem. Albo próbę kradzieży z włamaniem. W każdym razie było włamanie. Czy też łamanie. Prawa.

- Panie komisarzu, nie rozumiem nic a nic.
- Złodzieje weszli do mojego domu w Marinelli.
- Złodzieje?!
- Ale to na pewno nie byli złodzieje.
- Nie byli złodzieje?
- Słuchaj, Fazio, albo przestaniesz powtarzać za mną wszystko jak papuga, albo mnie zaraz szlag trafi. Zamknij gębę, bo ci została otwarta, i siadaj. Ja też siądę i wszystko ci opowiem.

Fazio usiadł, sztywny, jakby połknął kij od szczotki.

- A zatem, pewnego wieczoru pani Ingrid...

I opowiedział mu o pierwszym najściu złodziei i zniknięciu zegarka.

– No cóż – powiedział Fazio – wygląda mi to na wybryk dwóch smarkaczy, chcących zdobyć pieniądze na działkę.

– Jest jeszcze druga część. To historia w odcinkach. Wczoraj po obiedzie pani Ingrid przyjechała po mnie samochodem...

Tym razem, kiedy Montalbano skończył, Fazio nic nie powiedział.

– Nic nie mówisz?

– Zastanawiałem się. To jasne, że za pierwszym razem zabrali zegarek, żeby udawać, że chodzi o kradzież, ale nie znaleźli tego, czego szukali. Musieli wrócić drugi raz i wobec tego postanowili grać w otwarte karty, i oddali zegarek. Jego zwrot może też oznaczać, że znaleźli to, o co im chodziło, i wobec tego już nie wrócą.

– Ale nie możemy być tego pewni. Jedno jest jasne: bardzo im zależy na znalezieniu tego, czego szukają. Jeśli jeszcze tego nie znaleźli, wrócą, może nawet dzisiaj w nocy czy najpóźniej jutro.

– Przyszedł mi do głowy pomysł – powiedział Fazio.

– Mów.

– Jest pan prawie pewien, że pana obserwują?

– Na dziewięćdziesiąt procent.

– O której godzinie wychodzi pana gosposia?

– Około dwunastej trzydzieści albo za piętnaście pierwsza.

– Może pan do niej zadzwonić i powiedzieć, że wróci pan na obiad.

– Oczywiście. Ale dlaczego?

– Pojedzie pan do domu, więc nikt nie będzie mógł wejść, dopóki jest pan w środku. O trzeciej przyjadę radiowozem na sygnale, robiąc wielkie zamieszanie. Pan wypadnie biegiem z domu, wsiądzie do samochodu i odjedziemy.

– Dokąd?

– Pojedziemy zwiedzać świątynie. Jeśli pana obserwują, na pewno będą przekonani, że zdarzył się jakiś nagły wypadek. I przejdą od razu do działania.

– No więc?

– Ci, którzy pana obserwują, nie będą wiedzieć, że w pobliżu jest schowany Galluzzo. Wyjaśnię mu sytuację i wyślę go od razu.

– Ależ nie, Fazio, nie ma potrzeby...

– Niech pan się nie upiera, panie komisarzu. Ta sprawa mi się nie podoba, coś tu śmierdzi.

– Ale nie wiesz, czego mogą szukać?

– Jeśli pan nie wie, to skąd ja mogę wiedzieć?

– Kiedy zaczyna się proces Giacoma Licca?

– Chyba za tydzień. Dlaczego pan pyta?

Giacomo Licco został aresztowany przez Montalbana jakiś czas temu. Był mafijną płotką, wymuszał haracze. Pewnego dnia przestrzelił nogę właściciela sklepu, który odmówił zapłaty. Przerażony sklepikarz twierdził, że postrzelił go nieznajomy. Komisarz znalazł jednak liczne poszlaki, które wskazywały na Giacoma Licca. Ale chodziło o proces, w którym Montalbano miał wystąpić jako świadek, i nie było wiadomo, jak się skończy.

– Być może niczego nie szukają. Może chodzi o ostrzeżenie: uważaj, jak się zachowasz na procesie, bo możemy wchodzić do twojego domu i wychodzić, kiedy nam się podoba i jak nam się podoba.

– To też możliwe.

– Halo, Adelina?

– Słucham, panie komisarzu.

– Co robisz?

- Próbuję porządkować dom.
- Zrobiłaś coś do jedzenia?
- Potem się tym zajmę.
- Zrób od razu. O pierwszej przyjadę na obiad do Marinelli.
- Jak pan sobie życzy.
- Co kupiłaś?
- Dwie sole, które usmażę. A na pierwsze ugotuję makaron z brokułami.

Wszedł Fazio.

– Galluzzo pojechał do Marinelli. Wie, gdzie się schować, żeby mieć na oku dom od strony morza.

- Dobrze. Posłuchaj, nie mów o tym nikomu, nawet Mimì.
- W porządku.
- Siadaj. Jest Augello?
- Tak.

Montalbano podniósł słuchawkę.

– Catarella, powiedz panu komisarzowi Augello, żeby do mnie przyszedł.

Mimì zjawił się od razu.

– Wczoraj pojechałem do Fiakki, gdzie odbywał się wyścig koni. Brała też w nim udział pani Esterman, na koniu pożyczonym jej przez Lo Duca. Sam Lo Duca długo ze mną rozmawiał. Jego zdaniem chodzi o zemstę niejakiego Gerlanda Gurreriego, byłego stajennego. Słyszeliście to nazwisko?

- Nigdy – odpowiedzieli jednym głosem Fazio i Augello.
- Trzeba się o nim dowiedzieć czegoś więcej. Podobno wdał się w konszachty z przestępcami. Zajmiesz się tym, Fazio?
- Dobrze.
- Czy mógłbyś nam powtórzyć dokładnie to, co powiedział ci Lo Duca? –

spytał Mimì.

– Już się robi.

– To nie jest hipoteza pozbawiona podstaw – skomentował Mimì, kiedy komisarz skończył mówić.

– Mnie też się tak wydaje – dodał Fazio.

– Ale jeśli Lo Duca ma rację – powiedział Montalbano – zdajecie sobie sprawę, że oznacza to koniec śledztwa?

– Dlaczego? – spytał Augello.

– Mimì, Lo Duca nie powtórzy tego, co mi opowiedział, naszym kolegom z Montelusy. Oni dysponują tylko skargą dotyczącą kradzieży dwóch koni. Nie wiedzą, że jedno ze zwierząt zostało zmasakrowane, bo im tego nie powiedzieliśmy. Poza tym nie mamy nawet oficjalnego zgłoszenia pani Esterman. A Lo Duca powiedział mi wprost, że wie, że nie kontaktujemy się z kolegami z Montelusy. Tak czy siak, nie mamy w ręku żadnej karty, która wskazałaby nam, jak mamy postępować.

– No więc? – spytał Mimì.

– No więc trzeba zrobić przynajmniej dwie rzeczy. Pierwsza, to dowiedzieć się czegoś więcej o Gerlandzie Gurrerim. Ty, Mimì, zarzucałeś mi, że uwierzyłem słowom pani Esterman bez ich sprawdzenia. No to sprawdzmy teraz to, co powiedział mi Lo Duca, poczynając od tej historii o uderzeniu przez niego Gurreriego metalowym prętem. Musiano przecież przyjąć poszkodowanego do któregoś szpitala w Montelusie, no nie?

– Zrozumiałem – powiedział Fazio. – Chce pan dowodów, że Lo Duca opowiedział prawdziwą historię.

– Otóż to.

– Zrobi się.

– Druga rzecz jest taka, że Lo Duca poruszył jedną ważną kwestię. On

twierdzi, że w rzeczywistości nikt nie wie, przynajmniej na razie, który właściwie koń został zamordowany: czy ten pani Esterman, czy ten, który należał do niego. Lo Duca uważa, że zrobiono tak, aby trzymać go w niepewności i zwiększyć jego udrękę. Ale jedno jest pewne: że naprawdę nikt nie wie, który koń został rzeczywiście zamordowany. Lo Duca powiedział mi, że ten jego nazywał się Rudi. Jeśli jest jakaś fotografia tego konia i ja z Faziem moglibyśmy ją obejrzeć...

– Być może wiem, gdzie ją znaleźć – powiedział Mimì.

Zachichotał i mówił dalej:

– Nie ma co, jak na stukniętego maniaka ten Gurreri, jeśli wierzyć temu, co powiedział Lo Duca, to bardzo łąbski facet.

– W jakim sensie?

– W takim, że najpierw morduje konia pani Esterman, żeby trzymać Lo Duce w niepewności co do losu jego konia, potem telefonuje do Esterman, żeby Lo Duca nie mógł ukryć przed nią kradzieży zwierzęcia... To mi wygląda bardziej na łąbskiego gościa niż pomyłonego przygłupa!

– Zwróciłem na to uwagę Lo Duce – powiedział Montalbano.

– I co ci odpowiedział?

– Że prawdopodobnie Gurreriemu pomaga jeden z jego wspólników.

– Już to widzę – powiedział Mimì.

10

Właśnie wychodził, żeby pojechać do Marinelli, kiedy zadzwonił telefon.

– Panie komisarzu? Ach, panie komisarzu! Bo by była pani Estera Manni.

– Przy telefonie?

– Tak, tak.

– Powiedz jej, że mnie nie ma.

Gdy tylko odłożył słuchawkę, telefon znowu zadzwonił.

– Panie komisarzu, bo tu na telefonie jest taki, co mówi, że się nazywa Pasquale Cirribbicciò.

Chodziło pewnie o Pasquale Cirrinciò, jednego z dwóch synów gosposi Adeliny. Obaj byli złodziejami, którzy co chwila kończyli w więzieniu. Mimo to Montalbano był ojcem chrzestnym syna Pasqualego.

– O co chodzi, Pasquà? Dzwonisz z więzienia?

– A nie, panie komisarzu, ja żem w domowym areszcie.

– Co się stało?

– Panie komisarzu, dzisiaj rano matka dzwoniła i mi powiedziała.

Adelina poinformowała syna złodzieja, że złodzieje włamali się do domu komisarza. Montalbano nie otworzył ust i czekał na ciąg dalszy.

– No i ja żem chciał powiedzieć, że telefonowałem do kumpli.

– I czego się dowiedziałeś?

– Że moi kumple nie mają z tym nic wspólnego. Jeden mi powiedział, że nie są z nich takie kutasy, żeby u pana przychodzić kraść. Więc albo to ktoś z zewnątrz, albo z innej kategorii.

– Może z wyższej półki?

– Tego to ja już nie umiem powiedzieć.

– W porządku, Pasquà. Dziękuję.

– Nie ma za co.

Zatem było już pewne, że nie chodziło o zwykłych złodziei. Montalbano nie wierzył także w hipotezę o przybyszach z zewnątrz. Musiało więc chodzić o kogoś z innej kategorii, jak się wyraził Pasquale.

Nakrył do stołu na werandzie, podgrzał makaron z brokułami i zaczął jeść. I gdy tak pochłaniał obiad, odniósł nieodparte wrażenie, że ktoś mu się przygląda. Zdarza się często, że czyjś natarczywy wzrok działa jak wezwanie, czujesz się przyzywany, ale nie wiesz skąd, i rozglądasz się dookoła.

Na plaży nie było widać żywego ducha, z wyjątkiem kulawego psa. Poranny rybak już wrócił na ląd i jego łódź była wyciągnięta na brzeg.

Montalbano wstał, żeby pójść do kuchni po sole i w tym momencie niemal oślepił go przelotny błysk światła. Musiało to być odbicie słońca od szyby. Pojawiło się od strony morza.

Jednak na morzu nie ma szyb, które mogłyby spowodować odbłysk, pomyślał.

Udając, że podnosi ciężki półmisek, pochylił się do przodu i wyteżył wzrok. W pewnej odległości od brzegu kołysała się łódź, ale nie był w stanie dostrzec, ilu znajduje się w niej ludzi. Kiedyś, kiedy był młodszy, byłby pewnie w stanie zobaczyć nawet kolor ich oczu. No, może trochę przesadzał, ale na pewno zobaczyłby więcej.

Miał w domu lornetkę, ale tamci, którzy obserwowali go z łodzi, na pewno mieli swoją, spostrzegliby, że ich odkrył. Lepiej udawać, że nic nie zauważył.

Wszedł do środka, a po chwili pojawił się znowu na werandzie z solami i zabrał się do jedzenia.

W miarę jedzenia był coraz bardziej przekonany, że ta łódź była tam już, kiedy otworzył drzwi werandy, żeby nakryć do stołu. Chwilowo nie przywiązywał do tego wagi. Skończył jeść po drugiej, poszedł do łazienki i umył się. Potem wrócił na werandę z książką w ręce, siadł i zapalił papierosa. Łódź nie ruszyła się z miejsca.

Zaczął czytać i po kwadransie usłyszał odgłos zbliżającej się syreny. Czytał dalej, jak gdyby rzecz go nie dotyczyła. Dźwięk był coraz bardziej przenikliwy, wreszcie urwał się na wysokości podjazdu do domu komisarza. Z miejsca, w którym się znajdowali, ci z łodzi mogli obserwować zarówno werandę, jak i podjazd. Rozległ się dzwonek do drzwi.

Montalbano wstał i poszedł otworzyć. Fazio miał nawet włączonego koguta na dachu samochodu.

– Panie komisarzu, pilna sprawa.

Dlaczego odgrywał tę scenę, skoro byli tu tylko oni dwaj? Może Fazio podejrzewał, że ktoś ukrył w pobliżu mikrofon? Przesada!

– Już idę.

Ci z łodzi na pewno widzieli całą scenę. Montalbano zamknął na klucz drzwi od werandy, wyszedł, zamknął także drzwi wejściowe i wsiadł do samochodu.

Fazio włączył znowu syrenę i ruszył z piskiem opon, którego mógłby mu pozazdrościć nawet Gallo.

– Domyśliłem się, z jakiego miejsca mnie szpiegują.

– Z jakiego?

– Z łodzi. Myślisz, że lepiej uprzedzić Galluzza?

– Może lepiej. Zadzwoń na komórkę.

Galluzzo odpowiedział po pierwszym dzwonku.

– Gallù, chciałem ci powiedzieć, że pan komisarz odkrył... ach tak? To

dobrze, pilnuj dalej.

– Galluzzo już się domyślił, że tych trzech typów w łodzi tylko udaje, że łowi, a tak naprawdę pilnuje domu.

– A Galluzzo gdzie się ukrył?

– Pamiętaj pan, że na wysokości pana domu, z drugiej strony ulicy, stoi willa, której od lat nikt nie dokończył? Galluzzo schował się na drugim piętrze.

– No dobrze, ale dokąd mnie wiesz?

– Nie mówiliśmy, że pojedziemy zwiedzić świątynie?

Zanim wjechali na panoramiczną drogę świątyń, na którą wstęp samochodem był wzbroniony, ale ich przepuścili, bo jechali autem policyjnym, Montalbano kazał Faziowi zatrzymać się przy barze ze stojakiem na książki i kupił przewodnik.

– Naprawdę chce pan zostać turystą?

Nie, nie chciał, ale prawda była taka, że choć zwiedził miejsce wiele razy, nigdy nie pamiętał epoki budowy, wymiarów i numeru kolumn poszczególnych świątyń.

– Pojedźmy na szczyt – powiedział komisarz – a potem będziemy zwiedzać świątynie, zjeżdżając w dół.

Po dojechaniu na szczyt zaparkowali samochód i na piechotę wdrapali się do najwyższej położonej świątyni.

Świątynia Junony datowana jest na 450 rok p.n.e. Długa na 41 metrów, szeroka na 19 metrów i 55 centymetrów, miała 34 kolumny...

Zwiedzili ją dokładnie, wrócili do samochodu i po kilku metrach zaparkowali znowu, żeby pójść do następnej świątyni.

Świątynia Zgody pochodzi z 450 roku p.n.e. Miała 34 kolumny wysokości

6,83 metra, jej długość wynosi 42,10 metra, szerokość 19,70...

Zwiedzili i tę świątynię i zrobili znowu to samo.

Świątynia Herkulesa jest najstarsza ze wszystkich. Jej budowa sięga 520 roku p.n.e. Ma długość 73 metry 40 centymetrów.

Zwiedzili ją z wielką dokładnością.

– Idziemy zobaczyć następne świątynie?

– Nie – odpowiedział Montalbano, który miał już po dziurki w uszach archeologii. – Co robi ten Galluzzo, minęła prawie godzina!

– Skoro nie dzwoni, to znaczy, że...

– Zadzwoń do niego.

– Lepiej nie, panie komisarzu. A co, jeśli jest gdzieś koło pana domu i zacznie mu dzwonić telefon?

– No to zadzwoń do Catarelli i daj mi go.

Fazio wystukał numer.

– Catarè, coś nowego?

– Nie, panie komisarzu. Tylko telefoniła pani Estera Manni. Mówi tak, żeby pan zatelefonił.

Spędzili następne pół godziny, spacerując tam i z powrotem przed świątynią.

Montalbano był coraz bardziej poirytowany. Fazio spróbował odwrócić jego uwagę.

– Panie komisarzu, dlaczego świątynia Zgody tak dobrze się zachowała, a inne nie?

– Bo cesarz Teodozjusz kazał zburzyć wszystkie pogańskie świątynie, z wyjątkiem tych, które zmieniono w kościoły. A ponieważ świątynia Zgody była już kościołem chrześcijańskim, to się uchowała. Piękny przykład tolerancji. Wszystko dokładnie tak samo jak dzisiaj.

Ale po tej dygresji kulturalnej komisarz zaraz wrócił do drażenia tematu.

– A może ci trzej w łodzi to naprawdę byli rybacy? Słuchaj, chodźmy usiąść w barze.

Nic z tego. Wszystkie stoliki były zajęte przez turystów angielskich, niemieckich, francuskich i przede wszystkim japońskich, którzy fotografowali wszystko co się dało, łącznie z kamykami, które wpadły im do buta. Komisarz zaczął kłąć.

– Jedziemy stąd – zarządził kapryśnie.

– Dokąd?

– A choćby i do diabła.

W tym samym momencie zadzwoniła komórka Fazia.

– To Galluzzo – powiedział, podnosząc telefon do ucha.

– Okej, już jedziemy.

– Co ci powiedział?

– Że mamy natychmiast przyjechać do niego, do Marinelli.

– Nie powiedział nic innego?

– Nie.

Przejechali trasę szybciej od Schumachera w Formule 1, ale nie włączyli syreny i koguta. Gdy przyjechali, zobaczyli, że drzwi wejściowe są otwarte.

Wbiegli do domu.

W jadalni połowa drzwi balkonowych zwisała na zawiasach.

Galluzzo, blady jak śmierć, siedział na kanapie. W ręce trzymał pustą szklanekę po wodzie. Gdy tylko ich zobaczył, wstał.

– Wszystko dobrze? – spytał Montalbano, patrząc na jego twarz.

– Tak, panie komisarzu, ale dość się przestraszyłem.

– Dlaczego?

– Jeden z dwóch strzelił do mnie trzy razy, ale nie trafił.

– Naprawdę? A ty?

– Ja odpowiedziałem. Myślę, że zraniłem tego, który nie strzelał. Ale jego kumpel, ten uzbrojony, dotaszczył go aż do szosy, gdzie czekał na nich samochód.

– Czujesz się na siłach, żeby opowiedzieć nam wszystko od początku?

– Tak, panie komisarzu, już mi przeszło.

– Chcesz trochę whisky?

– Oj, tak!

Montalbano wyjął mu szklanekę z ręki, nalał szczerze whisky i podał z powrotem. Fazio, który wyszedł na werandę, wrócił z pociemniałą twarzą.

– Po waszym odjeździe odczekali pół godziny, zanim przybili do brzegu – zaczął Galluzzo.

– Chcieli być pewni, że naprawdę gdzieś pojechaliśmy – skomentował Fazio.

– Gdy znaleźli się już na brzegu, długo stali koło łodzi, rozglądając się na lewo i prawo. Kiedy minęła już prawie godzina, dwaj wyjęli z łodzi dwa wielkie kanistry i zbliżyli się do domu.

– A trzeci? – spytał Montalbano.

– Trzeci oddalił się łodzią. Wtedy opuściłem willę i przybiegłem pędem, żeby schować się za lewym rogiem domu. Kiedy popatrzyłem, jeden z dwóch, który trzymał w ręku łom, właśnie skończył wyłamywać drzwi od werandy. Weszli do środka. Podczas gdy ja zastanawiałem się, co robić dalej, oni wrócili na werandę, z pewnością po kanistry, które tam zostawili. Pomyślałem, że nie ma czasu do stracenia. Skoczyłem do przodu, wymierzyłem w nich pistolet i krzyknąłem: „Stać! Policja!”

– Jak zareagowali?

– Och, panie komisarzu. Jeden, ten wyższy, w mgnieniu oka wyciągnął

rewolwer i strzelił do mnie. Schowałem się za węglem. Zaraz potem zobaczyłem, że oni uciekają w stronę podjazdu przed wejściem do domu. Pobiegłem za nimi. Ten wyższy znowu strzelił. Ja także strzeliłem i ten drugi, który biegł obok niego, zatoczył się jak pijany, po czym upadł na kolana. Wtedy ten duży podciągnął go do góry ramieniem i strzelił do mnie po raz trzeci. Dotarli do drogi, a tam czekał już samochód z otwartymi drzwiami, i uciekli.

– A zatem – zauważył Montalbano – mieli już zaplanowaną ucieczkę od strony lądu.

– Przepraszam – powiedział Fazio do Galluzza – dlaczego nie ścigałeś ich dalej?

– Pistolet mi się zaciął – odpowiedział Galluzzo.

Wyciągnął go z kieszeni i podał Faziowi.

– Zanieś ją do składu broni z moimi serdecznymi pozdrowieniami. Gdyby się zorientowali, że nie mogłem oddać dalszych strzałów, nie siedziałbym teraz tutaj, żeby opowiedzieć wam, co się wydarzyło.

Montalbano zrobił krok w stronę werandy.

– Już sprawdziłem, panie komisarzu. To dwa dwudziestolitrowe kanistry wypełnione benzyną. Mieli zamiar podpalić dom – powiedział Fazio.

A to było coś nowego.

– Panie komisarzu, jak mam się zachować? – spytał Galluzzo.

– W związku z czym?

– Co do tych dwóch oddanych strzałów. Jeśli ci ze składu broni mnie zapytają...

– Powiedz, że musiałeś strzelić do wściekłego psa i broń się zacięła.

– Ale co pan ma zamiar zrobić? – spytał Fazio.

– Postarać się o naprawę drzwi od werandy – odpowiedział rześko

komisarz.

– Jeśli pan chce, mogę to zrobić w godzinę – zaofiarował się Galluzzo. –

Ma pan narzędzia?

– Popatrz w schowku.

– Panie komisarzu – drażył Fazio – musimy uzgodnić jakieś wyjaśnienie.

– Dlaczego?

– Bo za pięć minut mogą się tu zjawić nasi albo karabinierzy.

– Dlaczego? – powtórzył komisarz.

– Była strzelanina, tak czy nie? Cztery strzały! Ktoś z sąsiedztwa na pewno zawiadomił policję i...

– Założysz się?

– O co?

– Że nikt nikogo nie wezwał. Większość z tych, którzy usłyszeli strzały, pomyśli, że to motocykl ze źle ustawionym tłumikiem albo jakieś kawały nastolatków. Tych dwoje czy troje, którzy zrozumieli, że to strzały z pistoletu, to ludzie znający życie, którzy nie wtrącają się w cudze sprawy.

– Jest wszystko co trzeba – oświadczył Galluzzo, wracając ze schowka z narzędziami.

I wziął się do pracy. Przez chwilę przyglądali się, jak wali młotkiem, po czym komisarz powiedział do Fazia:

– Chodźmy do kuchni. Chcesz kawy?

– Tak, dziękuję.

– A ty, Gallù?

– Nie, panie komisarzu, bo nie będę mógł spać w nocy.

Fazio był milczący i zamyślony.

– Martwisz się?

– Tak, panie komisarzu. Łódź, samochód, stały nadzór, przynajmniej

trzech ludzi biorących w tym udział, to nie jest improwizacja. Czuję tu smród mafii, jeśli już chce pan wiedzieć. Może nie mylił się pan, podejrzewając, że to ma coś wspólnego z procesem Giacoma Licca.

– Fazio, nie trzymam w domu dokumentów dotyczących Licca. I na pewno to zrozumieli, kiedy przetrząsnęli dokładnie mieszkanie. Jeśli dzisiaj wrócili, żeby podpalić dom, to znaczy, że chcą mnie zastraszyć.

– Ja twierdzę to samo.

– Ale jesteś przekonany, że to ma związek z procesem Licca?

– A jaką inną większą sprawą teraz się pan zajmuje?

– Żadną.

– No więc? Moim zdaniem, za tym na pewno kryje się klan Cuffaro. Licco to jeden z ich ludzi.

– I myślisz, że posunęliby się do takich działań dla kogoś takiego jak Licco, który jest płotką?

– Panie komisarzu, płotka czy nie płotka, zawsze to ich człowiek. Jeśli go nie będą bronić, mogą stracić zaufanie i szacunek swojego stada.

– No, ale czy oni wyobrażają sobie, że przestraszą mnie na tyle, że pójde do sądu i powiem, że się pomyliłem i Licco nie ma z tym nic wspólnego?

– To nie tego chcą! Im wystarczy, żeby pan na procesie wyglądał na nie całkiem pewnego swoich racji. To już będzie dość. Pana poszlaki rozniosą w pył adwokaci najęci przez klan Cuffaro. I jeśli chce pan mojej rady, dzisiaj w nocy powinien pan przespać się na komisariacie.

– Oni już nie wrócą, Fazio. Moje życie nie jest w niebezpieczeństwie.

– Skąd pan to może wiedzieć?

– Z tego prostego powodu, że przyszli podłożyć ogień do domu dopiero po moim wyjściu. Gdyby chcieli mnie zabić, poczekaliby do nocy, kiedy spałbym w środku, nie mówiąc już o tym, że mogli strzelić do mnie w każdej

chwili z karabinu snajperskiego.

Fazio pomyślał chwilę.

– Może ma pan rację. Potrzebują pana żywego.

Ale wyglądał na jeszcze bardziej zamyślonego niż wcześniej.

– Jednej rzeczy nie rozumiem. Dlaczego nie chce pan nikomu powiedzieć o tej historii?

– Pomyśl przez chwilę. Zgłaszam oficjalną skargę o próbę kradzieży z włamaniem. Próbę, bo nie wiem, czy coś wynieśli z domu, czy nie. Wiesz, co się stanie tego samego dnia?

– Nie.

– Ano to, że gdy tylko przyjdzie pora następnego wydania wiadomości Televigaty, na ekranie pojawi się twarz jak kurza dupa Pippa Ragonese, która powie: „Znacie najnowsze wieści? Złodzieje mogą bezkarnie buszować po domu komisarza Montalbana!”. Wyszedłbym na durnia.

– No dobrze. Ale mógłby pan porozmawiać w cztery oczy z kwestorem.

– Z Bonettim-Alderighim?! Żartujesz sobie? Kazałby mi postępować zgodnie z zasadami. I zmieszano by mnie z błotem. Nie, ja nie tyle nie chcę, ile nie mogę tego zrobić.

– Jak pan uważa. Wróci pan teraz do komisariatu?

Montalbano popatrzył na zegarek. Było już po szóstej.

– Nie, zostanę tutaj.

Po półgodzinie Galluzzo zakomunikował z tryumfem, że skończył naprawiać szkodę i drzwi są jak nowe.

Adelinie udało się uporządkować salon, ale w sypialni panował jeszcze chaos. Wszystkie szuflady były wyciągnięte i ich zawartość wyrzucona na ziemię, wyjęto nawet marynarki z szafy i wywrócono ich kieszenie.

Chwileczkę!

To znaczyło, że rzecz, której szukali, była mała, mogła się zmieścić nawet w kieszeni. Kartka papieru? Jakiś mały przedmiot? Nie, kartka papieru zdawała się bardziej prawdopodobna. Tym samym wrócił na pole startowe proces Licca. Zadzwoił telefon, poszedł odebrać.

– Z komisarzem Montalbanem gadam?

Głęboki głos mówiący czystym dialektem.

– Tak.

– Rób, co masz robić, kutasie.

Nie miał czasu odpowiedzieć, bo połączenie przerwano.

Pierwsze, co przyszło mu do głowy, to że dalej go obserwowano, bo telefon zadzwonił już po odjeździe Fazia i Galluzza. Ale nawet gdyby byli obecni przy rozmowie, co mogliby zrobić? Nic a nic. Jednak komisarz w towarzystwie dwóch swoich ludzi na pewno mniej by się przejął groźbą. Subtelna manipulacja psychologiczna. Przyznać trzeba, że tym wszystkim musiał kierować jakiś bardzo łebski gość, jak powiedział Mimì.

Druga rzecz, o której pomyślał, to że nie będzie mógł i tak zrobić tego, co ma zrobić, bo nie miał najmniejszego pojęcia, co według anonimowego rozmówcy miał zrobić.

Mogli wyrazić się jaśniej, kutasy!

11

Wrócił do sprzątanía w sypialni i po pięciu minutach telefon znowu zadzwonił. Podniósł słuchawkę i zanim jego rozmówca zdążył się odezwać, bluzgnął:

- Słuchaj no, ty chuju pierdolony...
- Masz coś do mnie? – przerwała mu Ingrid.
- A, to ty? Przepraszam, myślałem... Co tam?
- Wnosząc z powitania, nie sądzę, że jesteś w odpowiednim humorze.

Ale i tak spróbuję. Chciałam tylko zapytać, dlaczego nie odpowiadasz na telefony Rachele...

- Ona cię poprosiła, żebyś zadała mi to pytanie?
- Nie, to był mój pomysł, bo widzę, jak jej przykro. No więc?
- Musisz mi wierzyć, dzisiaj miałem okropny dzień...
- Przysięgnij, że to nie wymówka.
- Nie przysięgnę, ale to prawda.
- No dobrze, bałam się, że naszło cię katolickie obrzydzenie do kobiety,

która przywiodła cię na pokuszenie.

- Nie powinnaś uderzać w ten ton.
- Dlaczego?

– Mógłbym odpowiedzieć, że, tak jak mi wyjaśniłaś, między mną a Rachele doszło do wymiany, do transakcji. Jeśli pani Esterman nie zgłasza niezadowolonia...

- Nie zgłasza. Wręcz przeciwnie.
- ...to nie ma powodu o tym mówić, nie sądzisz?

Ingrid puściła jego słowa mimo uszu.

- Wobec tego powiem jej, żeby później zadzwoniła do ciebie do domu?

- Nie, lepiej jutro rano do biura. Teraz muszę... wyjść.
- Odpowiesz jej?
- Przyrzekam.

Po dwóch godzinach pracy, schylania się i wstawania, zbierania i układania, wyciągania i wsadzania, sypialnia wróciła do swojego normalnego stanu.

Przyszła pora, żeby coś zjeść, ale zupełnie nie miał apetytu.

Siadł na werandzie i zapalił papierosa.

Nagle przyszło mu do głowy, że siedząc tak na oświetlonej werandzie, stanowi idealny cel, tym bardziej że noc była ciemna. Ale kiedy powiedział Faziowi, że jest pewien, że nie mają zamiaru go zamordować, nie zrobił tego po to, żeby go uspokoić, tylko że sam był o tym głęboko przekonany. Do tego stopnia, że zostawił pistolet jak zwykle w szufladzie szafki nocnej.

Poza tym gdyby tamci postanowili go zastrzelić, jak mógłby się obronić? Pistoletem, który jeszcze by się zaciął po pierwszym strzale, tak jak to się zdarzyło Galluzzowi, podczas gdy mordercy mieliby kałasznikowy?

Iść spać do komisariatu, tak jak sugerował Fazio? Też coś!

Gdy tylko wyszedłby na zewnątrz, żeby pójść coś zjeść albo na kawę, motocyklista w zamkniętym kasku bez trudu obciążyłby go kilkoma gramami ołowiu.

Poruszać się z obstawą? Jak dowodziły dobitnie fakty z przeszłości, obstawie nigdy nie udało się zapobiec morderstwu.

Jeśli już, służyła zwiększeniu liczby zabitych; życie traciła nie tylko wytypowana ofiara, ale także dwaj czy trzej członkowie obstawy.

I nie mogło być inaczej. Bo ten, kto chce cię zabić, wie doskonale, co chce zrobić, możliwe, że przeprowadził dziesiątki prób i symulacji.

Natomiast ci z eskorty, których nauczono strzelać w odpowiedzi, to znaczy dopiero, gdy zostaną zaatakowani, w obronie, a nie w ataku, nic nie wiedzą o intencjach napastnika. Kiedy je poznają, po chwili, jest już za późno: różnica tych kilku ułamków sekund na korzyść agresora daje mordercy zwycięską kartę.

W sumie głowa tego, który używa broni, aby zabijać, pracuje na wyższym biegu niż głowa tego, który jej używa do obrony.

W każdym razie gotował się ze złości, nie mógł temu zaprzeczyć.

Ze złości, nie ze strachu.

I z oburzenia.

Kiedy zobaczył swój dom wywrócony do góry nogami, odczuł wstyd. Zapewne porównanie było naciągane, ale zrozumiał, chociaż mgliście, dlaczego kobieta często ma opory, by zgłosić skargę o gwałt.

Jego dom, czyli tak jakby on sam, został brutalnie zgwałcony, przeszukany, obmacany przez obce ręce, i komisarz był w stanie rozmawiać o tym z Faziem, tylko udając, że lekko to potraktował. Przetrząsnięcie jego mieszkania poruszyło go głębiej niż próba podpalenia.

Poza tym była jeszcze obelga telefonu. Nie chodziło o ton ani o obraźliwe słowa.

Obelga wzięła się stąd, że ktoś mógł pomyśleć, że Montalbano da się zastraszyć i postąpi tak, jak mu każą inni, jak jakiś pajac i popychadło. Czy dał im kiedyś swoim zachowaniem lub słowami najmniejszy powód, by powzięli o nim taką opinię?

Jednak z pewnością na tym nie poprzestaną. I wszystko wskazywało na to, że coś ich bardzo pili.

– Rób, co masz robić.

Może Fazio miał rację, że to wszystko, co mu się przydarzało, miało jakiś

związek z procesem Licca. Przypomnił sobie, że w całym odtworzeniu wypadków, które przeprowadził, aby wsadzić Licca do więzienia, tkwił jakiś słaby punkt. Nie był jednak w stanie uprzytomnić sobie jasno, na czym on polegał. Bez wątpienia adwokaci Licca odkryli ten słaby punkt i powiedzieli o nim rodzinie Cuffaro. A ona ruszyła do akcji.

Pierwsza rzecz, jaką będzie musiał zrobić następnego ranka, to wziąć papiery dotyczące sprawy Licca i przeczytać je na nowo.

Zadzwonił telefon. Pozwolił mu dzwonić. Po dłuższej chwili zamilkł. Jeśli go obserwowali, na pewno zobaczyli, że siedzi sobie wygodnie i nawet nie chce mu się wstać, żeby odebrać.

Kiedy zrobił się senny i wszedł do środka, postanowił, że zostawi drzwi od werandy uchylone, jeśli tamci zechcą mu złożyć nocną wizytę, nie będą musieli wyważać drzwi po raz trzeci.

Poszedł do łazienki, położył się i gdy tylko wsunął się w pościel, telefon znowu zadzwonił. Tym razem wstał i podniósł słuchawkę.

To była Livia.

– Dlaczego wcześniej nie odebrałeś?

– Wcześniej kiedy?

– Z godzinę temu.

Czyli to ona dzwoniła.

– Może brałem prysznic i nie usłyszałem.

– Jak się masz?

– Dobrze. A ty?

– Ja też. Chciałam cię o coś spytać.

To już druga. Najpierw Ingrid, teraz Livia. Wszystkie chciały go o coś pytać. Ingrid zbył półprawdą, będzie musiał postąpić tak samo z Livią? Wymyślił sobie z miejsca nowe przysłowie: „Kto kłamstwa rozdaje, temu

pan Bóg daje”.

– To pytaj.

– W najbliższych dniach masz dużo pracy?

– Nie tak bardzo.

– Mam wielką chęć spędzić z tobą kilka dni w Marinelli. Jutro po południu, o trzeciej, mogłabym wsiąść w samolot i...

– Nie!

Najwyraźniej krzyknął do słuchawki.

– Dziękuję! – powiedziała po pauzie Livia.

I rozłączyła się.

Rany boskie, a teraz jak miał jej wytłumaczyć, że ten okrzyk wyrwał mu się z serca, bo bał się wciągać ją w tę paskudną aferę, w której ugrzązł po szyję?

Oddzwonił. Spodziewał się, że nie odpowie, tymczasem podniosła słuchawkę.

– Odpowiadam tylko dlatego, że jestem ciekawa.

– Czego?

– Tego, jaką wymówkę znajdziesz dla usprawiedliwienia swojego nie.

– Rozumiem, że zrobiło ci się przykro. Ale widzisz, tu nie chodzi o wymówki, tylko o to, że w ciągu ostatnich dni do mojego domu trzy razy włamali się złodzieje...

Livia zaczęła się śmiać i nie mogła przestać.

A co tu było, kurwa, do śmiechu, można wiedzieć? On jej mówi, że złodzieje buszują w jego domu, jak i kiedy im się zechce, a ona nie tylko nie ma dla niego słów pocieszenia, ale jeszcze się śmieje? Ładne mi zrozumienie! Poczul się poirytowany.

– Słuchaj, nie rozumiem...

– Złodzieje w domu komisarza Montalbana, ha, ha!

– Jeśli się uspokoisz...

– Ha, ha, ha!

Odłożyć słuchawkę? Zdobyć się na cierpliwość? Na szczęście zaczęła się uspokajać.

– Przepraszam, ale to mi się wydało takie komiczne.

No właśnie, taka byłaby reakcja ludzi, gdyby wiadomość się rozniosła.

– Opowiem ci, co się zdarzyło. To dziwna historia. Także dzisiaj po południu wrócili, wiesz?

– Co ukradli?

– Nic.

– Nic?! Jak to, opowiedz.

– Przed trzema dniami Ingrid przyjechała do mnie na kolację...

Ugryzł się w język, ale było już zbyt późno. Szkody nie dało się odwrócić.

Po drugiej stronie linii telefonicznej barometr na pewno zaczął wskazywać nadchodzącą burzę. Od kiedy ich sytuacja mniej więcej się ustabilizowała, Livia rozwinęła w sobie zazdrość, na którą nigdy wcześniej nie cierpiała.

– A od kiedy to nabrałeś takiego zwyczaju? – spytała Livia ironicznym i fałszywie wesołym głosem.

– Jakiego zwyczaju?

– Urządzania kolacji we dwoje w Marinelli. Przy świetle księżyca. A właśnie, zapalasz też świece?

Skończyło się awanturą.

W końcu, czy to ze złości na trzech bydlaków, którzy chcieli mu spalić

dom, czy też z powodu anonimowego telefonu i kłótni z Livią, Montalbano prawie nie zmrużył oka. Nie udało mu się pospać więcej niż dwadzieścia minut między jednym przebudzeniem a drugim. Kiedy się zbudził, był zupełnie otępiały. Dopiero półgodzinny prysznic i ćwierć litra kawy doprowadziły go do stanu, w którym potrafił przynajmniej rozróżnić lewą rękę od prawej.

– Nie ma mnie dla nikogo – powiedział, przechodząc obok Catarelli.

Catarella pobiegł za nim truchtem.

– To pana nie ma telefonicznie czy osobiście we własnej osobie?

– Nie ma mnie, chcesz to zrozumieć czy nie?

– Nawet dla pana kwestora pana nie ma?

Dla Catarelli pan kwestor miał rangę tylko o szczebel niższą niż Ojciec w niebiesiech.

– Dla niego też nie.

Wszedł do gabinetu, zamknął drzwi na klucz, po czym po półgodzinnym przeklinaniu i przeszukiwaniu papierów znalazł teczkę z dokumentacją sprawy Giacoma Licca.

Przeglądał ją przez dwie godziny, robiąc notatki.

Potem zadzwonił do prokuratora Giarrizza, który miał być oskarżycielem na procesie Licca.

– Tu komisarz Montalbano. Chciałbym mówić z prokuratorem Giarrizzem.

– Pan prokurator jest w sądzie. Będzie zajęty cały ranek – odpowiedział kobiecy głos.

– Kiedy wróci, może pani mu powiedzieć, żeby do mnie oddzwonił?
Dziękuję.

Włożył do kieszeni kartkę z notatkami i podniósł słuchawkę.

- Catarella, jest Fazio?
- Na miejscu on nie znajduje się, panie komisarzu.
- A Augello?
- On się na miejscu znajduje.
- Powiedz mu, żeby do mnie przyszedł.

Przypomniał sobie, że zamknął drzwi na klucz, otworzył je i znalazł się naprzeciwko Mimì Augella trzymającego w ręce gazetę.

- Dlaczego zamknąłeś się na klucz?

Kiedy ktoś coś robi, dlaczego inni uważają, że mają mu prawo zadawać pytania? Nienawidził takich pytań. Ingrid: dlaczego nie odpowiadasz Rachele? Livia: dlaczego nie słyszałeś pierwszego telefonu? A teraz Mimì.

– Powiem ci w zaufaniu, że miałem zamiar się powiesić, ale ponieważ ty się zjawiałeś...

– A, jeśli masz taki zamiar, który zresztą całkowicie popieram, to ja sobie zaraz pójdę i możesz robić, coś zamierzał.

- Wchodź i siadaj.

Mimì zobaczył na biurku dokumenty sprawy Licca.

- Powtarzasz lekcję?
- Tak. Masz coś nowego?
- Tak. Tę gazetę.

I położył ją na stole przed komisarzem. Był to luksusowy dwumiesięcznik na powlekanym papierze, ociekający pieniędzmi subskrybentów. Nazywał się „La Provincia” i miał podtytuł „Sztuka, Sport i Uroda”.

Montalbano przekartkował go. Okropne obrazy malarzy amatorów, którzy porównywali się co najmniej z Picassem, grafomańskie wiersze podpisane przez poetki o podwójnym nazwisku (to maniera wszystkich

prowinjonalnych poetek), szczegółowy życiorys jakiegoś mieszkańca Montelusy, który został zastępcą burmistrza w bliżej nieznanym miasteczku w Kanadzie, i na koniec, w sekcji sportowej, aż pięć stron na temat „Saveria Lo Duki i jego koni”.

– Co piszą w tym artykule?

– Głupoty. Ale interesowało cię zdjęcie skradzionego konia, prawda? To ten trzeci. Na jakim koniu jechała pani Esterman?

– Na Promieniu Księżyca.

– Jest na czwartym zdjęciu.

Pod każdą fotografią widniało imię konia.

Żeby lepiej się przyjrzeć, Montalbano wyjął z szuflady wielkie szkło powiększające.

– Wyglądasz jak Sherlock Holmes – powiedział Mimì.

– A ty jesteś doktorem Watsonem?

Nie widział żadnej różnicy między koniem zdechłym na plaży a tym na zdjęciu. Ale nie znał się na koniach. Jedynym wyjściem było zadzwonić do Rachele, nie chciał jednak tego robić przy Mimì, jeszcze zaczęłaby poruszać jakieś niebezpieczne tematy, sądząc, że jest sam.

Gdy tylko Augello wyszedł z pokoju, zadzwonił do Rachele na komórkę.

– Tu Montalbano.

– Salvo! Tak się cieszę! Rano dzwoniłam i powiedzieli mi, że cię nie ma.

Całkiem zapomniał, że przyrzekł Ingrid odpowiedzieć na telefon Rachele. Musiał ratować się następnym kłamstwem. Przyszło mu do głowy kolejne przysłowie: „W zdrowym kłamstwie zdrowy duch”.

– Faktycznie, nie było mnie. Właśnie przyjechałem i dowiedziałem się, że dzwoniłaś, więc oddzwoniłem.

– Nie chcę ci zabierać czasu. Są jakieś nowości w śledztwie?

- Jakim?
- No, tym dotyczącym zabicia mojego konia!
- Nie prowadzimy żadnego śledztwa, bo nie zgłosiłaś oficjalnie skargi.
- Ach tak? – powiedziała rozczarowana Rachele.
- Tak. Jeśli już, to musisz się zwrócić do policji w Montelusie. To tam Lo Duca zgłosił kradzież dwóch koni.
- Miałam nadzieję, że...
- Przykro mi. Słuchaj, przypadkowo wpadła mi w ręce gazeta, w której jest zdjęcie konia ukradzionego Lo Duce...
- Rudiego.
- Tak. Odniosłem wrażenie, że wygląda identycznie jak zabity koń, którego widziałem na plaży.
- Były do siebie rzeczywiście bardzo podobne. Ale nie identyczne. Na przykład mój koń, Super, miał dziwną plamkę, rodzaj trójramiennej gwiazdki na lewym boku. Widziałeś ją?
- Nie, bo leżał właśnie na tym boku.
- To dlatego zabrali ciało. Żeby nie można go było zidentyfikować. Jestem coraz bardziej przekonana, że Scisci ma rację: chcą go dręczyć, trzymając w niepewności.
- To możliwe...
- Słuchaj...
- Co?
- Chciałabym... porozmawiać z tobą. Zobaczyć się.
- Rachele, uwierz mi, nie szukam wymówek, ale w tej chwili mam naprawdę trudną sytuację.
- Ale żeby przeżyć, musisz jeść, prawda?
- No tak. Ale nie lubię rozmawiać, kiedy jem.

– Przrzekam, że będę mówić tylko przez pięć minut, kiedy już skończymy. Możemy się zobaczyć dziś wieczorem?

– Jeszcze nie wiem. Zróbmy tak, że o ósmej zadzwonisz do komisariatu i wtedy ci powiem.

Wziął znowu do ręki teczkę Licca, przeczytał jeszcze raz dokumenty i zrobił więcej notatek. Powtórzył wszystkie poszlaki, które zebrał, czytając je z punktu widzenia obrońcy, i to, co przypominał sobie jako słaby punkt, nie wydało mu się już tylko drobnostką, ale poważnym niedociągnięciem. Przyjaciele Licca mieli rację: zachowanie Montalbana na sali sądowej będzie miało decydujące znaczenie, wystarczy, że okaże najmniejsze wahanie co do tego punktu i adwokaci zmienią szczelinę w wielką dziurę, przez którą Licco będzie mógł spokojnie wyjść na wolność i jeszcze domagać się przeprosin od stróżów prawa.

Koło pierwszej, kiedy wyszedł z gabinetu, żeby pójść do restauracji, zawołał go Catarella.

– Panie komisarzu, niech mi pan wybaczy, ale pan jest czy nie?

– A kto przy telefonie?

– Prokurator Giarrazzo.

– Daj mi go.

– Dzień dobry, tu Giarrizzo, szukał mnie pan?

– Tak, dziękuję. Chciałbym z panem porozmawiać.

– Czy może pan do mnie przyjechać... powiedzmy... o wpół do szóstej?

Ponieważ poprzedniego dnia praktycznie nic nie jadł, stwierdził, że musi to sobie powetować.

– Enzo, jestem bardzo głodny.

- Bardzo się cieszę, panie komisarzu. Co panu podać?
- Wiesz, co ci powiem? Sam nie wiem, co wybrać.
- Niech pan to zostawi mnie.

W pewnej chwili poczuł, że jeśli zje jeszcze jeden kęs, pęknie, tak jak ten bohater z filmu pod tytułem *Sens życia*^[2], który bardzo go rozbawił. Zdawał sobie jednak sprawę, że to nerwowe napięcie wzbudziło u niego taki apetyt.

Po długim spacerze na molo wrócił do biura, ale czuł się jeszcze ociężały. Czekał na niego Fazio.

- Coś się działo dzisiaj w nocy? – zapytał z miejsca komisarza.
- Nic. A ty co robiłeś?
- Pojechałem do szpitala w Montelusie. Straciłem tam cały ranek. Nikt mi nie chciał nic powiedzieć.
- Dlaczego?
- Tajemnica lekarska, panie komisarzu. A ja nie miałem nakazu.
- Czyli nic ci się nie udało dowiedzieć?
- Kto to panu powiedział? – spytał Fazio, wyciągając z kieszeni karteczkę.
- Od kogo uzyskałeś informacje?
- Kuzyn wujka mojego kuzyna, który tam pracuje, jak odkryłem.

Więzy rodzinne, choćby tak dalekie, że w innych częściach Włoch nie zostałyby uznane nawet za pokrewieństwo, były często na Sycylii jedynym sposobem uzyskania informacji, przyspieszenia praktyki, ustalenia, gdzie zniknęła jakaś osoba, znalezienia pracy dla bezrobotnego syna, zapłacenia mniejszego podatku, otrzymania za darmo biletów do kina i mnóstwa innych rzeczy, których nie byłoby rozsądne dzielić z kimś, kto nie należał do rodziny.

12

– A zatem, Gurreri Gerlando, urodzony w Vigacie... – zaczął Fazio, czytając z kartki.

Montalbano zaklął, skoczył na równe nogi, przechylił się przez biurko i wyrwał mu kartkę z ręki. Podczas gdy Fazio stał zszokowany, komisarz zmiął papier w kulkę i wyrzucił go do kosza. Nie był w stanie wysłuchiwać tych litanii danych, które tak lubił Fazio i które przypominały mu skomplikowane genealogie z Biblii. Jafet syn Józefa miał czternaścioro dzieci, Rachelę, Ibrahima, Lota, Assanagora...

– I jak teraz sobie poradzę? – spytał Fazio.

– Powiesz mi to, co pamiętasz.

– Ale mogę potem wziąć sobie z powrotem kartkę?

– Dobrze.

Fazio trochę się uspokoił.

– Gurreri ma czterdzieści sześć lat i jest żonaty z... nie pamiętam, zapisałem na kartce. Mieszka w Vigacie, na via Nicotera trzydzieści osiem...

– Fazio, mówię ci to po raz ostatni: zostaw w spokoju dane osobowe.

– Już dobrze, dobrze. Gurreri został przyjęty do szpitala w Montelusie na początku lutego dwa tysiące trzeciego roku, dokładnej daty nie pamiętam, bo zapisałem na kartce...

– Mam w dupie dokładną datę. I jeśli ośmielisz się powtórzyć jeszcze raz, że coś zapisałeś na kartce, wyjmę ją z kosza i każę ci połknąć.

– Już dobrze, dobrze. Gurreri był nieprzytomny i przywiózł go jakiś mężczyzna, którego nazwiska nie pamiętam, bo zapisałem...

– Teraz cię zastrzelę.

– Przepraszam, wyrwało mi się. Ten typ pracował z Gurrerim w stajniach

Lo Duke. Zgłosił, że Gurreri został przypadkowo uderzony ciężkim metalowym prętem, który służył do zamykania wejścia do stajni. Krótko mówiąc, musieli mu zrobić trepanację czaszki czy coś w tym guście, po powstał krwiak, który naciskał na mózg. Operacja się udała, ale Gurreri został inwalidą.

– W jakim sensie?

– W takim, że zaczął cierpieć na zaniki pamięci, omdlenia, nieoczekiwane ataki furii, tego typu rzeczy. Dowiedziałem się, że Lo Duca zapłacił za kurację i porady specjalistyczne, ale w sumie nie było poprawy.

– Raczej pogorszenie, jeśli wierzyć Lo Duce.

– To tyle, jeśli chodzi o szpital, ale są też inne rzeczy.

– To znaczy?

– Zanim Gurreri zaczął pracować dla Lo Duke, spędził kilka lat w pudle.

– Ach tak?

– Tak jest. Kradzież z włamaniem i próba zabójstwa.

– Nieźle.

– Dzisiaj po obiedzie spróbuję się dowiedzieć, co mówią o nim na mieście.

– Dobrze, jedź.

– Przepraszam, panie komisarzu, mogę odebrać swoją kartkę?

Komisarz pojechał do Montelusy o wpół do piątej. Po dziesięciu minutach jazdy ktoś jadący za nim nacisnął klakson. Montalbano zjechał na prawo, żeby go przepuścić, ale tamten zwolnił i kiedy się z nim zrównał, zawołał:

– Złapał pan gumę.

Rany boskie! I co teraz miał zrobić, skoro nigdy w życiu nie zmieniał

jeszcze opony? Na szczęście przejeżdżał akurat samochód karabinierów. Montalbano pomachał i zatrzymali się.

– Potrzebuje pan czegoś?

– Tak, dziękuję, bardzo dziękuję. Galluzzo, jestem geometrą. Gdybyście byli tak uprzejmi i zmienili mi tylne koło...

– Pan nie umie tego zrobić?

– Tak, ale niestety mam niepełnosprawne prawe ramię, nie mogę podnosić ciężarów.

– Zajmiemy się tym.

Przyjechał do biura Giarrizza z dziesięciominutowym opóźnieniem.

– Proszę mi wybaczyć, ale korki...

Czterdziestoletni Nicola Giarrizzo był wielkim, niemal dwumetrowym mężczyzną. Kiedy z kimś rozmawiał, miał zwyczaj chodzić tam i z powrotem po pokoju, w rezultacie potykając się to o krzesło, to o otwarte okno, to o swoje własne biurko. Nie dlatego, żeby miał kłopoty ze wzrokiem czy był roztargniony, ale z prostej przyczyny, że przestrzeń normalnego pokoju mu nie wystarczała, sprawiał wrażenie słonia w budce telefonicznej.

Kiedy komisarz wyjaśnił mu powód swojej wizyty, przez jakiś czas zastanawiał się w milczeniu. Wreszcie powiedział:

– Wydaje mi się, że jest trochę za późno.

– Na co?

– Na to, żeby przychodził pan do mnie ze swoimi wątpliwościami.

– Ale widzi pan...

– I nawet gdyby przyszedł pan rozmawiać o rzeczach całkowicie dowiedzionych, też byłoby za późno.

– Ale dlaczego, przepraszam?

– Bo to, co było do napisania, zostało już napisane.

– Przyjechałem tu tylko porozmawiać.

– To to samo. W tej chwili dla mnie nic się już nie zmienia. Na pewno wyjdą na jaw jakieś nowe fakty, i to ważne, ale tak stanie się w czasie procesu. Czy to jasne?

– Jak najbardziej. I rzeczywiście, przyjechałem powiedzieć panu, że...

Giarrizzo przerwał mu, podnosząc rękę.

– Poza tym nie sędzę, żeby pana zachowanie było właściwe. Dopóki sytuacja się nie zmieni, jest pan także świadkiem.

Miał rację. Montalbano zaakceptował to. Wstał, trochę poirytowany. Zrobił z siebie głupca.

– No cóż, wobec tego...

– Co pan robi? Idzie pan? Co pana napadło?

– Nie, ale...

– Niech pan siada – powiedział prokurator, zatrzasnął uchylone drzwi do pokoju.

Komisarz usiadł.

– Możemy porozmawiać czysto teoretycznie? – zaproponował Giarrizzo.

Co to znaczy czysto teoretycznie? Z braku lepszej opcji Montalbano kiwnął twierdząco głową.

– A zatem z teoretycznego punktu widzenia, powtarzam, tylko dla przyjemności intelektualnej rozrywki, załóżmy, że pewien komisarz policji, którego będziemy nazywać Martinez...

Montalbanowi nie spodobało się to nazwisko.

– Nie moglibyśmy nazwać go jakoś inaczej?

– Przecież to szczegół bez znaczenia! Ale jeśli panu na tym zależy, proszę zasugerować inne nazwisko – powiedział zirytowany Giarrizzo, wpadając na szafkę z segregatorami.

D'Angelantonio? De Gubernatis? Filippazzo? Cosentino? Aromatis? Nie przychodziło mu do głowy żadne odpowiednie nazwisko. Poddał się.

– Dobrze, niech będzie Martinez.

– A zatem założmy, że ten Martinez, który przeprowadził śledztwo, i tak dalej, w sprawie niejakiego, nazwijmy go, Salinasa...

Co też napadło Giarrizza z tymi hiszpańskimi nazwiskami?

– ...może być Salinas?, oskarżonego o strzelenie do właściciela sklepu, i tak dalej, no więc zauważa, i tak dalej, i tak dalej, że w materiale dowodowym jest słaby punkt, i tak dalej, i tak dalej...

– Przepraszam, kto zauważa? – spytał Montalbano, który pogubił się w tych wszystkich i tak dalej.

– Martinez, oczywiście. Właściciel sklepu, którego nazwiemy...

– Alvarez del Castillo – wtrącił szybko Montalbano.

Giarrizzo zawahał się.

– Za długie nazwisko. Niech będzie Alvarez. A zatem ten Alvarez, mimo iż płacze się w zeznaniach, stanowczo zaprzecza, że rozpoznał w napastniku Salinasa. Zgadza się?

– Tak.

– Poza tym Salinas twierdzi, że ma alibi, którego jednak nie chce zdradzić Martinezowi. Dlatego też komisarz podąża swoim tropem, przekonany, że Salinas nie chce ujawnić alibi, bo po prostu go nie ma. Zgadza się?

– Zgadza się. Ale w tym miejscu mnie... to znaczy Martineza, nachodzi wątpliwość: a jeśli Salinas naprawdę ma alibi i ujawni je na procesie?

– To jest przecież wątpliwość, jaka nasunęła się także tym, którzy musieli podpisać nakaz aresztowania i skierowania sprawy do sądu! – powiedział Giarrizzo, potykając się o dywan i omal nie zwalając się na komisarza, który przeraził się, że zginie przygnieciony przez tego rodyjskiego kolosa.

– I jak przewyciężyli swoje wątpliwości?

– Przeprowadzając dodatkowe dochodzenie, które zakończyło się trzy miesiące temu.

– Ale ja nie...

– Nie zlecono go Martinezowi, bo wykonał już swoją robotę. Podsumowując: alibi Salinasa opiera się na oświadczeniu pewnej kobiety, jego kochanki, z którą podobno zabawiał się, kiedy strzelono do Alvareza.

– Przepraszam. Ale jeśli Lic... to znaczy Salinas, naprawdę ma alibi, to znaczy, że proces zakończy się jego...

– Skazaniem! – powiedział Giarrizzo.

– Dlaczego?

– Bo to alibi, gdy tylko adwokaci Salinasa je przedstawią, zostanie podważone przez oskarżenie. Poza tym obrońcy nie wiedzą, że oskarżenie zna nazwisko kobiety, która ma dostarczyć tego spóźnionego alibi.

– Mógłbym się dowiedzieć, kto to taki?

– Pan? Panie komisarzu, a co pan ma z tym wspólnego? Jeśli już, powinien o to spytać komisarz Martinez.

Usiadł, napisał coś na kartce, wstał, podał rękę Montalbanowi, który uścisnął ją, nie bardzo rozumiejąc, o co chodzi.

– Miło mi było spotkać się z panem. Zobaczymy się w sali sądowej.

Odwrócił się, nadział się na zamknięte drzwi, niemal wyważył je z zawiasów i wyszedł. Komisarz, jeszcze ogłupiały, pochylił się, żeby popatrzeć na kartkę leżącą na biurku. Napisane było na niej imię i nazwisko: Concetta Siragusa.

Wrócił pędem do Vigaty, wpadł do komisariatu i przechodząc obok Catarelli, powiedział mu:

– Zadzwoń na komórkę do Fazia.

Nie zdążył jeszcze usiąść, gdy zadzwonił telefon.

– Co się stało, panie komisarzu?

– Zostaw to, co robisz, i przyjedź natychmiast do komisariatu.

– Jadę.

Sprawdzeniem alibi Licca nie zajmował się Montalbano, z pewnością zrobili to karabinierzy na zlecenie Giarrizza. I bez wątpienia klan Cuffaro dowiedział się, że służby wojskowe przeprowadziły takie dochodzenie.

Znaczyło to, że niezależnie od tego, jak zachowa się na sali sądowej, nie będzie to miało żadnego wpływu na przebieg procesu.

Zatem wszystkie naciski na niego, splądrowany dom, próba podpalenia, anonimowy telefon, nie miały nic wspólnego z procesem Licca. Ale w takim razie, czego od niego chciano?

Fazio wysłuchał w skupionym milczeniu wniosków, do których komisarz doszedł po rozmowie z Giarrizem.

– Może ma pan rację – powiedział w końcu.

– Daruj sobie to może.

– Trzeba poczekać i zobaczyć, co zrobią teraz, kiedy nie udało im się podpalić domu.

Montalbano uderzył się w czoło.

– Zrobili następny ruch! Zapomniałem ci o tym powiedzieć.

– Co zrobili?

– Miałem anonimowy telefon.

Powtórzył mu go.

– Problem polega na tym, że pan nie wie, co chcą, żeby pan zrobił.

– Miejmy nadzieję, że ich następny ruch, tak jak mówisz, coś nam wyjaśni. Dowiedziałeś się czegoś nowego o Gurrerim?

- Tak, ale...
 - Ale co?
 - Potrzebuję więcej czasu, żeby sprawdzić informacje.
 - Powiedz mi i tak.
 - Podobno zwerbowali go trzy miesiące temu.
 - Kto?
 - Rodzina Cuffaro. Jak się zdaje, zatrudnili Gurreriego w miejsce Licca.
 - Trzy miesiące, powiadasz?
 - Tak, proszę pana. Czy to ważne?
 - Nie jestem pewien, ale cały czas mowa o trzech miesiącach. Trzy miesiące temu Gurreri opuszcza dom, trzy miesiące temu zostaje odkryta tożsamość kochanki Licca, która dostarcza mu alibi, trzy miesiące temu Gurreri zostaje zatrudniony przez Cuffaro...
 - Jeśli to wszystko – powiedział Fazio, wstając – wróć porozmawiać z sąsiadką żony Gurreriego, która jej nienawidzi. Zaczęła mi coś opowiadać, ale pan zadzwonił i musiałem ją zostawić w środku rozmowy.
 - Powiedziała ci już coś?
 - Tak. Że Concetta Siragusa od kilku miesięcy...
- Montalbano skoczył na równe nogi, z wybałuszonymi oczami.
- Co powiedziałaś?!
 - Panie komisarzu, co ja takiego powiedziałam?
 - Powtórz!
 - Że Concetta Siragusa, żona Gurreriego...
 - Kurwa mać! – zaklął komisarz, opadając ciężko na krzesło.
 - Panie komisarzu, przestraszył mnie pan! Co się stało?
 - Poczekaj, daj mi się uspokoić.
- Zapalił papierosa. Fazio wstał i poszedł zamknąć drzwi.

– Najpierw chcę się czegoś dowiedzieć – powiedział komisarz. – Zacząłeś mówić, że sąsiadka powiedziała ci, że od kilku miesięcy żona Gurreriego... i tu ci przerwałem. Mów dalej.

– Sąsiadka mówiła mi, że od jakiegoś czasu żona Gurreriego boi się nawet własnego cienia.

– Chcesz wiedzieć, od jak dawna Siragusa jest przestraszona?

– Tak. Pan to wie?

– Od trzech miesięcy, Fazio, dokładnie od trzech miesięcy.

– Ale skąd pan wie o niej te rzeczy?

– Nie wiem, ale mogę się domyślić. A teraz powiem ci, jak się potoczyły wypadki. Trzy miesiące temu któryś z Cuffaro kontaktuje się z Gurrerim, który jest podrzędnym rzezimieszkiem, i proponuje mu pracę dla rodziny. Gurreri nie wierzy własnemu szczęściu, to jakby dostać stały etat po latach dorywczych prac.

– Przepraszam, ale na co Cuffaro taki typ jak Gurreri, który nawet nie ma wszystkich kłapek na miejscu?

– Zaraz to wyjaśnię. Cuffaro stawiają Gurreriemu trudny do przełknięcia warunek.

– To znaczy?

– Że Concetta Siragusa, jego żona, ma dostarczyć alibi Liccowi.

Tym razem to Fazio wybałuszył oczy.

– Kto panu powiedział, że kochanką Licca jest Siragusa?

– Giarrizzo. Nie powiedział mi nazwiska, napisał je na karteczce i udał, że zostawił ją przez zapomnienie na stole.

– Ale co to oznacza?

– Ano to, że rodzina Cuffaro ma w dupie Gurreriego, interesuje ich tylko żona. Która zmuszona jest zaakceptować ich warunki, po dobroci czy po

groźbie, ale jest przestraszona. Jednocześnie Cuffaro mówi Gurreriemu, że lepiej, jeśli opuści dom, znajdą mu bezpieczne miejsce, w którym zamieszka.

Zapalił kolejnego papierosa. Fazio poszedł otworzyć okno.

– A ponieważ Gurreri, mając poparcie Cuffaro, czuje się pewny siebie i chce się zemścić na Lo Duce, oni mu w tym pomagają. To oni stoją za całą machinacją, nie ten przygłup Gurreri. Konkluzja: od trzech miesięcy Licco wreszcie może dostarczyć brakującego mu wcześniej alibi, a Gurreri cieszy się swoją zemstą. I żyli długo i szczęśliwie.

– A my...

– A my dostajemy w dupę. Ale powiem ci więcej – rzekł Montalbano.

– Proszę mówić.

– W którymś momencie obrońcy Licca wezwą na świadka Gurreriego. Na bank. W taki czy inny sposób uda się im do tego doprowadzić. I Gurreri przysięgnie, że zawsze wiedział, że jego żona jest kochanką Licca, i właśnie dlatego opuścił dom, zmęczony awanturami z babą, która płakała za swoim uwiezionym gachem.

– Jeśli sprawy tak się mają...

– A jak mają się mieć?

– ...to może powinien pan pojechać jeszcze raz do Giarrizza.

– I co mam mu powiedzieć?

– To, co powiedział pan mnie.

– Do Giarrizza nie pojedę za skarby świata... Po pierwsze, bo zwrócił mi uwagę, że zjawienie się u niego nie było właściwym zachowaniem. Po drugie, dodatkowe dochodzenie zlecił karabinierom. To niech się z nimi teraz porozumiewa. A ty wracaj biegiem rozmawiać z sąsiadką.

Równo o ósmej zadzwonił telefon.

– Panie komisarzu, by była pani Estera Manni.

Całkiem zapomniał o spotkaniu! A teraz co jej miał powiedzieć, tak czy nie? Jeszcze niezdecydowany podniósł słuchawkę.

– Halo? Tu Rachele. Przestałeś się dąsać?

Wyczuł w jej głosie nutkę ironii, która go zirytowała.

– Mam jeszcze trochę pracy.

Chcesz być dowcipna? No to dostałaś po nosie.

– Myślisz, że dasz radę się uwolnić?

– No nie wiem, może za godzinkę... Ale to może dla ciebie za późno na kolację.

Miał nadzieję, że ona odpowie, że w takim razie lepiej będzie to przełożyć na inny wieczór. Rachele powiedziała jednak:

– W porządku, nie martw się, ja mogę jeść i o północy.

Chryste Panie, i jak miał teraz spędzić całą godzinę w biurze, nie mając nic do roboty? Dlaczego wplątał się w tę sytuację? Poza tym był już tak głodny, że mógłby zjeść konia z kopytami.

– Możesz poczekać chwilę przy telefonie?

– Oczywiście.

Położył słuchawkę na biurko, wstał, podszedł do okna i udał, że rozmawia z kimś głośno.

– Mówisz, że nie można go znaleźć?... Lepiej przełożyć to na jutro rano?... Dobrze, niech będzie.

Odwrócił się, żeby podejść do biurka i znieruchomiał. W drzwiach stał Catarella, który patrzył na niego trochę przestraszony, a trochę zaniepokojony.

– Dobrze się pan czuje, panie komisarzu?

Montalbano bezgłośnie pokazał mu gestem ręki, że ma się wynosić.

Catarella zniknął.

– Rachele? Na szczęście udało mi się uwolnić. Gdzie chciałabyś się spotkać?

– Gdzie chcesz.

– Masz samochód?

– Ingrid zostawiła mi swój.

Ingrid była strasznie gorliwa w ułatwianiu mu spotkań z Rachele!

– Ona go nie potrzebuje?

– Przyjechał po nią jej przyjaciel, który potem ją odwiezie.

Wyjaśnił Rachele, gdzie się spotkają. Przed wyjściem z pokoju wziął z biurka czasopismo, które przyniósł mu Mimì Augello. Mogło mu się przydać, żeby utrzymać w cuglach rozmowę z Rachele, gdyby ześlizgnęła się ona na niebezpieczne tory.

13

Gdy dojechał na parking przed barem w Marinelli, stwierdził, że nie ma tam samochodu Ingrid. Najwyraźniej Rachele się spóźniła. Brakowało jej szwajcarskiej raczej niż szwedzkiej precyzji, jaką odznaczała się jej przyjaciółka. Nie mógł się zdecydować, czy czekać na nią na zewnątrz, czy w barze. Nie mógł zaprzeczyć, że czuł się trochę niepewnie przed tym spotkaniem. Prawda była taka, że nigdy jeszcze w jego pięćdziesięciosześcioletnim życiu nie zdarzyło mu się spotkać ponownie z obcą praktycznie kobietą, z którą połączyło go przelotne, jakby to nazwać? ach, tak, obcowanie płciowe, jak powiedziałyby prokurator Tommaseo. I prawdziwym powodem, dla którego nie chciał odpowiedzieć na jej telefony było to, że czuł się zażenowany i nie wiedział, jak z nią rozmawiać. Zażenowany i bardzo zawstydzony, że ujawnił przed tą kobietą stronę swojej natury, do której w zasadzie się nie przyznawał.

Co miał jej powiedzieć? Jak miał się zachować? Jaki wyraz twarzy przybrać?

Żeby dodać sobie animuszu, wysiadł z samochodu, wszedł do lokalu i przy kontuarze zamówił u Pina, barmana, whisky bez lodu.

Akurat skończył ją pić, kiedy zauważył, że Pino wpatruje się jak zaczarowany w drzwi wejściowe. Wyglądał jak posąg z otwartymi ustami, przypominał postać z szopki, ze szklanką w jednej ręce i ścierką w drugiej.

Montalbano odwrócił się.

Rachele właśnie weszła.

Była ubrana tak elegancko, że aż budziła lęk, ale jej uroda przerażała jeszcze bardziej.

Można było odnieść wrażenie, że moc żarówek elektrycznych w lokalu

nagle się podwoiła. Pino zmienił się w marmurowy posąg, nie był w stanie się poruszyć.

Komisarz ruszył jej na spotkanie. Zachowała się jak prawdziwa wielka dama.

– Witaj – powiedziała z uśmiechem, w błękitnych oczach czytało się autentyczną radość z tego, że go widzi. – Jestem.

Nie spróbowała go pocałować ani nie nadstawiła policzka.

Montalbano ogarnęła fala wdzięczności i od razu poczuł się swobodniej.

– Napijesz się drinka?

– Wolałabym nie.

Montalbano zapomniał zapłacić za whisky. Pino wciąż jeszcze się nie poruszył, obrócony w kamień. Na parkingu Rachele spytała:

– Zdecydowałeś, dokąd pojedziemy?

– Tak. Do Montereale Marina.

– To chyba w kierunku Fiakki. Pojedziemy samochodem Ingrid czy twoim?

– Weźmy auto Ingrid. Możesz ty prowadzić? Ja jestem trochę zmęczony.

To nie było prawdą, ale czuł efekt wypitej whisky. Jak to możliwe, że szklaneczka whisky uderzyła mu do głowy? A może to mieszanka whisky i Rachele miała taki piorunujący efekt?

Ruszyli. Rachele prowadziła pewnie, jechała wprawdzie dość szybko, ale bardzo spokojnie. Dotarli do Montereale w dziesięć minut.

– Teraz wskaż mi drogę.

Niespodziewanie, z winy tej piorunującej mieszanki, Montalbano zapomniał, jak trzeba jechać.

– Wydaje mi się, że w prawo.

Nieasfaltowana droga w prawo kończyła się przed wiejskim domem.

– Wobec tego trzeba wrócić, a potem skręcić w lewo.

Ten kierunek też okazał się błędny, droga prowadziła do magazynu jakiejś spółdzielni rolniczej.

– Może trzeba jechać dalej prosto – stwierdziła Rachele.

I rzeczywiście, okazało się, że to właśnie był dobry kierunek.

Po dziesięciu minutach siedzieli przy stoliku w restauracji, którą komisarz odwiedził już kilka razy i zawsze był zadowolony z jedzenia.

Stolik, który wybrali, znajdował się pod pergolą, na obrzeżu plaży. Morze zaczynało się jakieś trzydzieści kroków dalej i szemrało cicho, najwyraźniej nie miało ochoty się burzyć. Gwiazdy świeciły jasno, na niebie nie było nawet chmurki.

Przy pobliskim stoliku siedziało dwóch pięćdziesięciolatków. Na jednym z nich widok Rachele wywarł niemal zabójcze wrażenie: zakrztusił się popijanym winem, ryzykując śmierć z uduszenia. Jego przyjaciel pomógł mu odzyskać oddech w krytycznym momencie, waląc go z wielką siłą po plecach.

– Mają tu białe wino, które może posłużyć za aperitif... – powiedział Montalbano.

– Jeśli dotrzymasz mi towarzystwa.

– Oczywiście. Jesteś głodna?

– Jadąc do Marinelli z Montelusy jeszcze nie byłam, ale teraz już zgłodniałam. To pewnie morskie powietrze.

– Cieszę się. Wyznam ci, że kobiety, które nie lubią jeść, bo boją się utyć...

Przerwał. Co go napadło, żeby się zwierzać Rachele? Co się z nim działo?

– Nigdy nie stosowałam żadnych diet – powiedziała Rachele. – Do tej

pory nie miałam na szczęście takiej potrzeby.

Kelner przyniósł wino. Wypili pierwszy kieliszek.

– Rzeczywiście dobre – powiedziała Rachele.

Przyszła para trzydziestolatków, żeby wybrać stół, ale gdy tylko dziewczyna spostrzegła, jakim wzrokiem jej chłopak patrzy na Rachele, złapała go pod ramię i zaciągnęła do środka lokalu.

Kelner zjawił się znowu i napełniwszy puste kieliszki, zapytał, co mają ochotę zjeść.

– Chcesz przekąskę czy pierwsze danie?

– Jedno wyklucza drugie? – spytała Rachele.

– Podają tutaj piętnaście różnych przekąsek. Szczerze ci je polecam.

– Wszystkie piętnaście?

– Nawet więcej.

– Niech będą przekąski.

– A na drugie? – spytał kelner.

– Potem się zastanowimy – odpowiedział Montalbano.

– Mam przynieść drugą butelkę do przekąsek?

– Myślę, że tak.

Po chwili na stole nie zmieściłaby się już nawet szpilka.

Krewetki, kraby, wędzony tuńczyk, smażone kulki *nunnato*, jeżowce, sałatka z gotowanych ośmiornic, sałatka z ośmiornic w sosie własnym, anchois marynowane w cytrynie, sardynki w oleju, smażone miniaturowe kałamarnice, kałamarnice i mątwy przyprawione pomarańczą i selerem, anchois szpikowane kaparami, sardynki w panierce *a beccafico*, carpaccio z miecznika...

Jedli w milczeniu, rzucając sobie tylko od czasu do czasu spojrzenie wyrażające uznanie dla smaków i zapachów. Cisza została przerwana tylko

raz, kiedy podawał jej anchois zwinięte z ośmiorniczkami i Rachele zapytała:

– O co chodzi?

A Montalbano odpowiedział, rumieniąc się:

– O nic.

Na kilka chwil zagapił się na jej usta, które się otwierały, na wsuwany w nie widelec i przelotną intymną wizję podniebienia, różowego jak u kotki, na pusty widelec wysuwający się z ust, jeszcze ściśnięty między połyskliwymi zębami, zamykające się wargi, poruszające się lekko i rytmicznie, podczas gdy przeżuwała pokarm. Miała usta, które oszałamiały już samym widokiem. I w nagłym przebłysku Montalbano przypomniał sobie wieczór w Fiakce, kiedy wpatrywał się w jej usta oświetlone żarzącym się papierosem.

Gdy skończyli przekąski, Rachele powiedziała:

– O mój Boże!

I odetchnęła głęboko.

– Wszystko w porządku?

– Absolutnie.

Kelner zbliżył się, aby uprzątnąć talerze.

– Co państwo zamówią na drugie?

– Możemy chwilę poczekać? – zaproponowała Rachele.

– Jak państwo sobie życzą.

Kelner oddalił się. Rachele milczała. Potem nagle wypła jednym haustem kieliszek wina, chwyciła paczkę papierosów i zapalniczkę, wstała, zeszła po dwóch schodkach na plażę, zrzuciła z nóg buty i ruszyła w stronę morza. Zatrzymała się na samym brzegu, mocząc nogi w wodzie.

Nie powiedziała Montalbanowi, żeby za nią poszedł, tak samo jak tamtego wieczoru w Fiakce. Komisarz nie ruszył się od stolika. Potem, po

jakichś dziesięciu minutach, zobaczył, że wraca. Zanim weszła po schodkach, włożyła znowu buty.

Kiedy usiadła naprzeciwko niego, Montalbano odniósł wrażenie, że błękit jej oczu jest bardziej błyszczący niż zwykle. Rachele popatrzyła na niego i uśmiechnęła się.

I wtedy z kącika jej lewego oka spłynęła na policzek zawieszona na rzęsach łza.

– Chyba wpadło mi do oka ziarnko piasku – poratowała się oczywistym kłamstwem Rachele.

Kelner zjawił się niczym koszmar.

– Czy już państwo wybrali?

– Co macie? – spytał Montalbano.

– Mamy wybór smażonych ryb, rybę z rusztu, może być też miecznik, cefale po livorneńsku...

– Ja poproszę tylko sałatę – powiedziała Rachele.

I zwróciła się do komisarza:

– Wybacz, nie dam rady zjeść więcej.

– Jasne. Ja też wezmę sałatę. Ale...

– Ale? – spytał kelner.

– Dołóż do niej czarne i zielone oliwki, seler, marchewki, kapary i wszystko, co przyjdzie do głowy kucharzowi.

– Ja też chcę przyrządzoną w taki sposób – oświadczyła Rachele.

– Życzą sobie państwo jeszcze wina?

W butelce stojącej na stole zostało jeszcze na dwa kieliszki.

– Dla mnie wystarczy.

Montalbano pokręcił przecząco głową i kelner poszedł sobie, może trochę rozczarowany niewielkim zamówieniem.

– Przepraszam za moje zachowanie przed chwilą – powiedziała Rachele.
– Wstałam i poszłam sobie bez słowa. Ale... no, krótko mówiąc, nie chciałam przy tobie płakać.

Montalbano nie otworzył ust.

– Czasami, niestety dosyć rzadko, to mi się zdarza – mówiła dalej.

– Dlaczego mówisz niestety?

– Widzisz, bardzo rzadko płaczę, gdy cierpię lub spotka mnie coś złego. Duszę wszystko w sobie. Taką już mam naturę.

– W komisariacie widziałem, jak płaczesz.

– To był drugi czy trzeci raz w moim życiu. Ale pomyśl, jakie to dziwne, zaczynam rzewnie płakać w chwilach... szczęścia, nie, to zbyt wielkie słowo, raczej wtedy, gdy czuję w środku wielki spokój, opadają ze mnie wszystkie napięcia, wszystkie... no dobrze, starczy, nie chcę cię nudzić opisami stanów mojej duszy.

I tym razem Montalbano nie otworzył ust.

Zadawał sobie jednak pytanie, ile różnych kobiet współlistniało w Rachele.

Ta, którą poznał za pierwszym razem w komisariacie, była kobietą inteligentną, racjonalną, ironiczną i opanowaną; ta, z którą miał przygodę w Fiakce, była świadoma tego, czego chce, a jednocześnie zdolna oddać się namiętności i zatracić wszelki rozsądek i kontrolę; teraz zaś miał przed sobą wrażliwą kobietę, która pokazywała mu, nie mówiąc tego otwarcie, jak bardzo jest nieszczęśliwa i jak rzadkie są w jej życiu chwile radości i pogodzenia z samą sobą.

Ale co on wiedział o kobietach?

Madamina, il catalogo è questo^[3]: jeden związek przed Livią, Livia, ta

dwudziestolatka, której imienia nie chciał nawet wymawiać, i Rachele.

A Ingrid? Ale Ingrid to była zupełnie inna historia, w ich związku granica między przyjaźnią a czymś innym była bardzo płynna.

Naturalnie, poznał wiele kobiet, prowadząc różne śledztwa, ale były to zawsze znajomości zawarte w szczególnych okolicznościach, kiedy w interesie tych kobiet leżało udawanie, że są kimś innym, niż były naprawdę.

Kelner przyniósł sałatę. Odświeżyła im język, podniebienie i myśli.

– Chcesz whisky?

– Czemu nie.

Zamówili i kelner przyniósł ją natychmiast. Teraz nadeszła chwila, by porozmawiać o tym, co leżało Rachele na sercu.

– Przywiozłem gazetę, ale zostawiłem ją w samochodzie – powiedział Montalbano.

– Jaką gazetę?

– Tę, w której są zdjęcia koni Lo Duki. Ta, o której wspomniałem ci przez telefon.

– Ach tak. Chyba ci powiedziałam, że mój miał na boku plamkę w kształcie gwiazdki. Biedny Super!

– Skąd u ciebie ta namiętność do koni?

– Przekazał mi ją mój ojciec. Na pewno nie wiesz, że byłam mistrzynią Europy...

Montalbanowi opadła szczeka.

– Naprawdę?

– Tak. Wygrałam także dwa razy zawody na Piazza di Siena, w Madrycie, w Longchamps... Dawne zwycięstwa.

Zapadła chwila ciszy. Montalbano postanowił zagrać w otwarte karty.

– Dlaczego tak chciałaś się ze mną zobaczyć?

Wzdrygnęła się, być może z powodu tego frontalnego ataku, którego się nie spodziewała. Potem wyprostowała ramiona i komisarz zrozumiał, że teraz ma przed sobą tę Rachele, którą spotkał pierwszy raz w komisariacie.

– Z dwóch powodów. Pierwszy jest czysto osobisty.

– Słucham cię.

– Ponieważ nie sędzę, że kiedy już wyjadę, zobaczymy się jeszcze, chciałam ci wyjaśnić moje zachowanie w Fiakce. Żeby nie zostawić ci mylnego wrażenia na mój temat.

– Nie ma potrzeby nic wyjaśniać – powiedział Montalbano, który od razu poczuł się znowu zakłopotany.

– Właśnie że tak. Ingrid, która mnie dobrze zna, powinna była uprzedzić cię w którymś momencie, że ja... nie wiem, jak to powiedzieć...

– Jeśli nie wiesz, jak to powiedzieć, to nie mów.

– Kiedy jakiś mężczyzna podoba mi się naprawdę, głęboko, coś, co nie zdarza mi się często, nie mogę się oprzeć, żeby... zacząć z nim od tego, co dla innych jest punktem docelowym. No i tak. Nie wiem, czy wyraziłam to...

– Wyjaśniłaś to bardzo jasno.

– Potem możliwe są dwa scenariusze. Albo o tej osobie nie chcę już słyszeć ani mówić, albo też usiłuję zatrzymać ją przy sobie na wszelkie sposoby jako przyjaciela, kochanka... I kiedy ci powiedziałam, że mi się podobało, nawiasem mówiąc, Ingrid przekazała mi, że zrobiło ci się z tego powodu przykro, nie myślałam o tym, co zaszło między nami chwilę wcześniej, ale o tym, jaki jesteś, jak się zachowujesz... No, jednym słowem, o tym, jakim jesteś człowiekiem. Rozumiem, że moje zdanie mogło spowodować nieporozumienie. Ale nie pomyliłam się, skoro ofiarowujesz mi wieczór, taki jak ten dzisiejszy. Koniec tematu.

- A drugi powód?
- Dotyczy skradzionych koni. Ale przemyślałam to jeszcze raz i nie wiem, czy warto o tym mówić.
- Dlaczego?
- Bo powiedziałaś, że nie zajmujesz się śledztwem. Nie chcę mówić ci rzeczy, które mogą być dla ciebie tylko dodatkowym utrapieniem.
- Jeśli chcesz, to powiedz mi i tak.
- Wczoraj, kiedy poszłam z Sciscì do stajni, spotkaliśmy tam weterynarza, który przyjechał na rutynową kontrolę.
- Jak się nazywa?
- Mario Anzalone. Jest bardzo dobry.
- Nie znam go. Co się zdarzyło?
- Rozmawiając z Lo Duca, weterynarz wyrażał swoje zdziwienie, że złodzieje ukradli Rudiego, a nie Promień Księżyca, czyli konia, na którym wzięłam udział w wyścigu.
- Dlaczego?
- Mówił, że jeśli któryś ze złodziei znał się na koniach, na pewno zabraliby Promień Księżyca, a nie Rudiego, po pierwsze dlatego, że jest dużo lepszym koniem, a po drugie dlatego, że było jasne, że Rudi jest chory, prawdopodobnie bez nadziei na wyzdrowienie, i on sam miał zamiar zaproponować, żeby go dobić i oszczędzić mu cierpienia.
- A co na to odpowiedział Lo Duca?
- Że za bardzo się przywiązał do tego konia.
- Na co chorował?
- Miał wirusowe zapalenie tętnic, tworzą się rany na ścianach tętnic.
- Jednym słowem, to trochę tak, jak gdyby złodzieje włamali się do salonu z luksusowymi samochodami, żeby ukraść jedną limuzynę i jednego

zepsutego malucha.

– Mniej więcej.

– Choroba jest zakaźna?

– Tak. I faktycznie, kiedy wracaliśmy do Montelusy, nie mogłam się powstrzymać od wymówek. Jak to? Zaproponowałeś, że przechowasz mojego konia i umieścisz go obok chorego zwierzęcia?

– Poprzednio gdzie trzymałaś swojego konia?

– W Fiakce, u barona Piscopa.

– Co Lo Duca powiedział na swoją obronę?

– Powiedział mi, że choroba jego konia nie była już zaraźliwa. I dodał, że chociaż w tych okolicznościach sprawa jest bezprzedmiotowa, mogę zadzwonić do weterynarza, który na pewno to potwierdzi.

– Bo koń był umierający.

– Tak.

– To po co go kraść?

– Dlatego chciałam się z tobą zobaczyć. Zadałam sobie to pytanie i doszłam do wniosku, że jest tu sprzeczność z tym, co Scisci powiedział ci w Fiakce.

– To znaczy?

– Że chcieli ukraść i zabić tylko mojego konia, ale ponieważ Rudi wygląda prawie identycznie jak Super, nie wiedzieli, który należy do mnie, i zabrali oba. Chcieli zepsuć reputację Scisci i to im się udało.

Była to ta sama hipoteza, którą rozważał już komisarz.

– Czytałeś wczorajszy dziennik? – spytała Rachele.

– Nie.

– W „Corriere dell’Isola” poświęcili duży artykuł kradzieży koni. Dziennikarze nie wiedzą jednak, że jeden z nich został zabity.

– Skąd się dowiedzieli?

– Przecież w Fiakce wszyscy widzieli, że jadę nie na swoim koniu! Ktoś zaczął sobie zadawać pytania. Super był koniem, na którym wygrałam wiele ważnych wyścigów, w świecie hippiki wszyscy go znali.

– Zawsze dosiadany przez ciebie?

Rachele uśmiechnęła się po swojemu.

– Dobrze by było!

Potem coś jej przyszło do głowy i spytała:

– Możesz zaspokoić moją ciekawość? Oglądałeś kiedyś prawdziwe wyścigi, prawdziwe zawody konne?

– W Fiakce był mój pierwszy raz.

– Emocjonuje cię piłka nożna?

– Kiedy gra reprezentacja narodowa, czasem oglądam mecze. Ale wolę wyścigi Formuły 1, może dlatego, że sam nigdy nie stałem się dobrym kierowcą.

– Ingrid powiedziała mi, że dużo pływasz!

– Tak, ale nie dla sportu.

Skończyli whisky.

– Lo Duca pytał policję w Montelusie, na jakim etapie jest śledztwo?

– Tak. Odpowiedzieli mu, że nie mają nic nowego. I obawiam się, że nic nowego już nie będzie.

– To nie jest powiedziane. Chcesz jeszcze whisky?

– Nie, dziękuję.

– Co robimy?

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym wrócić do domu.

– Jesteś śpiąca?

– Nie. Mam ochotę położyć się do łóżka i rozpamiętywać ten wieczór.

Na parkingu przed barem w Marinelli oboje spontanicznie uścisnęli się i pocałowali.

– Zostajesz jeszcze?

– Co najmniej trzy dni. Jutro zadzwonię do ciebie, chcesz?

– Tak.

14

Gdy otworzył oczy, był już jasny dzień. I tego ranka nie miał ochoty zamykać ich znowu. Może dlatego, że dobrze spał, nie budząc się ani razu przez całą noc, co zdarzało mu się coraz rzadziej ostatnimi czasy.

Został jeszcze chwilę w łóżku, przyglądając się zmiennej grze światła i cieni, którą promienie słoneczne, przenikając przez szpary w żaluzjach, rzucały na sufit pokoju. Mężczyzna wędrujący po plaży przypominał figurę wyrzeźbioną przez Giacomettiego^[4], wyglądał jak zrobiony ze splątanych nitek wełny.

Montalbano przypomniał sobie, że jako dziecko potrafił spędzić całą godzinę z okiem przyklejonym do kupionego mu przez wuja kalejdoskopu, oczarowany zmienną grą kształtów i kolorów. Wuj kupił mu też blaszany rewolwer, w którym nabojami były ciemnoczerwone kartonowe kółka usiane czarnymi wypukłymi kropkami. Wsuwało się je do bębena i przy każdym strzale wydawały odgłos paf-paf.

To wspomnienie przywiodło mu od razu na myśl wymianę strażów między Galluzzem i dwoma złodziejami, którzy chcieli podpalić jego dom.

I pomyślał też, jakie to dziwne, że ci, którzy od niego czegoś chcieli, chociaż on nie wiedział czego, nie dawali znaku życia od prawie dwudziestu czterech godzin. A wydawali się tak zdesperowani! Dlaczego teraz nagle wypuścili wodze z rąk?

Po tym pytaniu uświadomił sobie, że jeszcze nigdy dotąd nie formułował myśli, używając określeń odnoszących się do koni.

Czy to był wpływ prowadzonego dochodzenia, czy też wciąż jeszcze wracał do wieczoru spędzonego z Rachele?

Nie da się ukryć, że Rachele była kobietą, która...

Zadzwoił telefon.

Montalbano wyskoczył z łóżka, raczej żeby uciec od myślenia o Rachele niż z gorliwości, by odebrać telefon.

Było wpół do siódmej.

– Ach, panie komisarzu, panie komisarzu! Jam Catarella!

Montalbanowi zachciało się zażartować.

– Słucham, kogo pan szuka? – powiedział, zmieniając głos.

– Jam Catarella, panie komisarzu!

– O jakiego komisarza panu chodzi? To ambulatorium weterynaryjne.

– O Boże kochany! To niech mi pan przebaczy, ja się pomyliłem.

Telefon zadzwonił ponownie.

– Halo? Czy to ambulatorium weterynaryjne?

– Nie, Catarè. Tu Montalbano. Poczekaj chwilę, to dam ci numer ambulatorium.

– Nie, nie, ja nie chcę do ambulatorium!

– To dlaczego tam dzwonicz?

– A skąd wiem? Niech mi pan komisarz przebaczy, bo zgubiony jestem.

Może pan się odwiesić i zadzwonię od początku?

– Dobrze.

Telefon zadzwonił po raz trzeci.

– Panie komisarzu, czy to jest pan?

– Tak.

– A co pan robił, spał?

– Nie, tańczyłem rock and rolla.

– Naprawdę? To pan umie tańczyć?

– Catarè, powiedz, o co chodzi.

– Ano trup się znalazł.

No i cóż to mogło być innego? Jeśli Catarella dzwonił o świcie, to znaczyło, że znaleziono porannego trupa.

– Kobieta czy mężczyzna?

– O płęć męską się traktuje.

– Gdzie go znaleziono?

– W okręgu Spinoccia.

– A gdzie to?

– Tego to ja nie wiem, panie komisarzu. Ale teraz po niego przyjedzie Gallo.

– Po kogo? Po trupa?

– Nie, panie komisarzu, osobiście po pana we własnej osobie on przyjedzie. Samochodem on przyjedzie i pana sam dotransportuje do miejsca, które jest w tym okręgu, co się nazywa Spinoccia.

– Nie mógł pojechać Augello?

– Nie, panie komisarzu, bo jak po niego telefonilem, żona mi zapowiedziała, że on poza domem się znalazł.

– Nie ma komórki?

– Tak jest, ale chodzi o komórkę wyłączoną.

Jakoś nie wyobrażał sobie, żeby Mimì wyszedł z domu o szóstej rano! Na pewno smacznie sobie spał i kazał Bebie opowiedzieć bajkę.

– A gdzie jest Fazio?

– On już wybył z Galluzzem do wyżej wzmiankowanej lokalizacji.

Gallo zapukał do drzwi, gdy Montalbano miał jeszcze namydloną twarz.

– Wejdz, za pięć minut będę gotowy. Gdzie jest ta Spinoccia?

– Gdzie diabeł mówi dobranoc, panie komisarzu. To wieś, dziesięć kilometrów za Giardiną.

– Wiesz coś o nieboszczyku?

– Nic a nic, panie komisarzu. Zadzwoił Fazio, żebym po pana przyjechał, no i przyjechałem.

– Wiesz, jak tam dojechać?

– Teoretycznie tak. Sprawdziłem na mapie.

– Gallo, jesteśmy na polnej drodze, a nie na torze wyścigowym w Monzy!

– Wiem, panie komisarzu, dlatego jadę tak wolno.

A po pięciu minutach:

– Gallo, mówiłem, żebyś tak nie gazował!

– Jedziemy bardzo wolno, panie komisarzu.

Za wolną jazdę po wyboistej polnej drodze, pełnej nierówności, dziur, rowów i kraterów, które wyglądały jak pozostałości po bombach, uważał Gallo prędkość około osiemdziesięciu kilometrów na godzinę.

Jechali przez pustą okolicę wysuszonej żółtawej równiny, na której z rzadka rosły rachityczne drzewka. Był to pejzaż, który Montalbanowi dość się podobał. Ostatnią białą bryłę domu pozostawili za swoimi plecami jakiś kilometr wcześniej. Po drodze spotkali tylko wózek, jadący z Vigaty w stronę Giardiny, oraz wieśniaka z mułem, idących w przeciwnym kierunku.

Przejechawszy zakręt, zobaczyli przed sobą, w pewnej odległości, radiowóz i osła. Zwierzę doskonale zdawało sobie sprawę, że w okolicy nie ma nic do jedzenia, dlatego też stało apatycznie obok samochodu i popatrzyło z niewielkim zainteresowaniem na nadjeżdżający samochód.

Gallo zjechał z drogi, skręcając tak gwałtownie, że komisarza odrzuciło na bok i pomimo zapiętego pasa bezpieczeństwa poczuł się, jakby jego głowa oderwała się od reszty ciała. Zaklął z uczuciem.

– Nie mogłeś się zatrzymać trochę dalej?

– Zatrzymałem się tutaj, panie komisarzu, żeby zostawić miejsce następnym samochodom.

Wysiedli. Wtedy zobaczyli, że za radiowozem, z lewej strony drogi, Fazio, Galluzzo i jakiś wieśniak siedzą na ziemi koło kępy sorgo i coś jedzą. Wieśniak wyciągnął z worka chleb i ser i podzielił się z policjantami.

Sielankowy wiejski obrazek, rodzaj śniadania na trawie.

Ponieważ słońce dość już przygrzewało, wszyscy byli w samych koszulach.

Gdy tylko Fazio i Galluzzo zobaczyli komisarza, wstali z ziemi i włożyli marynarki. Wieśniak siedział dalej, ale podniósł dłoń do czapki w geście wojskowego salutu. Miał co najmniej osiemdziesiąt lat.

Nieboszczyk miał na sobie tylko slipki i leżał twarzą do ziemi, równoległe do drogi. Nad prawą łopatką widoczna była rana, z niewielką ilością krwi dookoła, będąca rezultatem strzału z broni palnej. Jakieś zwierzę odgryzło martwemu kawałek prawego ramienia. Nad obiema ranami unosiły się roje much.

Komisarz pochylił się, żeby popatrzeć na ugryzione ramię.

– To pies – powiedział wieśniak, przełykając ostatni kęs chleba i sera. Potem wyciągnął z worka butelkę wina, odkorkował ją, pociągnął łyk i odłożył wszystko na miejsce.

– To pan go odkrył?

– Ano. Rankiem, jakżem szedł z osłem.

– Jak pan się nazywa?

– Contrera Giuseppe i czysty jestem.

Zależało mu na tym, żeby podkreślić, że nie miał kłopotów z prawem. Ale w jaki sposób powiadomił komisariat z tego odległego od cywilizacji

miejsca? Wysłał gołębia pocztowego?

– To pan po nas zadzwonił?

– Nie, mój syn.

– A gdzie on jest?

– U siebie w domu, w Giardinie.

– Ale był z panem przy odkryciu...

– Nie, proszę pana, nie był ze mną. W swoim domu był. On jeszcze spał, paniczek taki. On za księgowego robi.

– Ale jeśli nie był z panem...

– Pozwoli pan, panie komisarzu? – przerwał Fazio. – Nasz przyjaciel Contrera, gdy tylko odkrył zwłoki, zadzwonił do syna i...

– Tak, ale jak zadzwonił?

– Tym – powiedział wieśniak, wyciągając z worka komórkę.

Montalbano wybałuszył oczy. Wieśniak był ubrany jak za dawnych czasów: barchanowe spodnie, sznurowane buty, koszula bez kołnierzyka i kamizelka.

Ta technologiczna zabawka wydawała się nie na miejscu w jego sękatych dłoniach, pełnych odcisków wyglądających jak miniaturowe pasma Alp.

– Ale wobec tego dlaczego nie zadzwonił pan bezpośrednio do nas?

– Po pierwsze – powiedział wieśniak – ja z tego umiem dzwonić tylko do mojego syna, a po drugie, to jak miałem znać wasz numer?

– Komórkę – wyjaśnił znowu Fazio – podarował panu Contrerze jego syn, który obawiając się, że z racji swego sędziwego wieku...

– Mój syn Cosimo to gnojek. Księgowy i gnojek. Niech on o swoim zdrowiu myśli, nie o moim – oświadczył wieśniak.

– Zapisaleś jego dane i adres? – spytał Montalbano Fazio.

– Tak, panie komisarzu.

– Może pan już iść – powiedział Montalbano do Contrery.

Wieśniak zasalutował i wsiadł na swojego osła.

– Zawiadomiłeś wszystkich?

– Tak jest.

– Miejmy nadzieję, że zaraz przyjadą.

– Panie komisarzu, trzeba będzie poczekać jeszcze co najmniej pół godziny, jeśli nie będzie żadnego opóźnienia.

Montalbano podjął szybką decyzję.

– Gallo!

– Jestem!

– Jak daleko stąd do Giardiny?

– Taką drogą, powiedziałbym, może kwadrans.

– No to pojedziemy na kawę. Chcecie, żeby i wam przywieźć?

– Nie, dziękuję – odpowiedzieli chórem Fazio i Galluzzo, którzy zapewne mieli jeszcze w ustach smak chleba i sera.

– Mówiłem ci, żebyś tak nie gazował!

– Kto tu gazuje?

I w istocie, po dziesięciu minutach jazdy z szybkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę albo i więcej samochód skończył nosem w dziurze tak wielkiej jak niemal cała droga, i z dwoma tylnymi kołami, które prawie zawisły w powietrzu.

Wyciąganie samochodu z dołu, popychanego na zmianę raz przez Galla, raz przez Montalbana, spoconych jak myszy, przy wtórze krzyków i przekleństw, trwało pół godziny. W dodatku lewy błotnik wygiął się i ocierał o koło. Gallo wreszcie zmuszony był jechać powoli.

W sumie wrócili do Spinoccii po ponad godzinie.

Byli już wszyscy, z wyjątkiem prokuratora Tommasea. Montalbano zmartwił się jego nieobecnością. Kto wie, kiedy przyjedzie, i stracą przez niego całe przedpołudnie. Prowadził gorzej od ślepca, wpadał na każde spotkane drzewo.

– Wiadomo coś o prokuratorze Tommaseo? – spytał komisarz Fazio.

– Kiedy prokurator już odjechał!

Co się stało, Tommaseo zmienił się w Fangia na torze Formuły 1?

– Na szczęście podwiózł go doktor Pasquano – mówił dalej Fazio. – Dał pozwolenie na usunięcie ciała i pojechał do Montelusy z Galluzzem.

Sądówka skończyła robienie pierwszej serii zdjęć, Pasquano kazał odwrócić nieboszczyka. Zmarły musiał mieć około pięćdziesiątki, może był trochę młodszy. Na piersi nie było śladu po wylocie kuli, która go zabiła.

– Znasz go? – spytał komisarz Fazio.

– Nie, panie komisarzu.

Doktor Pasquano skończył oględziny zwłok, klnąc na muchy, które latały od ran nieboszczyka do jego twarzy i z powrotem.

– Co mi pan powie, panie doktorze?

Pasquano udał, że nie usłyszał. Montalbano powtórzył pytanie, udając z kolei, że myśli, że doktor naprawdę nie usłyszał. Wtedy Pasquano popatrzył na komisarza złym wzrokiem, zdejmując rękawiczki. Był bardzo spocony i miał czerwoną twarz.

– A co mam powiedzieć? Ładny dzisiaj dzień.

– Wspaniała pogoda, prawda? A co mi pan powie o zmarłym?

– Jest pan gorszy od tych natrętnych much, wie pan? Co pan, kurwa, chce, żebym powiedział?

Najwyraźniej poprzedniego dnia przegrał w pokera w swoim klubie.

Montalbano uzbroił się w cierpliwość.

– Zróbmy tak, panie doktorze. Podczas gdy pan będzie mówił, ja osuszę panu spoconą twarz, odgonię muchy i od czasu do czasu pocałuję pana w czoło.

Pasquano musiał się roześmiać. Potem wyrzucił z siebie jednym tchem:

– Zabili go strzałem w plecy. I nie ma potrzeby, żebym o tym panu mówił. Nabój utknął w ciele. I chyba też nie ma potrzeby, żebym o tym panu mówił. Strzał nie padł tutaj, i tego też może się pan domyślić sam, bo nikt nie maszeruje w samych slipach po takiej drodze jak ta. Nie żyje od co najmniej dwudziestu czterech godzin, ale ma pan wystarczające doświadczenie, żeby i tego się domyślić. Co do znaku po ugryzieniu w ramię, tylko kretyn nie domyśliłby się, że to był pies. Podsumowując, nie było powodu, żeby mi zawracać dupę, zmuszać mnie do mówienia i tracenia oddechu. Wyraziłem się jasno?

– Całkowicie.

– Więc do widzenia szanownym panom.

Odwrócił się do nich plecami, wsiadł do samochodu i odjechał.

Vanni Arquà, szef sądówki, trząsał w dalszym ciągu setki bezużytecznych zdjęć. Z tych tysięcy, które robił, najwyżej dwa lub trzy mogły mieć znaczenie. Znudzony tym wszystkim komisarz postanowił wracać. Co miał tu do roboty?

– Idę – powiedział do Fazia. – Zobaczymy się w komisariacie. Gallo, jedziemy?

Nie pożegnał się z Arquà, zresztą i Arquà nie przywitał się z nim, kiedy przyjechał. Nie można było powiedzieć, żeby się lubili nawzajem.

Wysilek, jaki musiał włożyć w wyciąganie samochodu z rowu, sprawił,

że kurz nie tylko pobrudził mu ubranie, ale przeniknął też pod koszulę i przylepił się do spoconego ciała.

Nie czuł się na siłach, by spędzić dzień w komisariacie w takim stanie. Zresztą było już prawie południe.

– Zawieź mnie do Marinelli – powiedział do Galla.

Kiedy otworzył drzwi, zorientował się od razu, że Adelina skończyła już pracę i poszła sobie.

Skierował się prosto do łazienki, rozebrał się, wziął prysznic, wrzucił do kosza na bieliznę brudne ubranie, wszedł do sypialni i otworzył szafę, żeby wybrać nowe. Zauważył, że pośród spodni wisi jedna para w plastikowym worku z pralni, najwyraźniej Adelina odebrała je tego samego ranka. Postanowił je włożyć, razem z marynarką, którą bardzo lubił, i jedną z niedawno kupionych koszul.

Potem wszedł do samochodu i pojechał na obiad do Enza.

Ponieważ było jeszcze wcześniej, w restauracji oprócz niego był tylko jeden klient. W telewizji nadawano informację o odnalezieniu przez rybaka ciała niezidentyfikowanego mężczyzny w trzcinach w okręgu Spinoccia. Zdaniem policji chodziło o morderstwo, gdyż na szyi mężczyzny znaleziono ślady po uduszeniu. Według niepotwierdzonych danych, morderca znęcał się nad ofiarą ze zwierzęcą brutalnością, rozszarpując ją zębami. Dochodzenie prowadzi komisarz Salvo Montalbano. Więcej szczegółów w następnym wydaniu dziennika.

Także tym razem telewizja przejęła zadanie należące do niego, to znaczy powiadomienie o zdarzeniu, okrasivszy je szczegółami i detalami albo całkowicie błędnymi, albo przekręconymi lub wyssanymi z palca. A ludzie dawali się nabrać. Dlaczego dziennikarze to robili? Żeby uczynić bardziej makabrycznym i tak już okropne morderstwo? Zresztą czy Ameryka nie

rozpętała wojny na podstawie zmyśleń, przekłamań, mistyfikacji i fałszywych przysięg wygłaszanych przez najważniejszych ludzi kraju przed ekranami telewizji całego świata? Stacje telewizyjne ze swej strony dolały jeszcze oliwy do ognia. A nawiasem mówiąc: gdzie się podziała historia o antracenie? Jakim cudem z dnia na dzień przestano o tym mówić?

– Jeśli drugi klient nie ma nic przeciwko temu, mógłbyś wyłączyć telewizor?

Enzo podszedł do drugiego klienta, który odwrócił się do komisarza i powiedział:

– Może go pan wyłączyć, mam to w dupie.

Był to potężnie zbudowany pięćdziesięciolatek, który wcinał potrójną porcję spaghetti z małżami.

Komisarz też je zamówił na pierwsze danie. Potem kazał sobie przynieść jak zwykle cefale.

Kiedy wyszedł z restauracji, uznał, że przechadzka na molo nie jest niezbędna, i wrócił prosto do komisariatu, gdzie czekał na niego stos papierów do podpisania.

Gdy skończył większość biurokratycznej roboty, było już po piątej. Resztę postanowił zostawić na następny dzień. Odłożył długopis i w tej samej chwili zadzwonił telefon. Montalbano popatrzył na niego podejrzliwie. Od jakiegoś czasu był coraz bardziej przekonany, że wszystkie telefony są obdarzone rodzajem własnej, niezależnej inteligencji. Nie umiał sobie inaczej wyjaśnić tego, że telefony coraz częściej dzwoniły w chwilach odpowiednich albo nieodpowiednich, ale nie wtedy, kiedy akurat nic nie robił.

– Ach, panie komisarzu, panie komisarzu. Bo by była pani Estera Manni. Przełączyć?

- Tak. Cześć, Rachele. Jak się masz?
- Bardzo dobrze. A ty?
- Ja też. Gdzie jesteś?
- W Montelusie. Ale zaraz wyjeżdżam.
- Wracasz do Rzymu?! Przecież mówiłaś...
- Nie, jadę do Fiakki.

Poczuł nagły przyływ zazdrości, choć wiedział, że nie ma do niej prawa. Gorzej: nie miał uzasadnienia. Nie było żadnego powodu, dla którego miałby ją odczuwać.

- Jadę z Ingrid, żeby załatwić pewien interes.
- Handlowy?

Rachele zaśmiała się.

- Nie. Uczuciowy.

Mogło to oznaczać tylko jedno: że miała zamiar wręczyć Guidowi wypowiedzenie.

- Wracamy dzisiaj wieczorem. Zobaczymy się jutro?
- Możemy spróbować.

15

Nie minęło pięć minut i telefon znowu zadzwonił.

– Ach, panie komisarzu, panie komisarzu. Bo tu byłby pan doktor Pisquano.

– Przy telefonie?

– Tak jest.

– Przełącz.

– Jakim cudem nie zawraca mi pan jeszcze dupy? – zaczął Pasquano z typową dla siebie uprzejmością.

– A z jakiego powodu miałbym to robić?

– Żeby poznać wyniki autopsji.

– Czyjej?

– Montalbano, pan się najwyraźniej starzeje. Pańskie komórki mózgowe ulegają coraz szybszemu rozpadowi. Pierwszy symptom to utrata pamięci, wiedział pan? Na przykład, nie zdarzyło się jeszcze panu zrobić czegoś i za chwilę nie pamiętać, że pan to zrobił?

– Nie. Panie doktorze, nie jest pan ode mnie starszy o pięć lat?

– Tak, ale wiek nie jest istotny. Istnieją ludzie starzy już w wieku dwudziestu lat. W każdym razie wydaje mi się oczywiste, który z nas dwóch jest bardziej zdiadziały.

– Dziękuję. Zechce mi pan powiedzieć, o jaką autopsję chodzi?

– O porannego nieboszczyka.

– O nie, panie doktorze! Wszystko mógłbym przypuszczać, tylko nie to, że pan tak szybko się z nią uwinie! Powziął pan sympatię do zmarłego? Normalnie mijają całe dni, zanim...

– Miałem akurat dwie godziny wolne i pozbyłem się roboty przed

obiadem. W stosunku do tego, co powiedziałem dzisiaj rano, mogę dodać dwa szczegóły. Po pierwsze, wydobyłem nabój i przesłałem go do sądówki, która, naturalnie, odezwie się po następnych wyborach prezydenckich.

– Przecież ostatnie odbyły się niespełna trzy miesiące temu!

– No właśnie.

Miał rację. Montalbano przypomniał sobie, że przesłał im metalowe prety, którymi zatłuczono konia, żeby sprawdzili odciski palców, i jeszcze mu nie odpowiedzieli.

– A drugi detal?

– Znalazłem w ranie ślady waty.

– Co to oznacza?

– To znaczy, że ten, kto go zabił, i ten, kto wywiózł ciało na pustkowie, to dwie różne osoby.

– Może pan wyrazić się jaśniej?

– Ależ oczywiście, zwłaszcza biorąc poprawkę na wiek.

– Czyj wiek?

– Pana wiek, mój drogi. Starość wpływa negatywnie na zdolność rozumienia.

– Panie doktorze, dlaczego się pan nie...

– Chciałbym! Może miałbym więcej szczęścia w pokerze! Wyjaśniałem panu, że moim zdaniem ktoś strzelił do ofiary i ciężko ją zranił. Potem przyjaciel, współnik czy kto tam był, rozebrał rannego i próbował zatamować jakoś wypływającą krew. Mimo tych prób postrzelony wkrótce zmarł. Wtedy tamten poczekał, aż zrobi się ciemno, wrzucił nieboszczyka do samochodu i wywiózł go w ustronne miejsce, jak najdalej od swojego domu.

– To prawdopodobne wyjaśnienie.

– Dziękuję, że zrozumiał pan, nie domagając się dodatkowych wyjaśnień.

– Jakież znaki szczególne?
– Blizna po operacji wyrostka.
– Przyda się do identyfikacji.
– Czyjej?
– No jak to, zmarłego!
– Zmarły nigdy nie był operowany na wyrostek!
– Przecież dopiero co pan to powiedział!
– Mój drogi, to następna oznaka starości. Postawił pan pytanie tak mętnie, że sądziłem, iż interesują pana moje znaki szczególne.

Żartów mu się zachciało. Rozkoszował się graniem Montalbanowi na nerwach.

– Dobrze, panie doktorze, skoro już wyjaśniliśmy nieporozumienie, zadam ponownie pytanie tak prosto, jak tylko potrafię, żeby nie musiał pan przesadnie wysilać mózgu, odpowiadając: ciało nieboszczyka, którego autopsję pan dzisiaj przeprowadził, miało jakież znaki szczególne?

- Odniosłem takie wrażenie.
- Może mi je pan wymienić?
- Nie. Takie rzeczy wolę przedstawić na piśmie.
- A kiedy dostanę od pana raport?
- Kiedy będę miał czas i ochotę, żeby go napisać.

I nie było sposobu na przekonanie go, żeby zmienił zamiar.

Komisarz posiedział jeszcze chwilę w swoim gabinecie, a potem, ponieważ nie zjawili się ani Augello, ani Fazio, wrócił do Marinelli.

Kiedy już szykował się do pójścia do łóżka, zadzwoniła Livia. I chociaż tym razem ich rozmowa nie skończyła się awanturą, niewiele brakowało.

Nie potrafili się już komunikować ani porozumieć słowami; było tak, jak

gdyby szukali ich w tym samym słowniku, ale znajdowali odmienne czy nawet przeciwstawne definicje, zależnie od tego, czy szukał ich on, czy ona. I to podwójne znaczenie stawało się przyczyną dwuznaczności, nieporozumień i kłótni.

Ale gdy znajdowali się razem, koło siebie, w milczeniu, sprawy miały się zupełnie inaczej. Zdawało się, że ich ciała obwąchują się, wyczuwają swój zapach i porozumiewają się doskonale za pośrednictwem niemego języka złożonego z małych gestów, takich jak przesunięcie nogi, aby znajdowała się bliżej drugiej, czy odwrócenia twarzy w stronę drugiej twarzy. I nieodmiennie ten niemy język doprowadzał dwa ciała do rozpaczliwego uścisku.

Montalbano spał źle i przyśnił mu się jakiś koszmar. W rezultacie komisarz zbudził się w środku nocy. Kiedy zaczął o tym rozmyślać, zachciało mu się śmiać. Jak to możliwe, że przez tyle lat nigdy nie pomyślał o koniach, wyścigach, stajniach, a teraz nawet o nich śnił?

Znajdował się na hipodromie, który miał trzy równoległe tory. Był z nim kwestor Bonetti-Alderighi, nienagannie ubrany w strój do jazdy konnej. Natomiast on, Montalbano, miał rozczochrane włosy, długą brodę i ubrany był w stare łachy, jeden rękaw marynarki był rozdarty. Wyglądał jak żebrak proszący o jałmużnę. Trybuna była pełna gestykułujących i krzyczących widzów.

– Augello, niech pan założy okulary, zanim pan wsiądzie na konia! – nakazywał mu Bonetti-Alderighi.

– Nie jestem Augellem, jestem Montalbanem.

– Nieważne, i tak niech je pan założy! Przecież jest pan ślepy jak kret!

– Nie mogę ich założyć, zgubiłem je, jadąc tutaj, mam dziurawą kieszeń – odpowiadał zawstydzony Montalbano.

– Punkt karny za używanie dialektu! – obwieszczał głos z głośnika.

– Widzi pan, ile mam przez pana kłopotów? – zwracał się do niego z wyrzutem kwestor.

– Przepraszam.

– Niech pan bierze konia.

On odwrócił się, ale wtedy się zorientował, że koń jest z brązu i siedzi na zadzie, dokładnie tak, jak koń przed siedzibą RAI.

– Co mam zrobić?

– Niech go pan pociągnie za grzywę.

Gdy tylko ręce komisarza dotknęły grzywy, koń wsunął głowę między jego nogi i podniósł go do góry. Montalbano zsunął się po szyi na grzbiet i w rezultacie dosiadł konia na opak, z twarzą zwróconą do zadu zwierzęcia.

Słyszał krzyki z trybuny. Zażenowany, odwrócił się z trudem i chwycił się grzywy najmocniej, jak się dało, bo koń, który nagle stał się zwierzęciem z krwi i kości, nie był osiodłany i nie miał nawet wodzy.

Ktoś oddał głośny strzał i koń ruszył z kopyta, kierując się w stronę środkowego toru.

– Nie! Nie! – krzyczał Bonetti-Alderighi.

– Nie! Nie! – krzyczeli ludzie na trybunach.

– To nie ten tor! – wołał Bonetti-Alderighi.

Wszyscy machali rękami, ale nie rozróżniał gestów, widział tylko rozmazane plamy kolorów, bo przecież zgubił okulary. Zrozumiał, że koń robił coś, czego nie powinien, ale jak można koniowi wytłumaczyć, że się pomylił? A poza tym dlaczego ten tor był niewłaściwy?

Zrozumiał to chwilę później, kiedy zwierzę zaczęło się potykać. Podłoże toru było z piasku, takiego jak na plaży. Ale był to piasek drobny i głęboki, nogi konia zapadały się całkowicie przy każdym kroku. Dlaczego właśnie

jemu musiało się to przytrafić? Spróbował przekreślić głowę konia w lewo, żeby go skłonić do zmiany toru. Jednak w tej chwili zobaczył, że dwa pozostałe tory zniknęły, zniknął też hipodrom, ogrodzenia, trybuny i nawet sam tor, na którym się znajdował, przemienił się nagle w ocean piasku.

Teraz już przy każdym kroku zwierzę zapadało się głębiej i głębiej, aż po brzuch, a potem aż po piersi. W końcu koń przestał się ruszać w ogóle, uduszony przez piasek.

Montalbano próbował zsiąść, ale piasek krępował mu ruchy. Wtedy komisarz zrozumiał, że on także umrze na tej pustyni, i zaczął płakać; nagle o kilka kroków od niego zmaterializował się jakiś mężczyzna, którego twarzy, nie mając okularów, nie mógł wyraźnie dostrzec.

– Wiesz, jak wydostać się z tej sytuacji – mówił do niego mężczyzna.

On chciał odpowiedzieć, ale gdy tylko otworzył usta, zaczął się do niego wsypywać piasek, dusząc go powoli.

W rozpaczliwej próbie zaczerpnięcia oddechu komisarz się zbudził.

Sen był mozaiką fantazji i faktów. Ale co miało znaczyć to, że biegł niewłaściwym torem?

Przyjechał do pracy później niż zwykle. Musiał najpierw wstąpić do banku, bo znalazł w skrzynce list grożący mu odcięciem prądu z powodu zaległości w opłatach. Ale przecież dał zlecenie opłacania rachunków prosto z konta bankowego! Stał w kolejce prawie godzinę, przekazał wezwanie do zapłaty urzędnikowi, który sprawdził, co się stało, i odkrył, że rachunek został uiszczony w terminie.

– Widocznie zaszło jakieś nieporozumienie, panie komisarzu.

– To co mam teraz zrobić?

– Proszę się nie martwić, my to załatwimy.

Od jakiegoś czasu medytował nad napisaniem na nowo konstytucji. Skoro zajmowali się tym niedorozwinięci i analfabeci, to dlaczego on nie miałby z tym sobie poradzić? Pierwszy artykuł brzmiałby następująco: „Włochy są tymczasową republiką opartą na nieporozumieniach”.

– Ach, panie komisarzu, panie komisarzu! Tę kopertę sądówka nam zaprzesała!

Otworzył ją, idąc do swojego biura.

W środku było kilka fotografii twarzy nieboszczyka ze Spinoccii, z danymi dotyczącymi wieku, wzrostu, koloru oczu... Nie było żadnej wzmianki o znakach szczególnych.

Nie miało sensu przekazywać zdjęć Catarelli, żeby poszukał w rejestrze osób zaginionych kogoś podobnego do nieboszczyka. Wkładał zdjęcia z powrotem do koperty, kiedy wszedł Mimì Augello. Wyciągnął je z powrotem i podał mu.

– Widziałeś go kiedyś?

– Trup znaleziony w Spinoccii?

– Tak.

Mimì założył okulary. Montalbano poruszył się niespokojnie na krześle.

– Nigdy go nie widziałem – powiedział Augello, odkładając kopertę i zdjęcia na biurko, po czym schował okulary do kieszeni.

– Mogę je przymierzyć?

– Co?

– Okulary.

Augello podał mu je, Montalbano założył i wszystko stało się nagle niczym niewyraźna fotografia. Zdjął je i oddał Mimì.

– W okularach mojego ojca widzę lepiej.

– Przecież to bez sensu, żebyś prosił każdą spotkaną osobę o danie ci

okularów do przymierzenia! Musisz po prostu pójść do okulisty! Zbada cię i przepisze...

– Dobrze już, dobrze. Któregoś dnia pójdę. Jakim cudem wczoraj nie widziałem cię w pracy przez cały dzień?

– No jak to, wczoraj rano i po południu zajmowałem się sprawą tego chłopca, Angela Verrusa.

Niespełna sześciolatek, który po powrocie ze szkoły zaczął płakać i nie chciał jeść. W końcu, po długich perswazjach, jego matka zdołała z niego wyciągnąć, że nauczyciel kazał mu wejść do jakiegoś schowka i robił z nim „brudne rzeczy”. Matka wypytała o szczegóły i dzieciak opowiedział, że nauczyciel wyciągnął to sobie ze spodni i kazał mu dotykać. Pani Verruso, kobieta rozsądna, nie sądziła, aby nauczyciel, pięćdziesięcioletni ojciec rodziny, był zdolny do robienia takich rzeczy, ale nie mogła też zlekceważyć słów swojego synka.

Ponieważ była przyjaciółką Beby, porozmawiała z nią o sprawie. A Beba opowiedziała ją swojemu mężowi Mimì. Ten z kolei wprowadził w szczegóły Montalbana.

– Jak ci poszło?

– Uwierz mi, lepiej mieć do czynienia z przestępcami niż z tymi malcami. Nigdy nie można dojść, kiedy mówią prawdę, a kiedy kłamią. Poza tym muszę zachować ostrożność, nie chcę zaszkodzić nauczycielowi; wystarczy, że rozejdzie się plotka, i będzie miał zrujnowaną reputację...

– Ale jakie są twoje wrażenia?

– Że nauczyciel nic nie zrobił. Nie usłyszałem na jego temat ani jednej negatywnej opinii. Poza tym w schowku, o którym mówił chłopczyk, z trudem mieszczą się dwie miotły.

– Wobec tego dlaczego mały opowiedział tę historyjkę?

– Moim zdaniem po to, żeby zemścić się na nauczycielu, który jego zdaniem zbyt surowo go traktuje.

– Rzeczywiście?

– Ależ skąd! Wiesz, jaki był ostatni wyczyn Angela? Zrobił kupę na gazetę, zawinął jak paczkę i schował do szuflady w biurku nauczyciela.

– Dlaczego nadali mu to anielskie imię?

– Kiedy się urodził, rodzice nie wiedzieli przecież jeszcze, jaki ancymon wyrośnie z dziecka.

– Chodzi dalej do szkoły?

– Nie, poradziłem matce, żeby przetrzymała go kilka dni w domu pod pozorem choroby.

– Dobrze zrobiłeś.

– Dzień dobry, panie komisarzu – powiedział Fazio, wchodząc.

Zobaczył zdjęcia zmarłego.

– Mogę wziąć jedno? Chcę je pokazać ludziom.

– Bierz. Co robiłeś wczoraj po południu?

– Dalej zbierałem informacje o Gurrerim.

– Udało ci się porozmawiać z żoną?

– Jeszcze nie. Pojadę do niej dzisiaj.

– Czego się dowiedziałeś?

– Że to, co opowiada Lo Duca, po części jest prawdziwe.

– To znaczy?

– Że Gurreri opuścił dom trzy miesiące temu. Słyszeli go wszyscy sąsiedzi.

– Dlaczego?

– Wrzeszczał na żonę, nazywając ją kurwą i dziwką oraz mówiąc, że nigdy nie wróci do domu.

- Mówił, że chce się zemścić na Lo Duce?
- Nie słyszano, żeby o tym wspominał. Ale nie mogą też przysiąc, że tego nie robił.
- Sąsiadka opowiedziała ci coś jeszcze?
- Sąsiadka nie, ale don Minicuzzu owszem.
- Kto to taki ten don Minicuzzu?
- Taki jeden, który sprzedaje owoce i warzywa dokładnie naprzeciwko bramy domu Gurreriego i widzi wszystkich, wchodzących i wychodzących.
- No i co ci powiedział?
- Panie komisarzu, zdaniem Minicuzzu, Licco nigdy nie wszedł do tej bramy. Wobec tego jak mógł być kochankiem żony Gurreriego?
- Ale czy on zna dobrze Licca?
- Dobrze? Przecież to jemu płacił haracz! I powiedział mi jeszcze jedną ważną rzecz. Pewnej nocy martwił się, czy zamknął dobrze żaluzje sklepu, więc wstał i wyszedł z domu, żeby sprawdzić. Kiedy był już przed sklepem, otworzyła się brama domu Gurreriego i wyszedł z niej Ciccio Bellavia, którego Minicuzzu dobrze zna.
- No jasne, można się było spodziewać, że Ciccio Bellavia wyskoczy w pewnym momencie jak diabeł z pudełka!
- Kiedy to się zdarzyło?
- Ponad trzy miesiące temu.
- Wobec tego nasza hipoteza staje się coraz bardziej prawdopodobna. Bellavia idzie do Gurreriego i proponuje mu układ. Jeśli jego żona dostarczy alibi Liccowi, twierdząc, że jest jego kochanką, Gurreri dostanie stały kontrakt u rodziny Cuffaro. Gurreri zastanawia się nad tym chwilę i przyjmuje ofertę. Urządza wielką scenę i opuszcza dom pod pozorem, że żona przyprawia mu rogi.

– Trzeba przyznać, że dobrze to wymyślili – skomentował Mimì. – Ale czy Minicuzzu jest skłonny zeznawać?

– Za nic w świecie – odpowiedział Fazio.

– Wobec tego nie mamy nic w garści – podsumował Augello.

– Trzeba by jednak zbadać dokładniej jedną rzecz – oświadczył Montalbano.

– To znaczy? – spytał Fazio.

– Nic nie wiemy o żonie Gurreriego. Dała się przekonać, bo zaproponowali jej pieniądze? A może uciekli się do pogroźek? I jak by zareagowała, wiedząc, że ryzykuje pójście do więzienia za fałszywe zeznania? Wie, że coś takiego jej grozi?

– Panie komisarzu – powiedział Fazio – moim zdaniem, Concetta Siragusa to uczciwa kobieta, która miała nieszczęście wyjść za mąż za kryminalistę. Nie słyszałem ani jednego złego słowa o jej zachowaniu. Jestem pewien, że ją zmusili. Mąż pewnie ją stłukł i skopał, Ciccio Bellavia dołożył swoje groźby i biedaczka musiała się ugiąć.

– Wiesz, co ci powiem? Może to dobrze, że jeszcze z nią nie rozmawiałeś.

– Dlaczego?

– Bo trzeba obmyślić strategię, dzięki której skłonimy ją do współpracy z nami.

– Mógłbym ja do niej pójść – stwierdził Mimì.

– I co jej opowiesz?

– Że jestem adwokatem wysłanym przez Cuffaro i mam ją pouczyć, co ma mówić na procesie. W ten sposób, rozmawiając...

– Mimì, a jeśli oni już to zrobili i kobieta nabierze podejrzeń?

– To prawda. Wobec tego wyślijmy jej anonim!

– Jestem pewien, że nie umie czytać ani pisać.

– To zrobimy tak – zaproponował znowu Mimì. – Przebiorę się za proboszcza...

– Skończysz z tymi durnotami? Na razie nikt nie będzie rozmawiał z Concettą Siragusa. Pomyślimy chwilę i na pewno przyjdzie nam do głowy jakiś pomysł... Nie ma takiego wielkiego pośpiechu.

– Uważam, że pomysł z proboszczem był dobry – powiedział Mimì.

Zadzwonił telefon.

– Ach, panie komisarzu, panie komisarzu! Ach, panie komisarzu, panie komisarzu!

Cztery razy? To musiał być kwestor.

– Czy to kwestor?

– Tak, panie komisarzu.

– Przełącz – powiedział, wciskając zestaw głośnomówiący.

– Montalbano?

– Dzień dobry, panie kwestorze, słucham pana.

– Może pan do mnie natychmiast przyjechać? Proszę wybaczyć, że przeszkadzam, ale chodzi o bardzo ważną sprawę, o której nie chciałbym rozmawiać przez telefon.

Nie słowa, ale ton kwestora sprawił, że Montalbano od razu odpowiedział twierdząco.

Odłożył słuchawkę i popatrzyli na siebie.

– Jeśli mówi w taki sposób, to musi być naprawdę coś poważnego – stwierdził Mimì.

16

W przedśionku gabinetu kwestora Montalbano natknął się naturalnie na Lattes, świętoszkowatego i ceremonialnego szefa gabinetu. Jakim cudem ten typ zawsze tam sterczał? Miał za dużo czasu? Nie miał swojego biura, gdzie mógłby się drapać po jajach? Już na sam jego widok komisarz wpadał w zły humor. Gdy tylko Lattes zobaczył komisarza, zrobił minę, jak gdyby właśnie dowiedział się, że wygrał milion w totolotka.

– Cóż to za przyjemność znowu pana widzieć! Co za radość! Jak się pan miewa, jak się pan miewa, mój drogi?

– Dziękuję, dobrze.

– A szacowna małżonka?

– Wszystko w porządku.

– A pociechy?

– Rosną zdrowo, chwała Bogu.

– Chwała Bogu, chwała Bogu.

Lattes wbił sobie do głowy, że komisarz ma żonę i co najmniej dwoje dzieci. Po niezliczonych daremnych próbach wyjaśnienia mu, że jest kawalerem, Montalbano się poddał. Zwrot „chwała Bogu”, gdy miało się do czynienia z Lattesem, też był obowiązkowy.

– Pan kwestor mnie...

– Proszę zapukać i wejść, czeka na pana.

Zapukał i wszedł.

Na chwilę zatrzymał się jednak na progu, zdumiony, bo zobaczył Vanniego Arquà siedzącego przed biurkiem kwestora. Co tu robił szef sądówki? Też brał udział w spotkaniu? Dlaczego? Antypatia, jaką komisarz czuł do Arquà, w mgnieniu oka podskoczyła do górnej granicy skali.

– Niech pan wejdzie, zamknie drzwi i siądzie.

Przy innych okazjach Bonetti-Alderighi specjalnie nie dawał mu możliwości, aby usiadł. Lubił podkreślać różnicę statusu między nim samym, kwestorem, a komisarzem z podrzędnego komisariatu. Tym razem zachował się zupełnie inaczej. Zanim Montalbano usiadł, kwestor wstał nawet i podał mu rękę. Komisarz zaczął się wręcz bać. Co się mogło stać, że kwestor traktował go tak uprzejmie, prawie jak normalną osobę? Jeszcze pięć minut i odczyta mu wyrok śmierci? Z Arquà pozdrowili się lekkim skinieniem głowy. Zważywszy na ich stosunki, był to szczyt uprzejmości.

– Panie komisarzu, chciałem się z panem zobaczyć, bo chodzi o delikatną sprawę, która bardzo mnie martwi.

– Słucham pana.

– No cóż, może wie pan już, że doktor Pasquano przeprowadził autopsję zwłok znalezionych w okręgu Spinoccia.

– Tak, wiem. Nie dostałem jednak jeszcze sprawozdania...

– W istocie, poprosiłem go o pośpiech. Dostanę sprawozdanie po południu. Ale to nie jest najważniejsze. Rzecz w tym, że doktor Pasquano wysłał do sądówki, z godną pochwałą szybkością, nabój wydobyty z ciała zmarłego.

– Powiedział mi o tym.

– Dobrze. Otóż pan Arquà, badając go, odkrył ze zdziwieniem... ale może lepiej przekażę mu głos.

Vanni Arquà nie otworzył ust. Ograniczył się do wyciągnięcia z kieszeni zapieczętowanego plastikowego woreczka i wręczenia go komisarzowi. Nabój w środku był dobrze widoczny, co prawda spłaszczony, ale w zasadzie cały.

Montalbano nie znalazł w nim nic dziwnego.

- No więc?
- To kaliber dziewięć, z pistoletu parabellum.
- Sam już to zauważyłem – powiedział trochę poirytowany Montalbano.
- I co z tego?
- To kaliber, którym tylko my się posługujemy – powiedział Arquà.
- Pozwól, że się nie zgodzę. Nie posługuje się nim tylko policja. Również wojsko, policja finansowa, siły zbrojne...
- Dobrze, dobrze – przerwał mu kwestor.
- Komisarz udał, że go nie usłyszał.
- ...oraz ci wszyscy przestępcy, a jest ich sporo, ośmielę się powiedzieć, że większość, którym udało się zdobyć, w ten czy inny sposób, sprzęt wojskowy.
- Wiem to doskonale – powiedział Arquà z uśmiechem, za który chciałoby się dać mu od razu w pysk.
- To na czym polega problem?
- Rozważmy to po kolei – powiedział kwestor. – To, co pan mówi, jest całkowitą prawdą, ale musimy absolutnie odsunąć wszelki cień podejrzenia.
- Jakiego podejrzenia?
- Że sprawcą był ktoś z naszych ludzi. Czy otrzymał pan informacje o jakiejś wymianie strzałów w zeszły poniedziałek?
- Nie wydaje mi się...
- Tak jak się obawiałem, to komplikuje sprawy – powiedział kwestor.
- Dlaczego?
- Bo jeśli jakiś dziennikarz się o tym dowie, może pan sobie wyobrazić te wszystkie podejrzenia, insynuacje, obrzucanie nas błotem.
- Wystarczy nikogo nie powiadamiać.
- To nie takie proste. Poza tym jeśli ten człowiek został zamordowany

przez kogoś z naszych, z powodów, rzekłbym, osobistych, chcę to wiedzieć. Głęboko mnie porusza, boli i odstręcza myśl, że możemy mieć w swoich szeregach mordercę.

Montalbano miał tego dość.

– Rozumiem, co pan czuje, panie kwestorze. Ale mógłbym wiedzieć, dlaczego tylko ja zostałem wezwany? Sądzi pan, że mordercą może być wyłącznie ktoś z mojego komisariatu, a nie z innego?

– Trup został znaleziony na terenie między Vigatą i Giardiną, a obie te miejscowości podlegają terytorialnie twojemu komisariatowi – powiedział Arquà. – Jest więc logicznym przypuszczeniem, że...

– Nie jest logicznym z żadnego punktu widzenia! Ciało mogło zostać tam przywiezione z Fiakki, z Feli, z Gallotty, z Montelusy...

– Niech pan się nie denerwuje, panie komisarzu – wtrącił się kwestor. – To, co pan mówi, jest świętą prawdą, ale trzeba zacząć od jakiegoś punktu wyjścia, prawda?

– Ale dlaczego piep... twierdzicie, że to mógł być ktoś z policji?

– Nic takiego nie twierdzę – odpowiedział kwestor. – Chcę tylko wykazać ponad wszelką wątpliwość, że to morderstwo nie zostało dokonane przez kogoś z policji. Zanim zaczną krążyć złośliwe pogłoski.

Co do tego miał bez wątpienia rację.

– To jednak długo potrwa.

– Cierpliwości. Poświęcimy na to tyle czasu, ile trzeba, nikt nas nie pogania – powiedział Bonetti-Alderighi.

– Czego pan ode mnie oczekuje?

– Przede wszystkim proszę sprawdzić dyskretnie, czy w bębenkach pistoletów znajdujących się w gestii pana komisariatu nie brakuje jakiegoś naboju.

Dokładnie w tym samym momencie Montalbanowi ziemia osunęła się bezgłośnie spod nóg i komisarz wpadł w przepaść z całym krzesłem. Przypomniała mu się pewna rzecz. Mimo wszystko udało mu się nie poruszyć, nie spocić się i nie zblednąć na twarzy. Udało mu się nawet zdobyć na nadludzki wysiłek, który kosztował go rok życia, i uśmiechnąć się lekko.

– Czemu pan się uśmiecha?

– Bo w poniedziałek rano inspektor Galluzzo strzelił dwa razy do psa, który mnie zaatakował. Galluzzo odwiózł mnie do Marinelli samochodem, i gdy tylko wysiadłem, ten pies... Był przy tym obecny także główny inspektor Fazio.

– Zabił go? – spytał Arquà.

– Nie rozumiem pytania.

– Jeśli go zabił, spróbujemy odzyskać ciało, wydobyć z niego nabój i zdamy sobie sprawę...

– Co znaczy to „jeśli”? Sugeruje pan, że moi ludzie nie umieją strzelać?

– Niech mi pan odpowie – wtrącił się kwestor. – Trafił go czy nie?

– Nie, chybił i nie mógł oddać więcej strzałów, bo broń się zacięła.

– Mogę ją dostać? – spytał lodowatym głosem Arquà.

– Co?

– Broń.

– Po co?

– Chcę przeprowadzić porównanie.

Jeśli Arquà przeprowadzi porównanie, oddając strzał z pistoletu, skończą wszyscy w gównie: on, Galluzzo i Fazio. Trzeba było temu zapobiec za wszelką cenę.

– Załaduj jej w zbrojowni. Myślę, że wciąż tam jest.

Potem wstał, poblady, z drżącymi rękami, rozszerzonymi nozdrzami,

oczami ciskającymi pioruny, i powiedział głosem łamiącym się z gniewu:

– Panie kwestorze, zostałem ciężko obrażony przez pana Arquà!

– Ależ niech pan nie przesadza!

– Tak jest, ciężko obrażony! Pan był świadkiem, panie kwestorze!

I wezwę pana na świadka! Żądanie pana Arquà jest równoznaczne z podważeniem prawdziwości moich słów. Oddaję pistolet do jego dyspozycji, ale pan Arquà z kolei musi się oddać do mojej dyspozycji.

Arquà przeraził się, że został wyzwany na prawdziwy pojedynek.

– Ja nie miałem zamiaru... – zaczął.

– Ależ niech pan nie przesadza... – powtórzył Bonetti-Alderighi.

Montalbano ścisnął pięści, aż pobieleły mu kłykcie.

– Nie, panie kwestorze, przykro mi. Uważam się za śmiertelnie obrażonego. Przeprowadzę wszystkie kontrole, które mi pan zlecił. Ale jeśli pan Arquà zażąda pistoletu mojego inspektora, otrzyma pan jednocześnie moją dymisję. Jaki rozgłos w mediach to spowoduje, to już pana sprawa. Żegnam.

I zanim Bonetti-Alderighi miał czas odpowiedzieć, Montalbano obrócił się na pięcie, otworzył drzwi i wyszedł, gratulując sobie w duchu dobrego odegrania sceny godnej wielkiego dramaturga. Na pewno zrobiłby karierę w Hollywoodzie. Może nawet zdobyłby Oscara.

Potrzebne mu było natychmiastowe potwierdzenie. Wsiadł do samochodu i pojechał do gabinetu Pasquana.

– Czy jest doktor?

– Tak, ale prze...

– Pójdę do niego.

Sala, w której pracował Pasquano, miała drzwi z dwoma szklanymi

okienkami.

Przed wejściem Montalbano zerknął przez nie do środka. Pasquano mył ręce, ale miał jeszcze na sobie zakrwawiony fartuch. Stół, na którym przeprowadzał autopsje, był pusty. Komisarz uchylił drzwi. Doktor zobaczył go i zaczął kłąć.

– Do jasnej cholery! Nawet tutaj mnie pan prześladowuje? Niech pan się ułoży na stole, zaraz pana obsłużę.

I złapał rodzaj piły do przecinania kości. Montalbano cofnął się o krok, w kontaktach z Pasquanem lepiej było zachować ostrożność.

– Panie doktorze, jedno tak albo nie i idę sobie.

– Słowo honoru?

– Słowo. Czy temu nieboszczykowi ze Spinoccii zrobili trepanację czaszki albo coś w tym stylu?

– Tak – odpowiedział Pasquano.

– Dziękuję – odpowiedział komisarz.

I uciekł. Otrzymał potwierdzenie, którego potrzebował.

– Ach, panie komisarzu! Chciałem zaraportować, że...

– Potem mi to powiesz. Przyślij mi zaraz Fazio i nie przełączaj telefonów!

Nie ma mnie dla nikogo!

Fazio przybiegł pędem.

– Co się stało, panie komisarzu?

– Wejdz, zamknij drzwi i siadaj.

– Niech mi pan powie.

– Wiem, kim jest ten trup ze Spinoccii.

– Naprawdę?

– Gurreri. I wiem też, kto go zamordował.

- Kto?
- Galluzzo.
- O kurwa!
- Właśnie.
- Więc zabity to Gurreri? To on był jednym z tych dwóch, którzy w poniedziałek chcieli podpalić pana dom?
- Tak.
- Jest pan pewien?
- Całkowicie. Doktor Pasquano powiedział mi, że znalazł ślady po operacji czaszki, tej sprzed trzech lat.
- Ale kto panu powiedział, że nieboszczyk to Gurreri?
- Nikt mi tego nie powiedział. To był przebłysk intuicji. I streścił Faziowi przebieg rozmowy z kwestorem i Arquà.
- To znaczy, że tkwimy po uszy w gównie – podsumował sprawę Fazio.
- Nie. Niewiele brakuje, ale jeszcze w nie nie wpadliśmy.
- Ale skoro pan Arquà chce zbadać pistolet...
- Nie sądzę, że to zrobi, kwestor na pewno mu powie, żeby dał spokój. Zrobiłem wielką awanturę. Ale... słuchaj, broń do naprawy wysyłamy do Montelusy, prawda?
- Tak jest.
- Wysłaliśmy im już pistolet Galluzza?
- Nie, jeszcze nie. Zauważyłem to przypadkiem dzisiaj rano. Chciałem oddać pistolet agenta Ferrary, który także się zaciął, ale ponieważ nie było ani Turturiciego, ani Manzelli, którzy są odpowiedzialni za...
- Ten bydlak Arquà nie będzie musiał żądać wydania broni. Ponieważ powiedziałem mu, że się zacięła, sprawdzi wszystkie pistolety przysłane z naszego komisariatu. Musimy koniecznie go unieszkodliwić, zanim

dobierze się nam do tyłka.

– Ale jak?

– Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Masz jeszcze pistolet Ferrary?

– Tak.

– Poczekaj, muszę zadzwonić.

Podniósł słuchawkę.

– Catarella? Zadzwoni do pana kwestora i przełącz mnie.

Uzyskał od razu połączenie i włączył opcję głośnomówiącą.

– Słucham pana, komisarzu.

– Panie kwestorze, przede wszystkim chciałem powiedzieć, że jest mi niezmiernie przykro, że tak dałem się ponieść nerwom w pana obecności...

– Miło mi, że...

– Chciałem także powiedzieć, że właśnie w tej chwili przesyłam panu Arquà broń relatywną do kwestii...

Broń relatywna nie była złym sformułowaniem.

– ...by przeprowadził wszystkie testy, jakie wydadzą mu się stosowne.

I chciałbym jeszcze raz, panie kwestorze, prosić o wybaczenie i przyjęcie moich najgłębszych...

– Już w porządku, w porządku. Cieszę się, że nieporozumienia między panem a panem Arquà się wyjaśniły. Do widzenia.

– Wyrazy szacunku, panie kwestorze.

Odwiesił słuchawkę.

– Ale co pan chce zrobić? – spytał Fazio.

– Weź broń Ferrary, wyjmij dwa naboje z bębena i ukryj je gdzieś. Jeszcze się nam przydadzą. Potem wsadź pistolet do pudełka, zapakuj ładnie, jak na prezent, i wyślij do pana Arquà z moimi powinszowaniami.

– A co mam powiedzieć Ferrarze? Jeśli nie odda zaciętego pistoletu, nie

dadzą mu drugiego.

– Powiedz, żeby ci wydali ze zbrojowni pistolet Galluzza, mówiąc, że go potrzebuję. Jakoś im wytłumacz, że skoro ja potrzebuję pistoletu Ferrary, muszą mu dać jakiś zastępczy. Jeśli Manzella i Turturici będą się domagać ode mnie wyjaśnień, powiem im, że chcę go osobiście zawieźć do Montelusy, żeby złożyć reklamację. Najważniejsze, żebyśmy zyskali trzy lub cztery dni.

– A co powiemy Galluzzowi?

– Jeśli jest na komisariacie, przyślij mi go.

Po pięciu minutach zjawił się Galluzzo.

– Wzywał mnie pan?

– Siadaj, morderco.

Kiedy skończył rozmawiać z Galluzzem, popatrzył na zegarek i stwierdził, że zrobiło się bardzo późno, o tej godzinie Enzo na pewno zamknął restaurację na popołudniową przerwę.

Postanowił zatem od razu, nie zwlekając, zrobić ruch, który pozostał mu do zrobienia. Wziął zdjęcie Gurreriego, włożył do kieszeni, wyszedł, wsiadł do samochodu i ruszył.

Via Nicotera nie była prawdziwą ulicą, ale raczej wąskim, długim zaułkiem w górnej części miasta, *piano* Lanterna. Numerowi 38 odpowiadał zaniedbany dwupiętrowy budynek z zatrzaśniętą bramą wejściową. Naprzeciwko znajdował się sklep warzywny, pewnie ten należący do don Minicuzzu, ale o tej godzinie był oczywiście zamknięty. Mieszkańcy domu zdobyli się na luksus domofonu. Komisarz nacisnął guzik przy wizytówce z nazwiskiem Gurreri. Po chwili dał się słyszeć szcęk odblokowania zatrzasku, chociaż nie zapytano, kto idzie.

Nie było windy, zresztą dom nie zaliczał się do dużych. Na każdym piętrze były tylko dwa mieszkania. Gurreri mieszkał na ostatnim piętrze. Drzwi były otwarte.

– Czy można?

– Niech wejdzie – odpowiedział kobiecie głos.

Przedpokój był malutki. Otwierało się z niego dwoje drzwi, jedne prowadziły do jadalni, drugie do sypialni. Montalbano od razu wyczuł odór ściskającego serce ubóstwa. Trzydziestoletnia kobieta, źle ubrana, rozczochrana, czekała na niego, stojąc w jadalni. Musiała wyjść za Gurreriego jako młoda dziewczyna i na pewno była kiedyś wielką piękną, bo mimo wszystkich ciężkich przeżyć jej twarz i ciało zdradzały ślady utraconej urody.

– Czego chce? – spytała.

Montalbano wyczytał strach w jej oczach.

– Jestem komisarzem, proszę pani. Nazywam się Montalbano.

– Ja powiedziała wszystko karabinierom.

– Wiem, proszę pani. Może usiądziemy?

Siedli. Ona na brzeżku krzesła, napięta, gotowa do ucieczki.

– Wiem, że dostała pani wezwanie, aby zeznawać na procesie Licca.

– Tak.

– Ale nie przyszedłem tu z tego powodu.

Wyraźnie się odprężyła. Jednak w głębi jej oczu nadal czaił się strach.

– To czego chce?

Montalbano znalazł się na rozdrożu. Nie czuł się na siłach potraktować jej brutalnie, za bardzo było mu jej żal. Teraz, kiedy miał ją przed sobą, był pewny, że biedną kobietę przekonano, żeby podała się za kochankę Licca nie łapówką, ale biciem i groźbami.

Z drugiej strony, jeśli będzie działał w białych rękawiczkach, może niczego nie wskórać. Może lepiej jednak ją zszokować.

– Od jak dawna nie widziała pani męża?

– Trzy miesiące, ani dnia mniej.

– Nie miała pani od niego wiadomości?

– No nie.

– Nie macie dzieci, prawda?

– No nie.

– Zna pani mężczyznę, który nazywa się Ciccio Bellavia?

W jej oczach ponownie pojawił się zwierzęcy strach. Montalbano zauważył, że zaczęły jej lekko drżeć ręce.

– No tak.

– Był tutaj?

– No tak.

– Ile razy?

– Dwa. Z moim mężem.

– Powinna pani pójść ze mną.

– Teraz?

– Teraz.

– A gdzie?

– Do kostnicy.

– A co to?

– To miejsce, do którego zawozi się zabitych ludzi.

– A po co?

– Musi pani zidentyfikować ciało.

Wyjął z kieszeni fotografię.

– To pani mąż?

– No tak. Ale czemu ją zrobili? Po co mam pójść?

– Bo jesteśmy przekonani, że Ciccio Bellavia zamordował pani męża.

Zerwała się z krzesła. Chwiała się na nogach, przytrzymując się kurczowo stolika.

– Przeklęty! Przeklęty Bellavia! On przysiągł, że nic mu nie zrobi!

Nie była w stanie powiedzieć nic więcej. Nogi się pod nią ugięły i upadła na ziemię bez przytomności.

– Niech pan weźmie pod uwagę, że jestem bardzo zajęty. I niech pan nie nabierze złego nawyku przychodzenia do mnie bez wcześniejszego umówienia się na spotkanie – powiedział prokurator Giarrizzo.

– Zdaję sobie sprawę i przepraszam za najście.

– Ma pan pięć minut. Proszę mówić.

Montalbano popatrzył na zegarek.

– Przyszedłem opowiedzieć panu drugi, dość interesujący odcinek przygód komisarza Martineza.

Giarrizzo popatrzył na niego ze zdziwieniem.

– Kim jest Martinez?

– Zapomniał pan? Nie przypomina pan sobie tego hipotetycznego komisarza, o którym pan sam mi hipotetycznie opowiedział poprzednim razem? Tego, który zajmował się sprawą Salinasa odbierającego haracze i podejrzanego o postrzelenie właściciela sklepu, i tak dalej, i tak dalej?

Giarrizzo, myśląc, że komisarz się z niego nabija, popatrzył na niego nieprzychylnie. Potem powiedział zimno:

– Teraz pamiętam. Niech pan mówi.

– Salinas twierdził, że ma alibi, ale nie chciał go przedstawić. Pan odkrył, że jego obrońcy będą utrzymywać, iż w chwili gdy Alvarez został...

– O Boże! Kim jest Alvarez?

– To właściciel sklepu postrzelony przez Salinasa. A zatem obrońcy mieli zamiar twierdzić, że Salinas w tym samym momencie znajdował się w domu niejkiej Dolores, jego kochanki. I chcieli wezwać na świadków zarówno Dolores, jak i jej męża. Pan powiedział mi, że prokuratura ma nadzieję na podważenie alibi, ale nie może mieć pewności, czy uda się to zrobić.

Tymczasem zbieg okoliczności sprawił, że komisarz Martinez musiał zająć się śledztwem w sprawie zabitego mężczyzny, którym okazał się niejaki Pepito, drobny przestępca zatrudniony przez mafię, a zarazem mąż Dolores.

– Kto go zamordował?

– Martinez przypuszcza, że sprzątnął go mafioso, niejaki Bellavia, przepraszam, Sanchez. Od jakiegoś czasu Martinez zadaje sobie pytanie: dlaczego Dolores dostarczyła alibi Salinasowi? Na pewno nie była jego kochanką. Więc dlaczego? Dla pieniędzy? Bo jej grożono? Bito ją? Potem komisarz wpada na dobry pomysł. Idzie do domu Dolores i pokazuje jej zdjęcie męża, Pepita, oraz mówi, że zabił go Sanchez. Wtedy kobieta reaguje w niespodziewany sposób, co uświadamia Martinezowi szokującą prawdę.

– Mianowicie?

– Że Dolores zrobiła to z miłości.

– Do kogo?

– Do męża. Powtarzam: to się wydaje niewiarygodne, ale tak właśnie jest. Pepito to bydlak, maltretuje ją, często bije, ale ona znosi od niego wszystko. Sanchez spotkał się z nią w cztery oczy i powiedział jej, że albo dostarczy alibi Salinasowi, albo zamordują Pepita, którego trzymają praktycznie pod strażą. Kiedy Dolores dowiaduje się od Martineza, że chociaż przystała na warunki szantażu, Pepito i tak został zabity, załamuje się, postanawia się zemścić i wszystko wyznaje. To tyle.

Popatrzył na zegarek.

– Zajęło mi to cztery i pół minuty.

– Ale, widzi pan, Dolores wyznała to hipotetycznemu komisarzowi, który...

– Tak, ale jest gotowa potwóżyć wszystko konkretnemu, a nie hipotetycznemu prokuratorowi. Chcemy nazwać tego prokuratora jego

prawdziwym nazwiskiem, to znaczy Giarrizzo?

– To wszystko zmienia. Zadzwoń do karabinierów – powiedział Giarrizzo – i wyślę ich...

– Na podwórze... – dokończył Montalbano.

Giarrizzo się pogubił.

– Jakie podwórze?

– Budynku sądu. Pani Siragusa, przepraszam, Dolores, znajduje się w radiowozie z mojego komisariatu, w towarzystwie głównego inspektora Fazia. Martinez nie chciał jej zostawić samej nawet na chwilę; teraz, kiedy zaczęła mówić, boi się o jej życie. Kobieta ma ze sobą walizkę, do której spakowała swoje nieliczne rzeczy osobiste. Na pewno pan rozumie, że ona nie może już wrócić do swojego domu, od razu by ją sprzątnięto. Komisarz ma nadzieję, że pani Siragusa, przepraszam, Dolores, otrzyma odpowiednią ochronę. Do widzenia.

– Dokąd pan idzie?

– Do baru, kupić sobie kanapkę.

– Teraz Licco już się nie wykręci – powiedział Fazio, kiedy wrócili do komisariatu.

– No właśnie.

– Nie jest pan zadowolony?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo doszedłem prawdy po wielu, wielu błędach.

– Jakich błędach?

– Powiem ci tylko o jednym, w porządku? Mafia nie zatrudniła naprawdę Gurreriego, jak ty mi powiedziałaś i jak powiedziałem Giarrizzowi, wiedząc,

że to nieprawda, bo w rzeczywistości trzymali go jako zakładnika, wmawiając mu, że dla nich pracuje. Cały czas pozostawał pod kontrolą Ciccii Bellavii, który mówił mu, co ma robić. Gdyby żona nie zeznała tego, co jej kazali, zabiliby go bez wahania.

– A co to zmienia?

– Wszystko, Fazio, wszystko. Na przykład kradzież koni. Nie mogła być pomysłem Gurreriego, co najwyżej wziął w niej udział. W takim razie hipoteza Lo Duki, że chodziło o wendetę Gurreriego, nie ma pokrycia. I na pewno to nie on zadzwonił do pani Esterman.

– Może zrobił to Bellavia?

– Może, ale jestem przekonany, że Bellavia jest tylko wykonawcą. I jestem pewien, że drugim z tych mężczyzn, którzy chcieli podpalić mój dom, był Bellavia, i to on strzelił do Galluzza.

– Czyli za tym wszystkim kryliby się Cuffaro?

– Nie mam już co do tego wątpliwości. Augello miał rację, twierdząc, że Gurreri nie jest wystarczająco inteligentny, aby zorganizować tak skomplikowaną intrygę, i ty też miałeś rację, uważając, że Cuffaro chce, abym się zachował w określony sposób na procesie. Popełnili jednak błąd. Zbudzili śpiącego psa. A pies, czyli ja, zdenerwował się i ugryzł.

– Panie komisarzu, zapomniałem zapytać, jak to przyjął Galluzzo?

– W sumie dobrze. Poza tym strzelał w obronie własnej.

– Proszę wybaczyć, powiedział pan Siragusie, że jej męża zamordował Bellavia.

– Jeśli już o to chodzi, to samo powiedziałem Giarrizzowi.

– Tak, ale my wiemy, że to nie był on.

– Masz skrupuły wobec przestępcy takiego jak Bellavia, o którym wiemy, że ma na sumieniu co najmniej trzy morderstwa? Trzy lub cztery nie robi

różnicy.

– Nie chodzi o skrupuły, ale on zezna, że to nie był on.

– I kto mu uwierzy?

– Ale jeśli opowie, jaki naprawdę był przebieg wypadków? Że to policjant strzelił do Gurreriego?

– Wtedy będzie musiał opowiedzieć jak i dlaczego. Musiałby przyznać, że włamali się do mojego domu z zamiarem podpalenia go, aby wpłynąć na moje zachowanie na procesie Licca. Innymi słowy, musiałby w to wplątać rodzinę Cuffaro. Opłaca się mu?

Gdy wracał do Marinelli, był już strasznie głodny, mógłby zjeść konia z kopytami. W lodówce znalazł kopiasty talerz caponaty, której zapach radował duszę, i dzikie szparagi, z tych gorzkich jak trucizna, przyprawione tylko oliwą i solą. W piekarniku czekał bochenek pełnoziarnistego chleba. Nakrył stół na werandzie i zabrał się do jedzenia. Noc była wyjątkowo ciemna. Niedaleko od brzegu kołysała się łódź z latarnią. Popatrzył na nią i odetchnął z ulgą, bo był teraz pewien, że nikt go z tej łodzi nie szpiegował.

Poszedł do łóżka i zaczął czytać jeden ze szwedzkich kryminałów, które sobie kupił. Bohaterem był jego kolega, komisarz Martin Beck, którego sposób prowadzenia śledztwa bardzo się Montalbanowi podobał. Kiedy skończył czytać i zgasił światło, była czwarta rano.

W rezultacie zbudził się o dziewiątej, i to tylko dlatego, że Adelina hałasowała w kuchni.

– Adeli, przyniesiesz mi kawę?

– Już gotowa, panie komisarzu.

Wypił ją powolutku, rozkoszując się każdym łykiem, a potem zapalił

papierosa. Skończył, wstał i poszedł do łazienki. Następnie, już ubrany i gotowy do wyjścia, wszedł do kuchni, żeby zgodnie ze swym zwyczajem wypić jeszcze jedną kawę.

– Ach, panie komisarzu, bo ja zawsze zapominam dać panu jedną rzecz – powiedziała Adelina.

– Co takiego?

– Dali mi ją w pralni, jakżem odbierała pana spodnie. Znaleźli ją w kieszeni.

Jej torebka leżała na krześle. Otworzyła ją, wyjęła coś i podała komisarzowi.

Była to podkowa.

Podczas gdy kawa wylewała mu się na koszulę, Montalbano znowu poczuł, jak ziemia rozstępuje mu się pod nogami. Dwa razy w ciągu dwudziestu czterech godzin to doprawdy za dużo!

– Panie komisarzu, co się stało? Pobrudził pan sobie koszulę!

Nie był w stanie otworzyć ust, patrzył wytrzeszczonymi oczyma na podkowę, oniemiały, osłupiały, ogłupiały, oszołomiony.

– Panie komisarzu, niech mnie pan nie straszy! Co się stało?

– Nic, nic – wydusił z siebie.

Wziął szklanke, nalał wody i wypił jednym haustem.

– Nic, nic – powtórzył do Adeliny, która patrzyła na niego zatroskana, wciąż ściskając w ręce podkowę.

– Daj mi ją – powiedział, zdejmując koszulę. – I zaparz mi następną kawę.

– Nie zaszkodzi panu tyle kawy?

Nie odpowiedział. Niczym lunatyk poszedł do jadalni, nie wypuszczając z ręki podkowy, podniósł słuchawkę i wykręcił numer komisariatu.

- Halo! Komi...
- Catarella, tu Montalbano.
- Co się stało, panie komisarzu? Dziwny głos pan ma.
- Słuchaj, dzisiaj rano nie przyjadę do pracy. Jest Fazio?
- Nie, panie komisarzu, na miejscu on się nie znajduje.
- Kiedy przyjdzie, daj mi znać.

Otworzył drzwi balkonowe, wyszedł na werandę, usiadł, położył podkowę na stoliku i wpatrywał się w nią, jak gdyby nigdy w życiu czegoś takiego nie widział. Czuł, że powoli mózg zaczyna mu znowu pracować.

I pierwszą rzeczą, która mu się przypomniała, były słowa doktora Pasquana:

„Montalbano, pan się najwyraźniej starzeje. Pańskie komórki mózgowe ulegają coraz szybszemu rozpadowi. Pierwszy symptom to utrata pamięci, wiedział pan? Na przykład, nie zdarzyło się jeszcze panu zrobić czegoś i za chwilę nie pamiętać, że pan to zrobił?”.

Zdarzyło mu się. A jakże, że mu się zdarzyło! Wziął podkowę i wsadził ją do kieszeni, a potem kompletnie o tym zapomniał. Ale kiedy? Gdzie?

– Proszę, kawa – powiedziała Adelina, stawiając na stole tacę z ekspresem, filiżanką i cukierniczką.

Wypił filiżankę gorącej gorzkiej kawy, patrząc na pustą plażę.

Nagle na plaży pojawił się martwy koń, leżący na boku. Komisarz ujrzał siebie samego rozpląszczonego na brzuchu przed martwym zwierzęciem, wyciągającego rękę i dotykającego podkowy trzymającej się na „jednym gwoździu, który do połowy wysunął się z kopyta...”.

Co stało się potem?

Stało się... stało się coś... Aha! Otóż to! Na werandzie pojawili się Fazio, Gallo i Galluzzo, a on wstał, „wsuwając automatycznie podkowę do

kieszeni”.

Potem poszedł się przebrać i wrzucił zabrudzone spodnie do kosza na brudną bieliznę.

Następnie wziął prysznic, porozmawiał z Faziem, a kiedy zjawili się astronauty, ciała już nie było. Zachowaj spokój, Montalbano. Potrzebujesz jeszcze jednej filiżanki kawy.

Dobrze, zaczynajmy od początku. Dręczony koń, już w stanie agonalnym, desperackim wysiłkiem zrywa się z uwięzi i galopując rozpaczliwie po piasku...

„O Boże! Czy to nie znaczy, że prawdziwym śladem na piasku z koszmaru, który mu się przyśnił, był właśnie ten? Tylko że on źle zinterpretował sen?”.

...dobiega do jego okien i pada na ziemię martwy. Jednak ci, którzy go zamordowali, muszą sprawić, aby zniknął. Dlatego też organizują akcję, wózek oraz furgonetkę, ciężarówkę, czy co tam zdobyli. Kiedy przyjeżdżają po jakimś czasie na miejsce, żeby zabrać martwego konia, stwierdzają, że ktoś się zbudził, zobaczył ciało i zszedł na plażę. Wobec tego ukrywają się i czekają na właściwy moment. Który nadchodzi, gdy on i Fazio idą do kuchni, niemającej okien wychodzących na plażę. Wysyłają jednego człowieka na zwiad. On podkrada się pod kuchnię, widzi, jak rozmawiają spokojnie, i daje znak innym, że mogą przystąpić do akcji, podczas gdy sama ma na oku komisarza i Fazia. W mgnieniu oka ciało znika. Ale wtedy?

Zostało trochę kawy w ekspresie?

W ekspresie nic już nie było i nie miał odwagi powiedzieć Adelinie, żeby zaparzyła jeszcze jedną kawę. Wstał, wziął butelkę whisky i szklankę, po czym wrócił na werandę.

– Od samego rana, panie komisarzu? – zatrzymał go pełen wyrzutu głos

Adeliny, która patrzyła na niego, stojąc na progu kuchni.

Nie odpowiedział i tym razem. Nalał sobie whisky i zaczął pić.

Ale skoro obserwowali go, gdy przyglądał się z bliska zwierzęciu, na pewno zauważyli, że wziął podkowę i włożył ją do kieszeni. A to znaczyło, że...

...że wszystko, ale to wszystko zrozumiałeś błędnie, Montalbà.

Nie chcieli wpłynąć na twoje zachowanie na procesie Licca, Montalbà. Proces Licca nie ma z tym nic wspólnego.

Chcieli odzyskać podkowę. To jej szukali, kiedy przetrząsali dom. I oddali mu nawet zegarek, żeby zrozumiał, że to nie jest sprawka złodziei.

Ale dlaczego podkowa była taka ważna?

Jedyną logiczną odpowiedzią było to, że dopóki pozostawała ona w jego rękach, usunięcie ciała na nic się nie przydało.

Skoro jednak było to dla nich tak ważne, dlaczego po nieudanej próbie podpalenia domu jej nie ponowili?

Bardzo proste, Montalbà. Bo Galluzzo strzelił do Gurreriego, który zmarł. Sytuacja się skomplikowała. Jednak na pewno zjawiliby się znowu, tak czy inaczej.

Wziął do ręki podkowę i zaczął się jej uważnie przyglądać. Była zupełnie normalna, widział takich dziesiątki.

Co było w niej tak ważnego, że kosztowała życie człowieka?

Podniósł wzrok ku morzu i oślepił go błysk światła. Nie, nie było żadnej łodzi, z której ktoś go szpiegował przez lornetkę. Światło zapaliło się w jego mózgu.

Podniósł się gwałtownie, pobiegł do telefonu i wykręcił numer Ingrid.

– Halo? Hto mówi?

– Jest pani Rachele?

- Ty czyka.
- Halo? Kto mówi?
- Tu Montalbano.
- Salvo! Jaka miła niespodzianka. Wiesz, że miałam do ciebie zadzwonić? Chciałyśmy z Ingrid zaprosić cię na kolację dzisiaj wieczorem.
- Tak, dobrze, ale...
- Dokąd chciałbyś pójść?
- Przyjedźcie do mnie, ja was zapraszam, powiem Adelinie, żeby... ale...
- O co chodzi z tymi wszystkimi ale?
- Powiedz mi coś. Twój koń...
- Tak? – spytała Rachele, od razu czujna.
- Czy podkowy twojego konia miały jakiś znak szczególnie?
- W jakim sensie?
- No, nie wiem, nie znam się na tym... na przykład czy na podkowach był odcisnięty jakiś znak, coś charakterystycznego...
- Tak. Ale dlaczego chcesz to wiedzieć?
- To tylko taki głupi pomysł. Jaki to był znak?
- Dokładnie na środku łuku, w górze, było odcisnięte małe podwójne V. Te podkowy robi specjalnie dla mnie kowal w Rzymie, który nazywa się...
- Czy Lo Duca zwraca się do tego samego...
- Ależ skąd!
- Szkoda – powiedział, udając rozczarowanie.

I odwiesił słuchawkę. Nie chciał, żeby Rachele zaczęła zadawać pytania. Ostatni kawałek układanki, która zaczęła się tworzyć w jego głowie od tego wieczoru, kiedy pojechał do Fiakki, znalazł się na swoim miejscu i nadał sens całej kompozycji.

Zachciało mu się śpiewać. I niby czemu nie? Zaczął wielkim głosem od

arii „Che gelida manina” z *Cyganerii*.

– Panie komisarzu, panie komisarzu? Co tu się dzieje dzisiaj rano? – spytała gospoia, która przybiegła z kuchni.

– Nic, Adelì. Aha, posłuchaj, przygotuj coś dobrego na dzisiaj wieczór. Będę miał dwie osoby na kolacji.

Zadzwoił telefon. To była Rachele.

– Jakaś przerwa na linii – powiedział od razu komisarz.

– Słuchaj, o której mamy przyjechać?

– Może być o dziewiątej?

– Doskonale. Do zobaczenia.

Odwiesił i telefon znowu zadzwonił.

– Tutaj Fazio.

– Nie, zmieniłem plan. Zaraz przyjadę. Poczekaj na mnie.

Śpiewał przez całą drogę, słowa i melodia nie chciały opuścić jego głowy. A tam, gdzie nie pamiętał tekstu, zaczynał od nowa.

– *Se la lasci riscaldare...*

Dojechał, zaparkował, przeszedł obok Catarelli, któremu opadła szczęka, gdy usłyszał śpiewającego komisarza.

– *Cercar che giova...*

– Catarè, powiedz Faziowi, żeby zaraz do mnie przyszedł.

Wkroczył do swojego gabinetu, usiadł, oparł się wygodnie na krześle.

– *Ma per fortunaaa...*

– Co się dzieje, panie komisarzu?

– Fazio, zamknij drzwi i siadaj.

Montalbano wyciągnął z kieszeni podkowę i położył ją na biurku.

– Przypatrz się jej dobrze.

– Mogę ją wziąć do ręki?

– Tak.

Podczas gdy Fazio oglądał podkowę, komisarz śpiewał dalej pod nosem:

– *È una notte di luuuna...*

Fazio popatrzył na niego pytająco.

– To zwykła podkowa.

– Otóż to. Właśnie dlatego stawali na głowie, aby ją odzyskać, włamali się do mojego domu i byli gotowi nawet go podpalić, Gurreri w rezultacie zapłacił własnym życiem.

Fazio wytrzeszczył oczy.

– To z powodu tej podkowy oni?...

– Tak jest.

– I pan ją miał cały czas?

– Tak jest. Zupełnie o niej zapomniałem.

– Ale to przecież podkowa bez żadnych znaków szczególnych!

– Na tym właśnie polega jej szczególność, że nie ma żadnej.

– Ale co to znaczy?

– To znaczy, że zamordowany koń nie należał do Rachele Esterman.

I zaczął znowu nucić pod nosem:

– *Vivo in poovertà mia lieta...*

18

Mimì Augello przyjechał późno i komisarz musiał powtórzyć mu to, co powiedział już Faziowi.

– W sumie – skomentował tylko Augello – podkowa przyniosła ci szczęście. Pozwoliła ci zrozumieć, jak potoczyły się wypadki.

Potem Montalbano wyjawiał im obu pomysł, który mu przyszedł do głowy: zorganizować wyrefinowaną pułapkę, podstęp, który musiał działać precyzyjnie jak szwajcarski zegarek. Gdyby im się udało, mogli być pewni obfitego połowu.

– Zgadza się?

– Jak najbardziej – powiedział Mimì.

Fazio miał trochę obiekcji.

– Panie komisarzu, to wszystko musi się odbyć w komisariacie, co do tego nie ma wątpliwości. Ale w komisariacie jest Catarella.

– No więc?

– Panie komisarzu, Catarella może nam to wszystko zepsuć. Możliwe, że przyprowadzi Prestię do mnie, a Lo Ducę do pana. Jeśli będzie się nam tu pałętał...

– Dobrze, przyślij go tutaj. Wyślę go z tajną misją. Ty dzwoń, do kogo masz dzwonić, i wracaj. Ty też się przygotuj, Mimì.

Tamci dwaj wyszli, a po milisekundzie zjawił się pędem Catarella.

– Catarè, wejdź, zamknij drzwi na klucz i siadaj.

Catarella wykonał wszystko skrupulatnie.

– Posłuchaj uważnie, bo muszę ci powierzyć bardzo ważne zadanie, którego nikt inny nie będzie umiał wykonać.

Podniecony Catarella zaczął wiercić się na krześle.

– Musisz pojechać do Marinelli i zacząć się w niedokończonym domu naprzeciwko tego, w którym ja mieszkam, po drugiej stronie ulicy.

– Zapoznane mi jest umiejscowienie miejsca, panie komisarzu. A kiedy się zaczaję, co mam zrobić?

– Weźmiesz ze sobą kartkę i długopis. Zapisuj wszystkich, którzy przejdą plażą przed moim domem, i napisz, czy chodzi o mężczyzn, kobiety, dzieci... Kiedy się ściemni, wróć do komisariatu z listą. Pamiętaj, nikt cię nie może zobaczyć! To jest absolutna tajemnica! Jedź od razu.

Czując na barkach wielki ciężar odpowiedzialności i wzruszony niemal do łez zaufaniem komisarza, Catarella wstał, zachrypiał niczym kogut, niezdolny wydobyć z siebie ani słowa, trzasnął obcasami i zasalutował. Miał trudności z przekręceniem klucza w zamku, ale w końcu mu się to udało, i wyszedł.

– Wszystko gotowe – powiedział Fazio, wchodząc chwilę później. – Michilino Prestia przyjedzie o czwartej, a Lo Duca równo wpół do piątej. Tutaj jest adres Bellavii.

Podał komisarzowi karteczkę, którą Montalbano schował do kieszeni.

– Teraz idę do Galla i Galluzza wyjaśnić im, co mają zrobić – dodał Fazio. – Pan komisarz Augello prosił, żebym powiedział panu, że wszystko jest przygotowane i o czwartej będzie na parkingu.

– Dobrze. Wiesz, co ci powiem? Że pójdę coś zjeść.

Poskubał trochę przekąski, nie chciał makaronu, zmusił się do zjedzenia dwóch dorad. Miał ściśnięty żołądek. Przeszła mu też ochota do śpiewania. Nagle zaczął się martwić popołudniowym zamiarem. Czy wszystko potoczy się zgodnie z planem?

– Panie komisarzu, dzisiaj mnie pan nie usatysfakcjonował.

– Przepraszam, Enzo, mam zły dzień.

Popatrzył na zegarek. Miał jeszcze czas na spacer na molo, ale bez odpoczynku na skałach.

W dyżurce Catarelli siedział agent Lavaccara, młody, ale już doświadczony.

– Wiesz, co masz robić?

– Tak, proszę pana, Fazio mi to wyjaśnił.

Montalbano wszedł do swojego pokoju, otworzył okno, wypalił papierosa, zamknął okno, wrócił na fotel i w tym samym momencie zapukano do drzwi. Było dziesięć po czwartej.

– Proszę!

Pojawił się Lavaccara.

– Panie komisarzu, przyszedł pan Prestia.

– Poproś go.

– Dzień dobry, panie komisarzu – powiedział, wchodząc, Prestia.

Podczas gdy Lavaccara zamykał drzwi, żeby wrócić na swoje miejsce, Montalbano wstał i podał rękę Prestii.

– Proszę usiąść. Przepraszam, że musiałem pana trudzić, ale wie pan, jak to bywa...

Michele Prestia miał powyżej pięćdziesiątki, był dobrze ubrany, nosił okulary w złotych oprawkach i roztaczał aurę uczciwego księgowego. Wyglądał na zupełnie spokojnego.

– Zdobędzie się pan na pięć minut cierpliwości?

Musiał zyskać na czasie. Udawał, że czyta jakiś dokument, od czasu do czasu podśmiewając się lub marszcząc brwi. Potem odłożył kartkę na bok i wpatrywał się długą chwilę w Prestię, nic nie mówiąc. Fazio powiedział, że

Prestia był gamoniem, marionetką w rękach Bellavii. Najwyraźniej miał jednak nerwy ze stali. Na koniec komisarz się zdecydował.

– Otrzymaliśmy skargę na pana, złożoną przez pana żonę.

Prestia osłupiał. Zamrugął oczami. Być może, mając już na sumieniu różne grzechy, spodziewał się czegoś innego. Otworzył i zamknął usta, zanim udało mu się wreszcie coś powiedzieć.

– Moja żona?! Złożyła na mnie skargę?

– Napisała do nas długi list.

– Moja żona?!

Nie mógł się otrząsnąć ze zdumienia.

– I o co mnie oskarża?

– O uporczywe maltretowanie.

– Ja?! Ja miałbym...

– Radzę panu, żeby pan nie zaprzeczał.

– Ale to jakieś szaleństwo! Zupełnie nie rozumiem, o co chodzi! Mogę zobaczyć list?

– Nie. Przesłaliśmy go już do prokuratora.

– Panie komisarzu, proszę posłuchać, to musi być jakaś pomyłka. Ja...

– Pan nazywa się Prestia Michele?

– Tak.

– Pięćdziesiąt pięć lat?

– Nie, pięćdziesiąt trzy.

Montalbano zmarszczył czoło, jak gdyby naszła go nagle jakaś wątpliwość.

– Jest pan pewien?

– Oczywiście!

– No cóż! Mieszka pan na via Lincoln czterdzieści siedem?

- Nie, mieszkam na via Abate Meli trzydzieści dwa.
- Naprawdę?! Może mi pan pokazać dowód tożsamości?

Prestia wyjął portfel i podał komisarzowi dowód osobisty. Montalbano przyglądał mu się z wielką uwagą, od czasu do czasu podnosząc wzrok, rzucając spojrzenie na Prestię, po czym wracając do studiowania dokumentu.

- Wydaje mi się oczywiste, że... – zaczął Prestia.
- Nic nie jest oczywiste. Przepraszam, zaraz wrócę.

Wstał, wyszedł z pokoju, zamknął drzwi i poszedł do Lavaccary. W dyżurce czekał też na niego Galluzzo.

- Przyjechał?
- Tak, panie komisarzu. Zaprowadziłem go przed chwilą do Fazia – powiedział Lavaccara.

- Galluzzo, chodź ze mną.

Wrócił do swojego gabinetu w towarzystwie Galluzza, przyjmując zawstydzony wyraz twarzy. Zostawił drzwi otwarte.

– Niezwykłe nam przykro, proszę pana. Zaszedł przypadek homonimii. Przepraszam za sprawienie kłopotu. Proszę pójść z inspektorem Galluzzo, który da panu do podpisania protokół. Do widzenia.

Podał mu rękę. Prestia wymruczał coś i wyszedł za Galluzzem. Montalbano znieruchomiał, to był moment krytyczny. Prestia zrobił dwa kroki w korytarzu i znalazł się twarzą w twarz z Lo Ducą, który wychodził z pokoju Fazia. Montalbano ujrzał, jak obaj zatrzymali się na chwilę, sparaliżowani. Galluzzo miał przebłysk natchnienia i powiedział głosem złego gliny:

- No co, panie Prestia. Idziemy czy nie?

Prestia ruszył dalej. Fazio popchnął lekko Lo Ducę, który nie ruszał się z miejsca, oniemiały. Wszystko przebiegało zgodnie z planem.

– Panie komisarzu, przyszedł pan Lo Duca – powiedział Fazio.

– Proszę, proszę. Fazio, ty też możesz zostać. Proszę, niech pan siada.

Lo Duca usiadł. Poblądł, i widać było, że jeszcze się nie otrząsnął z szoku po tym, jak zobaczył Prestię wychodzącego z gabinetu komisarza.

– Nie wiem, dlaczego to takie pilne... – zaczął.

– Zaraz panu powiem. Przedtem jednak muszę panu zadać pytanie urzędowe: czy życzy pan sobie adwokata?

– Nie! Po co mi adwokat?

– Jak pan sobie życzy. Wezwałem pana tutaj, aby zadać panu kilka pytań dotyczących kradzieży koni.

Lo Duca uśmiechnął się z przymusem.

– A, o to chodzi? Proszę pytać.

– Kiedy rozmawialiśmy tamtego wieczoru w Fiakce, powiedział mi pan, że kradzież koni i zabicie zwierzęcia, które, jak sądziliśmy, należało do pani Esterman, to zemsta niejakiego Gerlanda Gurreriego. Pan kilka lat wcześniej uderzył go metalowym prętem i zrobił z niego inwalidę. To dlatego również koń pani Esterman został zatłuczony metalowymi prętami. Coś w rodzaju prawa równowagi.

– Tak... chyba coś takiego powiedziałem.

– Doskonale. Kto panu powiedział, że konia zatłuczono metalowymi prętami?

Lo Duca wyglądał na zdezorientowanego.

– Ale... chyba pani Esterman... a może ktoś inny. W każdym razie jakie to ma znaczenie?

– To ważne, proszę pana. Ponieważ ja nie powiedziałem pani Esterman, w jaki sposób zabito konia. I nie mógł pan tego dowiedzieć się od nikogo innego, podzieliłem się tą informacją tylko z jedną osobą, która nie utrzymuje

z panem stosunków.

– Ale to rzecz tak drugorzędna, że...

– ...że nasunęła mi pierwsze podejrzenie. Przyznaję, był pan bardzo przekonujący tego wieczoru. Prowadził pan bardzo wyrefinowaną grę. Nie tylko podał mi pan nazwisko Gurreriego, ale nawet wyraził wątpliwość, czy zabitym koniem naprawdę było zwierzę należące do pani Esterman.

– Proszę posłuchać, panie komisarzu...

– To pan mnie musi słuchać. Drugie podejrzenie nasunęło mi się, kiedy dowiedziałem się od pani Esterman, że to pan nalegał, aby przechować jej konia w swojej stajni.

– To akt elementarnej grzeczności!

– Proszę pana, zanim pan powie coś więcej, chcę pana ostrzec, że przeprowadziłem długą i owocną rozmowę z panem Michele Prestią. W zamian za jakąś, ujmijmy to tak, wyrozumiałość z mojej strony, dostarczył mi on cennych informacji co do kradzieży koni.

Trafiony, zatopiony! Lo Duca zbladł jeszcze bardziej, zaczął się pocić i wiercić na krześle. Widział na własne oczy Prestię wychodzącego z gabinetu komisarza, słyszał nieuprzejmy ton agenta policji. Nic dziwnego, że uwierzył w opowiedzianą mu bajkę. Mimo wszystko usiłował się bronić.

– Nie mam pojęcia, co ten człowiek mógł...

– Proszę mi pozwolić mówić. Wie pan, wreszcie znalazłem to, czego pan szukał.

– Ja? A czego szukałem?

– Tego – powiedział Montalbano.

Włożył rękę do kieszeni, wyciągnął z niej podkowę i położył na biurku. To była kropla, która przepełniła czarę. Lo Duca zachwiał się tak bardzo, że o mało nie spadł z krzesła. Z otwartych ust popłynęła mu strużka śliny.

Zrozumiał, że to koniec.

– To jest zwykła podkowa, bez żadnych znaków szczególnych. Zdjąłem ją z kopyta martwego konia. Podkowy konia pani Esterman były naznaczone podwójnym V. Kto mógł znać ten szczegół? Na pewno nie Prestia, Bellavia czy biedny Gurreri, ale pan tak, pan to wiedział. I przekazał go pan swoim wspólnikom. Dlatego też, oprócz ciała, trzeba było koniecznie odzyskać zabraną przeze mnie podkowę, ponieważ stanowiła ona dowód, że zamordowanym koniem nie był ten należący do pani Esterman, jak chciał pan wszystkim wmówić, tylko pański, który zresztą był już bardzo chory i przeznaczony do odstrzału. Przed chwilą Prestia wyjaśnił mi, że koń taki jak ten należący do pani Esterman pozwoli zarobić miliardy organizatorom nielegalnych wyścigów. Pan jednak na pewno nie zrobił tego dla pieniędzy. A zatem dlaczego? Szantażowano pana?

Lo Duca, który nie był w stanie mówić i miał całkiem spoconą twarz, kiwnął tylko głową na znak potwierdzenia. Potem zebrał się w sobie i powiedział:

– Chcieli, żebym dał swojego konia na wyścigi. Ponieważ odmawiałem... pokazali mi zdjęcie, na którym jestem... jestem z chłopcem.

– To wystarczy. Dalej będę mówił ja. A zatem, ponieważ koń pani Esterman bardzo przypominał jednego z pana koni, zapadłego na śmiertelną chorobę, wpadł pan na pomysł zorganizowania fikcyjnej kradzieży i okrutnego zabicia swojego własnego konia, aby rzecz wyglądała na zemstę. Jak pan miał serce zrobić coś takiego?

Lo Duca zakrył twarz rękoma. Przez palce spływały mu wielkie łzy.

– Byłem w rozpacz... Uciekłem do Rzymu, żeby nie...

– Dobrze – powiedział Montalbano. – Proszę posłuchać. To już koniec. Postawię panu tylko pytanie i potem będzie pan wolny.

– Wolny?!

– To nie ja prowadzę śledztwo. Pan złożył skargę w kwesturze w Montelusie, prawda? Wobec tego zostawiam sprawę pańskiemu sumieniu. Postąpi pan tak, jak sam uzna za stosowne. Ale proszę posłuchać mojej rady: niech pan opowie wszystko moim kolegom z Montelusy. Spróbują zatuszować historię z fotografią, jestem tego pewien. Jeśli pan tego nie zrobi, odda się pan duszą i ciałem rodzinie Cuffaro, która wycisnie pana jak cytrynę, a potem wyrzuci na śmietnik. A moje pytanie jest następujące: czy wie pan, gdzie Prestia ukrywa konia pani Esterman?

To pytanie, Montalbano wiedział to dobrze, było najsłabszym elementem całej misternej pułapki, którą przygotował. Jeśli Prestia naprawdę zaczął mówić, powiedziałałby mu przecież, gdzie trzyma konia. Jednak Lo Duca był zbyt wstrząśnięty, zanadto zdruzgotany, żeby zauważyć nielogiczność pytania.

– Tak – odpowiedział.

Fazio musiał pomóc Lo Duce podnieść się z krzesła, musiał podtrzymywać go przez całą drogę na parking.

– Czuje się pan na siłach prowadzić?

– Ta...k.

Popatrzył, jak odjeżdża i niemal wpada na inny samochód, po czym wrócił do gabinetu komisarza.

– Jak pan sądzi, pojedzie do kwestury?

– Myślę, że tak. Zadzwoń do Augella i przekaz mi słuchawkę.

Mimì odpowiedział od razu.

– Jedziesz za Prestią?

– Tak. Kieruje się na Silianę.

– Mimì, dowiedzieliśmy się, że ukrywa konia cztery kilometry za Silianą, w wiejskiej stajni. Na pewno zostawił tam kogoś na straży. Ilu ludzi masz ze sobą?

– Czterech w jeepie i dwóch w furgonetce.

– Zachowaj czujność. W razie czego dzwoń do Fazia.

Odwiesił słuchawkę.

– Samochód z Gallem i Galluzzem gotowy?

– Tak jest.

– Wobec tego ty zostań tutaj, w moim gabinecie. Powiedz Lavaccarze, żeby przełączał do ciebie wszystkie telefony. Jesteś naszym koordynatorem. Powtórz mi adres, bo nie mogę go znaleźć.

– Via Crispi dziesięć. To biuro na parterze, z dwoma pokojami. W pierwszym siedzi ochroniarz. On, kiedy nie wybywa gdzieś, żeby kogoś zamordować, zawsze siedzi w swoim pokoju.

– Gallo, wbij to sobie do głowy i pamiętaj, że mówię serio. Nie chcę ani syren, ani pisku opon. Musimy go zaskoczyć. I zatrzymaj się nie pod numerem dziesięć, tylko trochę wcześniej.

– Pan nie pójdzie z nami?

– Nie, pojadę za wami własnym samochodem.

Dojechali w jakieś dziesięć minut. Montalbano zaparkował z tyłu, za samochodem służbowym, i wysiadł. Podszedł do niego Galluzzo.

– Panie komisarzu, Fazio kazał mi panu przekazać, żeby wziął pan pistolet.

– W porządku.

Otworzył schowek, wziął broń i schował do kieszeni.

– Gallo, ty zostaniesz w pierwszym pokoju i będziesz miał na oku

ochroniarza. Ty, Galluzzo, wejdiesz razem ze mną. Nie ma drugiego wyjścia, więc nie może uciec. Ja wchodzę pierwszy. I pamiętajcie: jak najmniej hałasu.

Na ulicy, bardzo krótkiej, zaparkowane było może z dziesięć samochodów. Nie było sklepów. Nie widać też było żywej duszy, poza jakimś mężczyzną z psem.

Montalbano wszedł. Za biurkiem siedział trzydziestoletni mężczyzna i czytał dziennik sportowy. Podniósł wzrok, zobaczył Montalbana, rozpoznał go i skoczył na równe nogi, rozchylając prawą ręką marynarkę, żeby wyciągnąć rewolwer, który miał zatknięty za paskiem.

– Nie rób głupot – powiedział cicho Gallo, mierząc do niego z pistoletu.

Mężczyzna położył dłoń na biurku. Montalbano i Galluzzo rzucili sobie spojrzenie, po czym komisarz nacisnął kłamkę drzwi do drugiego pokoju, otworzył je i wszedł, z Galluzzem drepczącym mu po piętach.

– Ach! – powiedział łysy pięćdziesięciolatek, w samej koszuli, o cwaniackiej twarzy i oczach jak dwie brzytwy, odkładając słuchawkę, którą trzymał w dłoni. Nie wyglądał na zdziwionego w najmniejszym stopniu.

– Jestem komisarz Montalbano.

– Znam pana doskonale, panie komisarzu. A jego mi pan nie przedstawi?

– powiedział ironicznie mężczyzna, wskazując na Galluzza. – Mam wrażenie, że z tym panem już się spotkałem.

– Pan Francesco Bellavia?

– Tak.

– Aresztuję pana. I ostrzegam, że cokolwiek pan powie na swoją obronę, nie zyska mojej wiary.

– To nie jest właściwa formuła – powiedział Bellavia i zaczął się śmiać.

Potem uspokoił się i powiedział:

– Spokojnie, Galluzzo, nie powiem, że to ja zabiłem Gurreriego, ale nie powiem też, że to byłś ty. No więc, dlaczego chcecie mnie aresztować?

– Za kradzież dwóch koni.

Bellavia zaczął się śmiać jeszcze głośniej.

– Ojej, ale się przestraszyłem! Jakie macie dowody?

– Lo Duca i Prestia wszystko wyśpiewali.

– Dobrana para! Jeden chodzi do łóżka z dziećmi, a drugi to wycieruch!

Wstał i wyciągnął nadgarstki do Galluzza:

– No dalej, nałóż mi kajdanki, w ten sposób odegramy farsę do końca.

Galluzzo, nie patrząc w oczy Bellavii, który wpatrywał się w niego natrętnie, założył mu kajdanki.

– Dokąd go zawieziemy?

– Do prokuratora Tommasea. Wy jedźcie do Montelusy, ja zadzwonię i uprzedzę go o waszym przyjeździe.

Wrócił do komisariatu. Wszedł do swojego gabinetu.

– Coś nowego?

– Nic. A u pana?

– Aresztowaliśmy Bellavię. Nie stawiał oporu. Zadzwonię do Tommasea z gabinetu Mimì.

Prokurator był jeszcze w biurze. Zaprotestował, że nie został o niczym uprzedzony przez komisarza.

– Panie prokuratorze, wszystko zdarzyło się w ciągu kilku godzin, nie było absolutnie czasu, żeby...

– A pod jakim zarzutem go pan aresztował?

– Kradzieży dwóch koni.

– No cóż, dla takiego typu jak Bellavia to niewielkie oskarżenie.

– Panie prokuratorze, wie pan, co się mówi w moich stronach? Na bezrybiu i rak ryba. Poza tym jestem pewien, że to on zamordował Gurreriego. Jeśli pan nad nim dobrze popracuje, na pewno coś w końcu wyzna, z tym że to twardy gość.

Wrócił do swojego gabinetu, gdzie zastał Fazia przy telefonie.

– Tak... tak... dobrze. Przekażę to zaraz panu komisarzowi.

Odłożył słuchawkę i zwrócił się do Montalbana:

– Komisarz Augello powiedział mi, że Prestia wszedł do domu obok stajni. Ale przed domem oprócz auta Prestii są zaparkowane jeszcze cztery samochody, dlatego komisarz Augello sądzi, że odbywa się tam jakiś rodzaj narady. Ponieważ chce uniknąć strzelaniny, mówi, że lepiej poczekać, aż pozostali sobie pojedą.

– Dobrze.

Minęła ponad godzina bez żadnych nowych telefonów. Najwyraźniej zebranie się przedłużało. Montalbano nie wytrzymał.

– Zadzwoń do Mimì i spytaj, co się dzieje.

Fazio porozmawiał z Augellem.

– Mówi, że zebranie jeszcze trwa i że w domu znajduje się co najmniej osiem osób. Trzeba jeszcze poczekać.

Montalbano popatrzył na zegarek i skoczył na równe nogi. Było już wpół do dziewiątej.

– Słuchaj, Fazio, muszę wracać do Marinelli. Zadzwoń do mnie, gdy tylko dostaniesz wiadomości.

Wrócił pędem do domu, otworzył drzwi balkonowe, nakrył do stołu na werandzie.

Ledwie skończył, odezwał się dzwonek u drzwi. Poszedł otworzyć. To były Ingrid i Rachele, dźwigające trzy butelki wina, dwie whisky i jakąś paczkę.

– To lody cassate – wyjaśniła Ingrid.

Najwyraźniej miały poważne zamiary. Montalbano poszedł do kuchni odkorkować butelki i usłyszał, że dzwoni telefon. Pewnie Fazio.

– Wy odbierzcie – powiedział.

Usłyszał głos Rachele, mówiący:

– Halo?

A potem:

– Tak, to dom komisarza Montalbana. Ale kto mówi?

Nagle przyszła mu do głowy myśl, która go sparaliżowała. Rzucił się do jadalni. Rachele dopiero co odwiesiła słuchawkę.

– Kto to był?

– Nie przedstawił się. Odłożył słuchawkę. Jakaś kobieta.

Ziemia nie rozstąpiła mu się tym razem pod nogami, za to poczuł, że na głowę spada mu sufit pokoju. To na pewno był telefon od Livii! Jak jej miał teraz wytłumaczyć, że rzecz była całkiem niewinna? Przekłęta chwila, w której przyszło mu na myśl je zaprosić! Przewidywał nieprzyjemną noc spędzoną przy telefonie. Wrócił rozgoryczony do kuchni i telefon znowu zadzwonił.

– Ja odbiorę! Ja odbiorę! – zawołał.

Tym razem to był Fazio.

– Panie komisarzu? Zrobione. Komisarz Augello aresztował Prestię i wiezie go do prokuratora. Odnaleźli konia pani Esterman. Ma się bardzo dobrze. Zabrali go do furgonetki.

– Gdzie go zawiozą?

– Do stajni przyjaciela komisarza Augella. Komisarz Augello zawiadomił też policję w Montelusie.

– Dziękuję, Fazio. Wykonaliście dobrą robotę.

– To wszystko pana głowa.

Poszedł na werandę. Stał na progu drzwi i powiedział:

– Po kolacji coś wam opowiem.

Nie chciał zepsuć sobie przyjemności jedzenia zamieszaniem spowodowanym uściskami, łzami, wzruszeniami i podziękowaniami, których się spodziewał.

– Zobaczmy, co przygotowała nam Adelina – powiedział.

Od autora

Tak jak w przypadku wszystkich powieści, których bohaterem jest komisarz Montalbano, także i tym razem pomysł fabuły podsunęły mi dwa artykuły z prasy: o zamordowanym koniu, znalezionym na plaży w Katanii, oraz o kradzieży kilku koni wyścigowych ze stajni w prowincji Grosseto.

Myślę, że nie trzeba powtarzać po raz kolejny, jednak zrobię to na wszelki wypadek: imiona osób, a także sytuacje opisane w książce są owocem mojej wyobraźni i nie mają odniesienia do rzeczywistych postaci.

Jeśli ktoś rozpozna się przypadkiem w którymś z bohaterów, oznaczać to będzie, że został obdarzony bujniejszą od mojej wyobraźnią.

A.C.

Przypisy

[1] Aluzja do sławnego przeboju Kwartetu Cetra *Il visconte di Castelfrombone* z 1941 roku.

[2] Pełny tytuł polski: *Sens życia według Monty Pythona*.

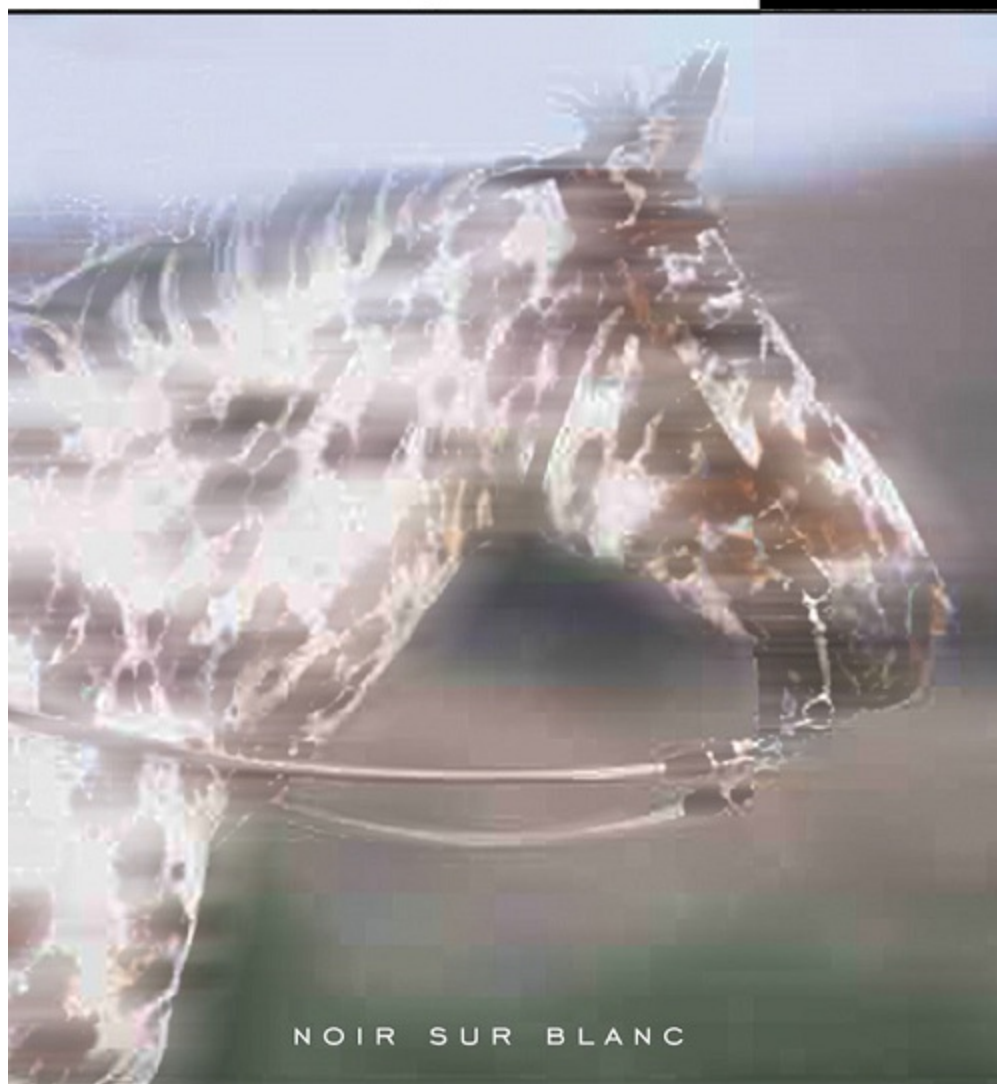
[3] Cytat z arii Leporella z *Don Giovanni* Mozarta.

[4] Alberto Giacometti (1901–1966), szwajcarski rzeźbiarz i malarz surrealistyczny.

ANDREA Camilleri



Ślad na piasku



NOIR SUR BLANC